

PROF. JACEK RACIBORSKI
2019: SCENARIUSZE POLITYCZNE

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
W CO WIERZĄ CHIŃCZYCY?

IPN
WIERNY SOJUSZNIK PiS

DOROTA KOLAK
KIEDY KOBIETA KOCHA BUTELKĘ



SCHYŁEK TRZECH KRÓLI

Jeszcze można zamówić **PRENUMERATA 2019** OD DOWOLNEGO NUMERU

**W ciągu roku
8 numerów gratis,
czyli 2 miesiące
za darmo!**

Zamów PRZEGLĄD
przez internet na
sklep.tygodnikprzeglad.pl



PRENUMERATA
ROCZNA
PÓŁROCZNA
KWARTALNA

EKONOMICZNA:
289 zł
149 zł
79 zł

PRIORYTETOWA:
329 zł
169 zł
89 zł

tel.: 22 635 84 10 wew. 120 kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPŁACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
nr rachunku odbiorcy c.d.
odbiorca:
Fundacja Oratio Recta ul. Inżynierska 3 lok. 7 03-410 Warszawa
kwota:
zlecienniodawca:

tytułem:
Prenumerata

nazwa odbiorcy	Fundacja Oratio Recta
nazwa odbiorcy c.d.	ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa
nr rachunku odbiorcy	7 2 1 0 9 0 2 8 5 1 0 0 0 0 0 0 1 2 0 2 3 9 8 2 1
waluta	W P
kwota	
nr rachunku zlecienniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zlecienniodawcy	
nazwa zlecienniodawcy c.d.	
tytułem	Prenumerata redakcyjna (ekonomiczna lub priorytetowa)
tytułem c.d.	

CYTATY ROKU

DANIEL PASSENT, komentator
Kiedyś walczyliśmy o wolność Europy, a teraz walczymy o wolność OD Europy.
„Polityka”

ROBERT BIEDROŃ, były prezydent Słupska
Przecież wybór między PiS a Platformą Obywatelską to żart z inteligencji Polaków.
„Wysokie Obcasy”

BOGDAN RYMANOWSKI, były dziennikarz TVN, obecnie Polsat
Świat nie wygląda ani tak, jak pokazuje go TVN, ani tak, jakim go widać w TVP.
„Dziennik Gazeta Prawna”

JERZY URBAN, redaktor naczelny
PiS zmienia przeszłość Polski, co jest łatwiejsze i tańsze niż zmienianie przyszłości.
„Nie”

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO, były wicepremier i minister finansów
O ile wejść dwa razy do tej samej rzeki się nie da, o tyle można dwa razy wdepnąć w to samo bagno.
„Rzeczpospolita”

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI, dominikanin
Ten jest dla nas lepszym katolikiem i Polakiem, który drugiego lepiej obrzuca błotem.
„Polska The Times”

HENRYK MARTENKA, komentator
Ryszard Czarnecki nie należy do wybrańców, których Bóg hojnie obdarzył łaską rozumu.
„Angora”

JACEK ŻAKOWSKI, komentator
Nie jest przypadkiem, że PO wymyśliła „Orliki”, a PiS strzelnice.
„Polityka”

KRYSTYNA JANDA, aktorka, reżyserka
Polacy myślą wyłącznie o sobie. Albo nie myślą.
„Co Jest Grane 24”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

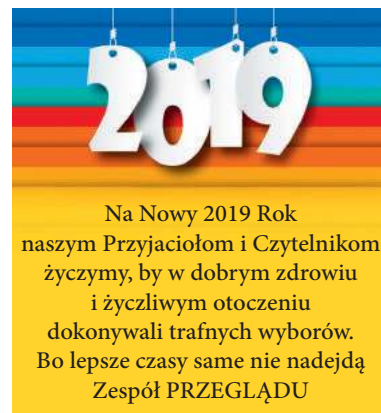


Opozycja atutem PiS

Mieli rządzić trzy kadencje, a przynajmniej dwie. No i co? Kto po trzech latach rządów „dobrej zmiany” postawi na powtórkę wyniku z 2015 r.? Na władzę, która idzie od kryzysu do kryzysu? Jak nie sądy, to ustawa o IPN, którą zmieniono na żądanie USA i Izraela. Jak nie szumidło, słowo roku, które jest stemplem afery w Komisji Nadzoru Finansowego, to cud nad prądem. Prądem, który miał zdrożeć, ale nie zdrożeje. Dlaczego? Bo wynik wyborów można by już ogłosić. Gilotynę cenową odłożono o rok. W ostatniej możliwej chwili. Jak zwykle. Byłajakość stała się znakiem firmowym pisowskiej ekipy. Poprawki do poprawek ustaw i jeszcze kolejne poprawki. Dziadostwo, którego ludzkim rozumem nie da się ogarnąć. Niestety. Za rządy pospolitego ruszenia krewnych i znajomych płacimy wszyscy – degradacją instytucji i urzędów, które są tak silnie upolitycznione i związane z władzą jak nigdy po 1989 r.

Przed nami rok brutalnych kampanii wyborczych i bezpardonowej walki o władzę. Jeśli nie pojawią się lepsze oferty, czeka nas wybór mniejszego zła.

Zaczął się ostatni, i to niepełny, rok wszechwładzy PiS. W najlepszym razie pi-sowscy stracą dużą część tego tortu. Paradoksalnie mogą stracić władzę nie dlatego, że opozycja jest tak mądra, silna programem i kompetentnymi kadrami – bo tak przecież nie jest. Obserwując PO, mam wrażenie, że znowu znaleźliśmy się w 2014 r. Zero poważnych wniosków i analizy przyczyn pognania tej partii przez wyborców. Ma być, jak było. I z tymi samymi ludźmi. Taka opozycja jest wielkim atutem partii Kaczyńskiego.



Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Rok 2019. Scenariusze polityczne**
– rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim
- 13 Inspekcja ochrony niczego**
Instytucja, która nie działa
- 20 Chiny chcą być numerem 1 w świecie**
– rozmowa
z prof. Bogdanem Góralczykiem
- 48 Eksportowe oblubienice**
Polska to więzienie dla Turczynek

OPINIE

- 16 Adam Leszczyński**
IPN – wierny sojusznik PiS

SYLWETKI

- 25 Sól ziemi czarnej**
Wspomnienie o Kazimierzu Kutzu

HISTORIA

- 28 Skamandryci w mleczarni**
Warszawska przystań literatów

KULTURA

- 32 Kiedy kobieta kocha butelkę**
– rozmowa z Dorotą Kolak
- 36 Co skrywa literackie bikini**
Bestsellery i książki kultowe
- 38 Culturalia**
- 66 Sylwester Stabryła. True Story**

ZAGRANICA

- 40 Mowa na granicy wymarcia**
Co dwa tygodnie ginie jeden język
- 42 Narodowość na sprzedaż**
Paszport bez wychodzenia z domu
- 58 Jafa dla wszystkich**
Korespondencja z Tel Awiwu

OBSERWACJE

- 44 Obsesja samodoskonalenia**
Zawód coach
- 52 Psy do zadań specjalnych**
Nieocenione w pracy TOPR
- 56 Półzartem i na serio**
Z kart kalendarzy 2019

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Opozycja atutem PiS
- 19 Jan Widacki**
Na Nowy Rok
- 31 Roman Kurkiewicz**
Świat oniemieje: Polska 2019
- 35 Tomasz Jastrun**
Nowy rok
- 47 Ludwik Stomma**
Burak
- 51 Edward Mikołajczyk**
Jak Tadeusz z Mateuszem

32 KULTURA



KIEDY KOBIETA KOCHA BUTELKĘ
– rozmowa z Dorotą Kolak



48 KRAJ

EKSPORTOWE OBLUBIENICE
Polska to więzienie dla Turczynek



52 OBSERWACJE

PSY DO ZADAŃ SPECJALNYCH
Nieocenione w pracy TOPR

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER/EAST NEWS, TILL RIMMELE/SIPA/EAST NEWS,
ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER/EAST NEWS, ARCHIWUM



MARIUSZ SZCZYGIEŁ

Gdybym się znalazł nago na Marszałkowskiej...

Pustelnia ojca Gabriela

WŁOSKA MATERA

– europejska stolica kultury czy hańby

Austriacy zmieniają nazwę czerwonego wina

✉ Profesorze, pamiętamy

Życiorys prof. Zdzisława Sadowskiego to historia PRL w pigułce – od represyjnych czasów stalinowskich do liberalnej końcówki lat 80. Sam fakt, że Profesor, w epoce stalinowskiej więzień polityczny, w latach 80. objął wysokie stanowisko państwowe, i to nie będąc członkiem PZPR, świadczy o tym, jak ewoluowała Polska Ludowa. Objęcie władzy nad gospodarką przez Leszka Balcerowicza i innych liberałów w miejsce takich ludzi jak prof. Sadowski to było nieszczęście, którego dalekosiężne skutki Polska odczuwa do dziś i długo będzie odczuwać. Dlatego policja historyczna będzie dbać, aby postać i poglądy Profesora nie przedarły się do publicznej świadomości. Zresztą „kolaborował z reżimem komunistycznym”, więc to wystarczy, by go skazać na całkowite zapomnienie. Niszczmy kolejnych wybitnych ludzi i pamięć o nich, aż w końcu nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie chciał pracować dla Polski.

Radostaw



Nie wstydzimy się PRL

Jerzy Stuhr mówi w wywiadzie opublikowanym w 52. numerze PRZEGŁADU, że denerwuje go osądzanie, potę-



pianie PRL, i przyznaje, że największe role zagrał właśnie w tamtym czasie. A ja dziękuję PRL za zlikwidowanie analfabetyzmu i upowszechnienie szkolnictwa. Dlatego start młodzieży jest obecnie o wiele łatwiejszy niż start ich rodziców.

Roman Włodarczyk



Pamiętajmy też o elektryfikacji kraju. To wyniosło Polskę na poziom postępu technicznego. Łuczywa, lampy naftowe i karbidowe poszły do muzeum. Nie możemy też zapomnieć o wybudowaniu ogromnej liczby dróg gminnych i powiatowych ani o uruchomieniu na nich powszechnie dostępnego transportu autobusowego. Nie narzekam na zmiany po 1989 r. Moje zarobki wystrzeliły w górę, bo zaczęły się liczyć kompetencje. Jednak barbarzyństwem jest twierdzenie, że okres PRL to czarna dziura. Los klasy pracującej pod wieloma względami pogorszył się i jest to poza dyskusją. Osiągnięciem wolnościowych zmian jest przekształcenie proletariatu w prekariat. Nie jestem pewna, czy taki był cel walki Solidarności w 1980 r.

Danuta Krzoska



Młody Irakijczyk rozdaje bożonarodzeniowe prezenty na starym mieście w Mosulu.



PYTANIE TYGODNIA

Jakie cechy powinien dziś mieć autorytet moralny?

PROF. JANUSZ REYKOWSKI,
Instytut Psychologii PAN

Autorytet moralny to ktoś, do kogo się zwracamy – osobiście lub do jego pism czy wypowiedzi – kiedy mamy wątpliwość co do słuszności naszego lub cudzego postępowania. Dlatego trudno o jeden autorytet moralny: ktoś będzie dla nas autorytetem, gdy chodzi o słuszność w polityce, ktoś inny ma poważanie w sprawach zawodowych, a jeszcze inny w dziedzinie kontaktów interpersonalnych. Przypisujemy im umiejętność rozumienia sytuacji, w których nas dopadają wątpliwości, zdolność ich umysłowego opanowania i nadania sensu określonym działaniom. O autorytetach sądzimy, że w sporach nie kierują się własnymi interesami ani interesami jakichś grup, wyrażane przez nich opinie nie służą też osobistym celom, np. zaspokojeniu potrzeby popisania się. Wyobrażamy sobie, że autorytety moralne zawsze, w każdej dziedzinie postępują słusznie, ale jest to mało realistyczne. Trzeba uwzględnić, że czasami ludzie za autorytety moralne uważają nie tych, którzy charakteryzują się tymi cechami, lecz osoby, które podziwiają z jakiegoś innego powodu. Na przykład

zwolennicy danej partii czy organizacji mogą przypisywać takie walory jej przywódcy, choć reszta społeczeństwa nie widzi w nim żadnych przymiotów ani nie uważa go za autorytet moralny.

O. GRZEGORZ KRAMER SJ,
jezuita, proboszcz, blogger

Ktoś, kto coś radzi, proponuje, pomaga ocenić rzeczywistość, powinien przede wszystkim dokładać wszelkich starań, by być uczciwym. Rozumiem przez to dążenie do obiektywizmu i nie-trzymań strony żadnego z uczestników sporu, ale również uczciwość wobec samego siebie – umiejętność oceny czystości własnych intencji. Drugą ważną cechą jest opieranie wygłaszanych opinii na rzeczywistym życiowym doświadczeniu, a jednocześnie pokora wobec własnej niewiedzy, pozwalająca na korzystanie z doświadczeń innych.

PROF. JACEK HOŁÓWKA,
filozof, etyk, publicysta

Po pierwsze, musi to być postać, o której będziemy sądzili, że ma niezmiennie poglądy oraz że nie trzyma strony żadnego ugrupowania w toczących

się sporach politycznych czy religijnych. Po drugie, musi to być osoba finansowo niezależna, gdyż człowieka, który przypuszcza, że wypowiadając określone opinie, straci źródło utrzymania, łatwo nastraszyć albo wpływać na niego w inny niemerytoryczny sposób. Po trzecie, autorytet moralny ma swego rodzaju dar przewidywania tego, co w przyszłości będzie ważne dla ludzi. Dzięki temu nawet jeśli nie przekonuje słuchaczy, gdy do nich mówi, po jakimś czasie okazuje się, że miał rację, w związku z czym staje się coraz bardziej poważany. Po czwarte, autorytet musi być małomówny, nie może odpowiadać na wszystkie pytania, rozwiązywać każdej błahiej kwestii. Powinien interesować się tylko sprawami zasadniczymi, a co więcej – nie uzasadniać szczegółowo swojego stanowiska. Aby był przekonujący, w jego wypowiedziach musi pozostać doza zagadkowości. I wreszcie po piąte, musi mieć w sobie coś z bohatera. Ktoś, kto niewinnie cierpiał lub znalazł się w sytuacji, w której dał dowód hartu ducha, budzi wielki szacunek, zwłaszcza w polskiej tradycji.

Not. Michał Sobczyk

Rozmawia Robert Walenciak

Wybory samorządowe otworzyły nowy sezon w polskiej polityce, czas wyborów – europejskich, parlamentarnych, prezydenckich. Zaskoczyły nas wysoką frekwencją i pogromem PiS w II turze. Jak pan ocenia wyborców?

– Nie mam wysokiego mniemania o polskim wyborcy. Standardowe oczekiwanie wobec wyborców to oczekiwanie jakiejś racjonalności, nawet szeroko rozumianej, a nie sprowadzanej do interesów materialnych. Aczkolwiek głosowanie zgodnie ze swoimi interesami materialnymi jest esencją racjonalności.

Tu było inaczej.

– Jeżeli widzę np., że czynni rolnicy nie głosują na PSL, to uważam ich za idiotów. Mówię o czynnych rolnikach, a nie osobach mieszkających na wsi. Bo to jest partia, która dała im najwięcej, twardo artykułuje ich interesy grupowe i broni ich, nieraz ze szkodą dla innych dużych grup. Podobnie, gdy idzie o preferencje ludzi związanych z dawnym systemem. Jeżeli setki tysięcy emerytów dawnego aparatu władzy, zwłaszcza ze struktur siłowych, nie głosują na SLD, a tak było w roku 2015, to też uważam ich za idiotów. Choć teraz część się nawróciła... Ale w pewnym momencie odplynęła w stronę PiS. Bo SLD, cokolwiek by mówić złego o tej partii, konsekwentnie broni pewnego dorobku PRL, idei ciągłości państwa i ciągłości jego zobowiązań. Dowartościowuje też indywidualne biografie. Choćby ten ostatni względ powinien trzymać ich przy Sojuszu. Natomiast gdy patrzę na klasy średnie – to tutaj jest istotna zmiana, jakby pewien przypływ racjonalności.

To znaczy jaka zmiana?

– Odwołam się do sondaży *exit poll*, z ostatnich wyborów sejmikowych i sejmowych z roku 2015. Porównania tych wyborów są jak najbardziej uzasadnione, to były wybory w identycznej logice, zwarcie

Rok 2019.

Scenariusze polityczne

Najważniejsza emocja społeczna to anty-PiS



**PROF. JACEK
RACIBORSKI**
– socjolog

dwóch bloków politycznych. Chodziło w nich nie o żadnych konkretnych radnych, tylko o mandaty dla partii, analogicznie jak w wyborach sejmowych. Zwróćmy uwagę, kto w szczególności poparł Koalicję Obywatelską, a kto PiS, jakie grupy. Na KO głosowało 37% właścicieli/współwłaścicieli firm, a na PiS – 23%. W dużej kategorii tworzonej łącznie przez dyrektorów, kierowników, specjalistów KO poparło 36%, a PiS 21%. Natomiast w poprzednich wyborach, w roku 2015, Platforma wygrała tylko w grupie najwyższej, menedżerów. Wśród wyborców z wykształceniem wyższym i licencjackim KO wygrała z PiS 33,5% do 23%. Widać więc, że ten konflikt,

polaryzacja wywołały podczas ostatnich wyborów ożywienie grupowych interesów. Pewien powrót klasowych wzorów zachowań wyborczych. Tacy wyborcy stają się bardziej przewidywalni. To istotna sprawa.

Anty-PiS kontra PiS

A wyborca lewicowy?

– Został porwany w kierunku Koalicji Obywatelskiej. Widać to dobrze w miastach. Andrzej Rozenek nie był złym kandydatem w wyborach na prezydenta Warszawy, a uzyskał bardzo słaby wynik. Mimo że stanowisko SLD, to trzeba podkreślić, było jednoznaczne i dobrze odczytywało zasadniczą emocję, a mianowicie podział na PiS i anty-PiS.

Ten podział przykrył wszystkie inne?

– Tak! To był zasadniczy konflikt tych wyborów, podział przypominający to, co w socjologii polityki określa się mianem podziału czy też rozłamu socjopolitycznego. Takie

Prof. Jacek Raciborski – kierownik Zakładu Socjologii Polityki w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Założyciel i prezes Wydawnictwa Naukowego Scholar. Autor lub współautor kilkunastu książek, m.in. „Elity rządowe III RP 1997-2004. Portret socjologiczny”, „Praktyki obywatelskie Polaków”, „Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej”.

podziały fundują tożsamości zbiorowe, są ostre, wyraziste i budzą emocje w masowej skali. I dlatego prawie nieważne stały się inne partie. Ale podział ten otwiera zarazem pewne możliwości na przyszłość, na bycie anty-PiS, i tutaj SLD zachowuje jakieś szanse.

Bo twar do i jasno mówił, że jest konsekwentnym anty-PiS?

– Tak i to współgra z dominującym nastrojem. Ludzie po prostu definiują się jako przeciwnicy lub zwolennicy PiS. Jeżeli tak, to w sytuacjach, gdy walka toczyła się o jedno miejsce, jak w wyborach prezydentów miast, rosnąca polaryzacja musiała się przełożyć na wynik, jaki był w Warszawie. Jej efektem był też przepływ głosów lewicowych. Miała w tym pewien udział Barbara Nowacka. To był bardzo dobry ruch Platformy, żeby ją przyłączyć. Przy Rozenku prawie nikt nie pozostał... Ciekawy jest jeszcze wynik Moniki Jaruzelskiej. Uwidacznia, że sprawy związane z Polską Ludową mogły zagrać jeszcze mocniej. Tylko że PiS zrobiło krok do tyłu.

Wyciszyło sprawę generałów, których chciano degradować, i rozliczeń z PRL.

– Przed najbliższymi wyborami też będzie zdejmowało wiele spraw, które mogłyby być paliwem lewicy. Dlatego dla SLD z wyborów samorządowych płynie jedna korzystna przesłanka. Mianowicie – struktury pracowały, i to na fali wznoszącej, głosów oddanych na lewicę jest więcej.

Musi powstać układ, w którym lewica trwale się odnajdzie.

Procentowo – mniej.

– Bo frekwencja była wyższa, więc ten milion mniej znaczył. Jeśli zaś uwzględnić wynik Partii Zielonych, która wchodziła w skład Zjednoczonej Lewicy w 2015 r., jest to o ponad 50 tys. głosów więcej, a w procentach byłoby to 7,77% w stosunku do 7,55% w 2015 r. Ale widać też ograniczenie formuły Koalicji Obywatelskiej w kontekście przyszłych wyborów sejmowych. Taka koalicja nie jest w stanie wyartykułować kwestii zasadniczych dla centrolewicy, w tym kwestii symbolicznych.

Przyjęli Nowacką i zaraz potem ogłosili, że takie problemy jak prawa kobiet nie są ich agendą i tego nie ruszą.

– Dlatego projekt szerokiej koalicji jest tak trudny. I powinien pozostać jako projekt awaryjny. Ale jeśli do niego dojdzie, musi to być projekt i na wybory europejskie, i na wybory sejmowe. Tak samo ewentualny odrębny blok centrolewicowy. Wybory do PE nie mogą być traktowane jako test. Nie ma żadnych testów! Kto będzie myślał w kategoriach testów – przegrał od razu. Musi powstać układ, w którym lewica trwale się odnajdzie. Bo przecież historia ostatnich różnych prób, przymiarek

Wybory do europarlamentu nie mogą być traktowane jako test. Nie ma żadnych testów!

pokazuje, że sytuacja lewicy tylko się pogarszała. Jedynie sukces, wspólny sukces w wyborach europejskich i perspektywa, że w wyborach parlamentarnych będzie jeszcze większy, że będzie więcej miejsc, stołków, ale także osiągnięć programowych, że rośnie poparcie, pozwoli osiągnąć zbiorowy sukces.

PiS o tym wie, zdejmując więc kolejne punkty sporne.

– To prawda, wycisza kolejne kwestie. Na przykład sprawę aborcji, ale ona może wracać. Jest też kwestia rozliczeń z PRL, kolejnych prób tzw. dekomunizacji i dezubekizacji w różnych wymiarach. PO jest tu niewiarygodna, są napięcia wewnętrzne na tym tle. Dalej: nabrzmiewająca kwestia Kościoła i charakteru

jego obecności w życiu politycznym. „Kler” uwrażliwił społeczeństwo nie tylko na problem pedofilii. PSL musi trzymać kontakt z tradycjonalistyczną wsią, więc w zasadzie musi się przyłączyć do inicjatywy montowanej przez PO, bo ta partia ma prawe skrzydło i – co ważniejsze – wyraźnie odrębny elektorat. Pomysł stworzenia koalicji wyborczej lewica-PSL są nierealistyczne.

Blok lewicy, Biedroń, wielka koalicja

Jakie kwestie będą organizować najbliższe wybory? Kościół, Europa, aborcja, stosunek do PRL, chciwość i niekompetencja władzy?

– Lewica, taka jak się rysuje, w tych wszystkich sprawach bez wysiłku może osiągnąć wspólne stanowisko. SLD, Razem, różne pozostałości, odpryski po Nowackiej, może Biedroń... On, jeżeli się okaże, że jego projekt nie zapowiada się na duży sukces, może się przyłączyć. Główne niebezpieczeństwo, które wiąże się z jego projektem, polega na tym, że Biedroń ani nie przyłączy się do szerszego projektu centrolewicowego, ani nie osiągnie znaczącego wyniku wyborczego.

Blok lewicy byłby zdecydowanie lepszy niż blok jednej, wielkiej listy, bo ta lista chowałaby postulaty lewicy gdzieś głęboko. A Biedroń – na razie chce iść osobno. Ma znakomite spotkania, zachęcające do własnego projektu.

– Może powtarzać drogę, którą przeszedł Palikot i później Petru. Mówi się, że to droga Macrona, ale to nie tak – za Macronem stały duże siły, pieniądze i część rozpadającej się gwałtownie Partii Socjalistycznej. Tu tego nie ma. Biedroń to z perspektywy SLD potężne wyzwanie. Uważam, że w tym momencie SLD nie powinien wykonywać żadnego wyraźnego ruchu, jeśli chodzi o inicjatywę Biedronia. Ale jeżeli wykaże ona elementarną stabilność, trwałość, zasięg, wtedy w ogóle zmieni się scena polityczna. Dlatego wyraży irytacji, zniecierpliwienia, które czasami słychać w komentarzach lewicy dotyczących Biedronia, uważam za niesłuszne. Niech spróbuje! Problem polega na tym, że ma bardzo mało czasu. Myślę, że pod koniec stycznia przesądzi się los tej inicjatywy, bo do tego czasu SLD i Razem muszą wybrać strategię.

SLD nie może znów walczyć w drugiej lidze.

– To jest stały motyw naszych rozmów, że jeżeli ktoś ma aspiracje do drugiej ligi, pozostaje w niej albo nawet do niej się nie dostaje. Teraz jest moment zgłoszenia aspiracji do pierwszej ligi, a to można osiągnąć dwoma sposobami. Pierwszy – zbudować centrolewicową koalicję, SLD z Razem, z Zielonymi, ze wszystkimi dotychczasowymi

► udziałowcami kolejnych koalicji inicjowanych przez SLD; wszystkich pozbierać, porzucić powyborcze rozrachunki, godzić się, z kim się da. Nie atakować Nowackiej, Gawkowskiego, Piechny-Więckiewicz, pamiętać o najważniejszej emocji społecznej, czyli anty-PiS. Trzeba wykorzystać wybory do budowania nowej formacji z istniejących elementów, jeśli się da – z Biedroniem. To są rady dość banalne, ale wątpię, by zostały wysłuchane. W niewielkich, skłóconych wewnętrznie partiach jest mało dóbr i wielu pretendentów. I drugi sposób – to wielka koalicja opozycji.

Czyli wariant rezerwowy.

– Wbrew pozorom realniejszy – nie tylko z punktu widzenia SLD. Wielka antypisowska koalicja stanowi w gruncie rzeczy kalkę pomysłu na AWS, która była sojuszem antyeseldowskim – skutecznym w 1997 r. Obawiam się jednak dążenia PO do hegemonii.

Schetyna chce tak robić.

– Gra Schetyny jest czysto partyjna. To nie jest gra zatroskanego przywódcy, który byłby gotów się posunąć. Ale nie ma mniej talentów niż Krzaklewski i nowa AWS może się udać.

To, co zrobił Nowoczesnej, kiedy najpierw chodził pod rękę z Katarzyną Lubnauer, a zaraz potem rozwalił jej klub, popularyzacji mu nie przysporzyło.

– Został za to słusznie skrytykowany przez życzliwe PO media, czyli te, z którymi musi się liczyć. Taki sposób budowania koalicji nie poszerza liczby podmiotowych partnerów. A oni

Gra Schetyny jest czysto partyjna. To nie jest gra zatroskanego przywódcy, który byłby gotów się posunąć.

ze swoimi sztyldami są konieczni, bo w społeczeństwie wciąż potężne są blokady poparcia „czystej” PO. To są świeże rzeczy – ten klimat zamkniętej elity, jakieś sytuacje korupcyjne, zamrożenie płac budżetówki przez wiele lat; powszechny jest zarzut, że nic nie zrobili z biedą, a można było... PiS potrafiło itp.

PiS stoi na skale

A PiS nie osłabiają obecne awantury i afery?



Projekt wielkiej antypisowskiej koalicji jest trudny. I powinien pozostawać projektem awaryjnym. Nz. konferencja prasowa w Sejmie z udziałem liderów PO, Nowoczesnej, SLD, PSL, IP i UED, 2 listopada 2018 r.

– Kwestie praworządności, sądów, praw kobiet są żywe w miejskich, inteligentnych środowiskach, ale mało nośne w masach, w klasie ludowej. Tak samo KNF. Typowa reakcja w tej grupie to wzruszenie ramionami – że jedni i drudzy tacy sami złodzieje! PiS zbudowało poparcie na czymś, co samo w sobie jest okropne – na zawiści, na resentymentach. Wsadzenie jakichś szefów, bankierów przynosi poklask: znakomicie, gonia złodzieje! Represje,

do sejmików, w miastach – praktycznie wszystkich, nie tylko dużych i średnich. PiS wprowadzi dominuje na wsi, ale w miastach mieszka 60% ludności. PiS straciło 5 pkt proc. w stosunku do wyniku sejmowego i pół miliona głosów, mimo wyższej frekwencji, czyli nie tylko procentowo wyrażony wynik jest gorszy.

W jaki sposób anty-PiS wygrało w dużych miastach?

– Nastąpiła zmiana wzoru mobilizacji w wyborach samorządowych. Normalnie w wyborach samorządowych frekwencja w małych miastach i na wsi jest wyższa niż w parlamentarnych. A teraz to się wyrównało. Mieszkańcy miast zmobilizowali się bardziej, co pokazuje szansę na pokonanie PiS. Pod warunkiem że anty-PiS znajdzie formę organizacyjną.

Na co więc liczy PiS?

– Być może na zaskoczenie – np. przyspieszone wybory parlamentarne, jeszcze przed europejskimi. Poza tym obiektywne trudności powołania antypisowskiej koalicji są duże, a dodatkowo obóz obecnie rządzący robi wiele, aby nie powstała ani wielka koalicja anty-PiS, ani nawet jakieś ograniczone porozumienie dwóch bloków, które

przemoc mogą umacniać autorytet władzy. Dzieje pełne są ilustracji tego zjawiska. Z tym trzeba się liczyć. Jeśli ktoś myśli, że PiS rozpadnie się jak domek z kart od jednej czy drugiej afery, to się myli – nie rozpadnie się! PiS wydaje się stać na skale. Tę skalę tworzy część tradycyjnego elektoratu, religijnego i socjalnego, ale też dzięki temu, że PiS wyraża emocje sporych grup obywateli. Oczywiście anty-PiS jest większe! Dużo większe! Anty-PiS wygrało zdecydowanie w wyborach

zmniejszyłoby konkurencję i współdziałało w walce z PiS.

Konflikt jest niekorzystny dla PiS

Gdzie lewica ma zbierać głosy?

Skąd brać wyborców?

– O tym już mówiłem w naszych poprzednich rozmowach – klasy średnie, szeroko rozumiane, sfera budżetowa. Oświata, służba zdrowia, administracja. Pracownikom tych sfer nie poprawiło się, a relatywnie nawet pogorszyło! Są też swoiste grupy etosowe – np. na tle stosunku do PRL, do Kościoła katolickiego, świeckości państwa, ustaw antyaborcyjnych. Trzeba się zwracać do ludzi pracy – mówiąc starym językiem – do tych, którzy codziennie ciężko pracują za małe pieniądze.

A robotnicy?

– Robotników, takich klasycznych, trudno znaleźć. Mówimy o ludziach, którzy codziennie pracują. Wbrew pozorom oni są bardzo jasno określani, bardzo dużo ich łączy – wstajesz rano, idziesz do pracy, musisz codziennie być na czas. Są miliony takich ludzi. Nowy proletariatus. Te masy mogą być klientami lewicy. Dalej: trzeba podnosić sprawy światopoglądowe, wolności osobistej i poczucia bezpieczeństwa. Ale trzeba również dostrzec dobrą zmianę na przestrzeni ostatnich 30 lat. Spora część społeczeństwa ma poczucie względnej zamożności. I zaczyna się obawiać, że przyjdzie jakiś awanturnik i ten dostatek odbierze. Ten dostatek dla wielu ma postać różnych programów wsparcia, 500+ itd. Lewica musi być na te obawy wrażliwa.

A Europa?

– Jarosław Kaczyński kwestię europejską zdejmując z agendy. I to w sposób tak gwałtowny, że aż zdumiewający. Dlatego może ona się okazać nie bardzo nośna dla opozycji.

A rozdział Kościoła od państwa? Platforma nie wejdzie w ten spór, lewica jednak powinna.

– Zdecydowanie. I sprawa wolności osobistych. Liberalizacja ustaw antyaborcyjnych, an-

tykoncepcji. Lewica musi też podnosić problem bezkarności aparatu przymusu, wracać do ewidentnych wykroczeń, pobić, dziwnie działającej prokuratury, towarzyszącego temu klimatu. Z drugiej strony Polska to kraj, który odniósł sukces, więc chcielibyśmy się nim cieszyć!

A nie możemy...

– Trzeba sobie przypomnieć pomysły Tuska z 2007 r. Tamta kampania odbywała się w podobnych warunkach. To był czas rozpędzonej gospodarki, m.in. dzięki świeżemu

Jeżeli inicjatywa Biedronia wykaże elementarną stabilność, zasięg, wtedy zmieni się scena polityczna.

wejściu do Unii. Ale cały czas opinia publiczna była angażowana, wzniecano konflikty. Afera gruntowa, zapędy lustracyjne, Lepper i rozpad rządu, ofensywa klerykalizmu... PiS bardzo dużo straci, jeśli przestanie dostarczać w masowej skali poczucie bezpieczeństwa pewnego typu: że żyjemy w uporządkowanym świecie, ludzie są w zasadzie dobrzy, władza jest przewidywalna, chroni

życie i zdrowie obywateli, a my ten świat rozumiemy. W takiej sytuacji konflikt, nieważne, na jakim tle, niszczy takie wrażenie.

PiS to przecież partia, która generuje konflikty, która żyła z konfliktów.

– Ale teraz jej sytuacja jest odwrócona. Teraz to PiS rządzi.

Czyli teraz emocje grają na korzyść opozycji?

– Tak. Taki stan jest niekorzystny dla PiS. Oczywiście konflikt powoduje też mobilizację zwolenników obozu rządzącego. A w polityce

dobrze zorganizowana mniejszość zawsze wygra ze źle zorganizowaną większością. Istnieje więc niebezpieczeństwo, że ostra krystalizacja przy rozproszonej opozycji okaże się korzystna dla PiS. I to jest główna rachuba strategów tej partii. Że zmobilizujemy swoich, a tamci się nie dogadają, rozproszą. W końcu PiS w roku 2015 też nie miało większości, dostało 38% głosów. I gdyby lewica dostała się do Sejmu, PiS nie stworzyłoby rządu, a nawet gdyby, to ten rząd już ze dwa razy by się rozleciał.

Blok centrolewicy poszybuje

A jak w takim razie lewica ma się zderzyć z rozpowsechnioną opinią, że głos na nią jest głosem zmarnowanym? To będzie przecież trwało. I Platforma będzie tak mówiła, i jej media.

– Łatwo z tego wyjść. Jeśli powstanie szeroki, poważny blok centrolewicowy, to sondażowo poszybuje i będzie miał moc przyłączania innych. I trzeba z każdego przyłączenia robić wydarzenie. W tym układzie nie można dopuścić, żeby takie osoby jak Cimoszewicz były poza lewicą.

Już napisać na Facebooku, że powinna być jedna lista całej opozycji.



Robert Biedroń podczas burzy mózgów w Warszawie, 29 listopada 2018 r.

► – To, jak mówiliśmy, jest wariant awaryjny. Musi zostać podjęta próba stworzenia bloku centrolewicowego. Chodzi o dalszą przyszłość – blok AWS bis przecież się rozpadnie. Bezpieczniejszy byłby scenariusz dwublokowy. W tym sensie sytuacja, z punktu widzenia obywatela, który ma jeden interes – podtrzymanie demokratycznego państwa prawnego, jest dość korzystna.

A dla SLD?

– SLD znów może odegrać historyczną rolę, wyjść poza siebie. Powinien mieć świadomość, że może wiele pomóc, nie może nikogo podporządkować, może odegrać podmiotową rolę w budowie nowego bloku. Stale się łączyć. Odzyskać siłę przyciągania. Efekt nowości dałoby już porozumienie SLD z Razem.

Ale Razem ma słaby rezultat.

– Bardzo słaby. Nadal jednak ma sporą siłę symboliczną.

A Biedroń?

– Biedroń może być rzeczywiście niezainteresowany tym blokiem, ale

też powinien mieć do końca możliwość manewru – gdy się zorientuje, że to, co zbudował, jest niezłe, spore, ale nie takie, jakie chciał. I w styczniu-lutym wszystko musi być przesądzone. Żeby nie było list rozpadających się tuż przed momentem rejestracji. Bo wtedy znów nastąpi zniechęcenie, demobilizacja.

Jeśli ktoś myśli, że PiS się rozpadnie od jednej czy drugiej afery, to się myli.

A czy pan wierzy w liderów lewicy? Ich numer kapelusza?

– Lider w gruncie rzeczy jest społecznie konstruowany przez małą grupę pierwotnych zwolenników i następnie media. Patrzę na Schemy – on raz upada, innym razem idzie do góry. Jak go potraktował Tusk! A teraz jest w sytuacji, która go kreuje, jest uznawany przez kolegów, media za zwycięzcę. Ważne jest odbudowanie się po porażkach, zdobycie uznania społecznego. Inny

przykład – Kamila Gasiuk-Pihowicz. Widziałem ją na lipcowych manifestacjach, w obronie Sądu Najwyższego. Potrafiła przemawiać do tłumu, bardzo emocjonalnie, utrzymywać więź ze słuchaczami, a w innej sytuacji być bardzo merytoryczna. Wydawało się, że to idealna liderka. I oto przegrywa pewną grę i gaśnie cała

ta aura. Czynnika lidera bym więc nie absolutyzował. Nie w liderach problem. Bardziej się martwię o przyptyw młodych, wykształconych ludzi do polityki. Ona w polskich warunkach staje się brutalna i mało atrakcyjna. Kierownictwa partii wiele robią, by pokazywać marność postów, marność polityki, PiS w ogóle zdegradowało Sejm, pozbawiło szacunku, poważania. Państwo zamiast nabierać powagi – stało się tandetne. Znów ma sens kategoria „miękkiego państwa”. I to powinien być temat zasadniczej debaty politycznej.

Robert Walenciak

Polecamy na Nowy Rok

Warto przeczytać

Autor demaskuje fałszerstwa pravicowej propagandy. Pokazuje ochotników i ochotniczki z Brygad Międzynarodowych walczących w Hiszpanii. Ludzi ideowych i odważnych, a przy tym niepozbawionych wad. Ich losy były niezwykle powikłane i dramatyczne.

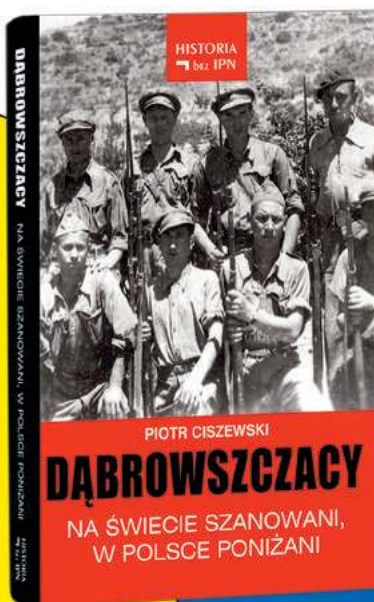
49 zł

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy:
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wybierz sposób dostawy:

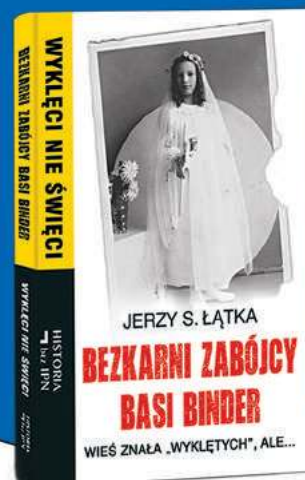
- GRATIS wysyłka poleconą Poczta Polska
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl



Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś знаła zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych”.

45 zł



INSPEKCJA OCHRONY NICZEGO

Zdrowie Polaków chroni instytucja, która nie działa

Tomasz Borejza

Inspekcja Ochrony Środowiska to prawdopodobnie najbardziej barejowska polska instytucja. Nie działa w niej nic, ale jej szefostwo stara się udawać, że wszystko funkcjonuje znakomicie. Robi to na różne sposoby. Na przykład kiedy w Polsce wybucha pożar składowiska odpadów, IOŚ wysyła na miejsce wóz pomiarowy. Tam bada powietrze i ogłasza, że mobilne laboratorium nic nie wykryło i nie ma zagrożenia dla zdrowia mieszkańców.

Nie mówi się jednak o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że pomiarów dokonano już po ugaszeniu pożaru. Po drugie, że przeprowadzono je za pomocą wozu zakupionego na wypadek zamachów terrorystycznych z wykorzystaniem gazów bojowych. Ten zaś pozwala stwierdzić, że w powietrzu nie ma sarinu, a nie to, że jest wolne od cze-
gokolwiek, co zagrażałoby zdrowiu. Tak było wiosną w Skawinie w czasie pożaru składowiska odpadów. Jednego z wielu w 2018 r. Z pozoru więc wszystko gra. W praktyce całe działanie to maskowanie własnej niemocy. Inspekcja Ochrony Środowiska nie radzi sobie bowiem z niczym.

BOJĘ SIĘ O SYNA

Sylwia Harazin mieszka w Łaziskach Górnych. To niewielkie miasto w powiecie mikołowskim, nieopodal Katowic. Sylwia boi się o zdrowie swoje i syna. Kilka metrów od jej posesji znajduje się zakład przemysłowy, z którego regularnie dolatuje fetor. Smród dusi i powoduje, że ludziom zbiera się na wymioty. Sylwia mówi, że wielu sąsiadów umiera z powodu nowotworów. Swój problem po raz pierwszy zgłosiła odpowiednim służbom w 2012 r.

– Kiedy go rozwiązano? – pytam. – Nie rozwiązano, problem jest nadal – odpowiada. I wylicza, co próbowała zrobić i gdzie pukała. A pu-

kała wszędzie: do IOŚ, do starostwa powiatowego, do urzędu miasta, do radnych, do sanepidu, do straży pożarnej i miejskiej, do policji, także do fundacji zajmujących się ochroną środowiska. Z każdego miejsca odsyłano ją z kwitkiem, mówiąc lub pisząc, że ze swoją sprawą powinna się zwrócić gdzie indziej, bo to cudze kompetencje.

Na przykład wojewódzka inspekcja ochrony środowiska odpisała jej, że nie przeprowadzi kontroli, bo zakład działa bez pozwolenia. Mógłby wydać je powiat, ale zakład nie musi go mieć, bo prowadzi emisję niezorganizowaną, a dokument jest potrzebny tylko wtedy, gdy jest ona

Jeżeli zakład emituje coś, na co nie ma pozwolenia, nikogo to nie obchodzi.

zorganizowana. W praktyce oznacza to, że zakład wypuszcza swoje opary przez otwarte okno, co w Polsce znacząco ułatwia biurokrację. Ułatwia, bo zakłady sprawdza się poprzez porównanie tego, co emitują, z pozwoleniem. Jeżeli więc emitują coś, na co pozwolenia nie mają, nikogo to nie obchodzi. A kiedy nie mają pozwolenia na nic, nikt się nimi nie interesuje. Co nie robi wielkiej różnicy, bo interwencje i tak są nieskuteczne. Kontrole albo są zapowiedziane z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, albo kończą się tak jak przeprowadzona w Łaziskach Górnych. Tam po latach proszenia i wysyłania pism udało się wymusić pomiar tego, co emituje sąsiadujący z domami zakład. Okazało się, że w powietrzu są rakotwórcze substancje. Karą było upomnienie.

Kontakty z urzędami nauczyły Sylwię jednego – jeśli chce coś załatwić, musi zrobić to sama. Lekcję tę przyswoiła sobie tak bardzo, że po godzinach siedzi i studiuje przepisy prawa ochrony środowiska. W rozmowie z nią najbardziej uderza właśnie przekonanie, że załatwienie

problemu, który powinny rozwiązać państwo i samorząd, jest jej odpowiedzialnością. A problem nie jest lokalny. Podobne sytuacje mają miejsce w całym kraju. Na wiosnę przedstawiciele średnich miast, które nie radzą sobie z emisjami z zakładów przemysłowych, stworzyli Niepolityczną Koalicję Miast Przeciw Toksycznym Emisjom Przemysłowym i Niebezpiecznym Składowiskom Odpadów „Dość Trucia”. Zorganizowali ją skawinianie, a rozpoczęcie działań ogłoszono w Mielcu.

PROSZĘ ZGŁOSIĆ ZAKŁADOWI

Podkrakowska Skawina ma długą i złą historię sąsiedowania z zakładami przemysłowymi. Jeszcze w PRL funkcjonowała tam huta aluminium, o której do dziś mówi się tam dwie rzeczy: że emisje z niej zwierzętom pasącym się w pobliżu rozpuszczały kości i że wreszcie udało się ją zamknąć i odebrać choć trochę mniej skażonym powietrzem. Być może to tamten sukces spowodował, że i dziś mieszkańcy Skawiny – ci skupieni wokół Skawin-
skiego Alarmu Smogowego – działają z dużym rozmachem i wiarą w sukces. Nie mają zresztą wyjścia, bo problemów jest bardzo dużo, a próby zgłaszania ich do urzędów przynoszą isticie barejowskie efekty.

Karą za emitowanie rakotwórczych substancji było upomnienie.

Zorganizowano tam np. spotkanie mieszkańców z nową szefową wojewódzkiej inspekcji ochrony środowiska (jej poprzednik został awansowany do Warszawy). Ludzie wykorzystali okazję, by opowiedzieć o swoich bolączkach. Najwięcej skarg dotyczyło jednego z ok. 40 działających w mieście zakładów szkodliwych dla środowiska. Obecna na spotkaniu kobieta zapytała, co może zrobić, kiedy dochodzi z niego fetor. Usłyszała, że przede wszystkim powinna podejść do zakładu i w nim zgłosić, że coś jest ▶

► nie w porządku. Tam z pewnością się tym zajmą, bo WIOŚ już z truciścielem rozmawiała i ten deklaruje chęć współpracy.

– System inspekcji totalnie i całkowicie nie działa. Na przykład nikt w Polsce nie jest w stanie sprawdzić natężenia szkodliwych substancji emitowanych do powietrza przez zakłady przemysłowe – opowiada Łukasz Kurlit ze Skawińskiego Alarmu Smogowego i wylicza jeszcze inne problemy. Wśród nich jest chociażby to, że kiedy wydaje się zgody na działanie zakładów uciążliwych dla środowiska, nie sumuje się ich skutków. Jeżeli więc jakiś poziom niebezpiecznych substancji uznaje się za w miarę bezpieczny, to nowa fabryka dostanie zgodę na mniej więcej taką emisję. Kiedy jednak zakładów jest w mieście więcej, każdy z nich może liczyć na podobną zgodę i nikt emisji nie sumuje. Ilość szkodliwych substancji może zatem wielokrotnie przekraczać granicę bezpieczeństwa.

Kurlit, który prężnie działa w Skawinie, wie, że potrzebna jest głęboka reforma systemu i jedno średniej wielkości miasto nie uzyska na tym polu zbyt wiele. Dlatego zainicjował powstanie koalicji „Dość Trucia”, do której dołączają przedstawiciele kolejnych miejscowości mających podobne problemy: Oświęcimia, Dąbrowy Górniczej, Szczecinka, Żar, Łazisk Górnych i kilku innych. Najważniejszy postulat to stworzenie w Polsce realnie działającej Inspekcji Ochrony Środowiska. Jest też kilka pomniejszych, w tym opracowanie mapy terenów zdegradowanych przez przemysł. Powstanie koalicji ogłoszono w Mielcu,

co nie było przypadkiem. Tam wiosną odbył się gigantyczny protest, w którym wzięło udział 15 tys. osób – co czwarty mieszkaniec miasta.

WIESZ, JAK TO WYGLĄDA

Demonstrowano przeciwko mieleckim zakładom Kronospanu. Firma zajmująca się produkcją płyt meblowych i paneli działa tam od ponad 20 lat. W tym czasie otrzymała wiele ekologicznych certyfikatów. Mieszkańcy Mielca uśmiechają się ironicznie, kiedy o nich mówią, i dodają, że z fabrycznych kominów wylatują złe rzeczy. Do końca nie wiadomo co, ponieważ kontrola w takich miejscach opiera się na automonitoringu,

Kontrolę po pożarze składowiska przeprowadzono za pomocą wozu mogącego wykryć tylko gazy bojowe. Ich obecności nie stwierdzono.

a sprawdza się – patrz kasus Łazisk Górnych – głównie to, co jest w pozwoleniach, ignorując wszystko, czego w nich nie zapisano. Mielczanie uważają zresztą dość powszechnie, że służbom ochrony środowiska nie można ufać i przez lata nie sprawdzano kompletnie niczego. Dopiero niedawno wymuszono kontrolę, która stwierdziła przekroczenia.

– Nikt nic nie sprawdzał. Ludzie to wdychali i dopóki nie doszłoby do tragedii polegającej na tym, że zwłoki leżą na ulicach, nikogo nic by nie obchodziło. Można byłoby wyrzucić cyklon B i nikt by nie wiedział, że to jest ta substancja – opowiada Piotr Kozub, trener crossfitu, jeden z organizatorów protestu. Zapytany, dlaczego tak było, wzrusza ramionami:

– Dobrze wiesz, jak to wygląda. To zdanie, krótkie i ogólne, każdemu znającemu Polskę powiatową mówi wszystko.

Przez lata w Mielcu, w którym zakładów przemysłowych jest sporo, ignorowano sprawy środowiska, bo kraj na dorobku przedkładał nad zdrowie wzrost gospodarczy. W związku z tym dbano, żeby nic nie przeszkadzało inwestorom oraz wielkim przedsiębiorcom. Efektem było powstanie systemu, który choć w teorii istniał, w praktyce jego zadaniem było zamiatanie problemów pod dywan, a nie ich rozwiązywanie. Zmieniły się jednak czasy, a wraz z nimi oczekiwania społeczne. Kozub, z wykształcenia socjolog, mówi o tym tak:

– Było bezrobocie na poziomie 20%. Człowiek, który ma problem z zaspokojeniem potrzeb podstawowych, nie myśli o potrzebach wyższych. W tym wypadku powietrze jest potrzebą wyższą. Jak nie zjesz przez kilka dni, to jesteś głodny. Jak oddychasz syfem, to jesteś w stanie się przyzwyczaić. To się zmieniło. Bezrobocie spadło do 7%. I dopiero kiedy ludzie przestali się bać, zbuntowali się.

JAK USTALIĆ, ŻE ŚMIERDZI?

Mniej więcej w tym samym czasie w Polsce doszło do serii pożarów składowisk odpadów. W związku z tym pojawiło się przejściowe zainteresowanie sprawami ochrony środowiska – i kilka deklaracji rządzących. Przełożyły się one na zmianę kadrową na stanowisku głównego inspektora ochrony środowiska. Został nim Paweł Ciećko, który na razie nie rokuje zmiany jakości pracy urzędu, o czym wiele może opowiedzieć Remigiusz Krajniak z Żar. Minister Ciećko kilka miesięcy temu umówił się z nim na rozmowę, ale nigdy nie ma czasu i zawsze prosi o telefon w innym terminie. Na to, by oddzwonić w terminie dogodnym dla siebie, jeszcze nie wpadł, bo przecież wiadomo, że obywatel powinien dobijać się do ministra, a nie minister do obywatela.

Próbowałem umówić się z ministrem Ciećką na rozmowę, w której chciałem zapytać o problemy Sylwii

24 grudnia 2018 r.
w wieku 80 lat zmarł

ppłk, mgr prawa RAJMUND KASZYCKI

Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
„Polonia Restituta”

Żona Krystyna z córkami i wnukami

Redaktor Beacie Dżon

serdecznie współczujemy z powodu śmierci Ojczy
przyjaciele z „Przeglądu”

NAJNOWSZY RANKING

50 NAJBARDZIEJ ZANIECZYSZCZONYCH MIAST



Harazin, Piotra Kozuba, Remigiusza Krajniaka i Łukasza Kurlita. Kiedy jednak główny inspektor, początkowo chętny, usłyszał, że nie otrzyma przed wywiadem listy pytań – zaczął mnie unikać. W końcu na kilka pytań odpowiedział pisemnie, lecz wielu konkretów tu nie było.

Drugim efektem chwilowego zainteresowania jest dofinansowanie IOŚ, która dzisiaj służy głównie za kuźnię kadr dla biznesu, szukającego w niej specjalistów od radzenia sobie z dziurawym polskim prawem ochrony środowiska, mających kontakty i znających metody działania inspekcji. I znów konkretów, tego, co może przynieść realną zmianę, jest niewiele.

Ludzie z miast zrzeszonych w koalicji „Dość Trucia” nie wierzą w efekty dotychczasowych reform. Rzecz bowiem nie w tym, by wymusić, że „coś” zacznie się robić w tej dziedzinie, ale w tym, by wszystko zaczęło działać w sposób przemyślany i skuteczny. „Coś” oznacza w tym wypadku znowu więcej Barei. Uczy tego doświadczenie Oświęcimia, gdzie ziemia jest najbardziej skażona w Polsce, uprawianych na niej warzyw nie powinno się jeść (w wielu innych miejscach w kraju skażenie gruntu jest tak duże, że roślin, które na nim wyrosły, nie powinny jeść dzieci), o czym jednak nikt nie poinformował właścicieli ogródków działkowych i przydomowych. Poza tym czuć przemysłowy fetor. I w tej sprawie zrobiono właśnie „coś”. Wydano 120 tys. zł, by ustalić, że miejsce, o którym ludzie wiedzieli, że śmierdzi – rzeczywiście śmierdzi.

Wcześniej wyglądało to tak, że szef firmy stał nad zbiornikiem będącym źródłem odoru i mówił, że nic nie czuje. Dodając później – jak opowiedział mi Bartłomiej Gieręgowski z Oświęcimia – że wie, co śmierdzi, ale nie może powiedzieć. Czyli „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?”. Po jakimś czasie udało się wyłączyć zbiornik z użytku, ale nie usunięto źródła problemu, więc fetor wkrótce wrócił. I tak jest z wieloma innymi rzeczami, w których coś się połata, coś pomaluje, coś obieca i jakoś to wszystko się kręci. W tymże Oświęcimiu kilka lat temu odkryto, że w powietrzu jest toksyczny styren. Nic z tym nie zrobiono, uznając, że to normalne.

Tomasz Borejza

IPN – wierny sojusznik PiS

Dr. Puławskiego odsunięto, bo jego ustalenia były niezgodne z linią partii

Adam Leszczyński

W grudniu 2018 r. uczciwość i rzetelność badawcza odniosły małe, ale znaczące zwycięstwo nad polityką historyczną w wydaniu Prawa i Sprawiedliwości. Do druku trafiła książka dr. Adama Puławskiego, historyka szykanowanego w Instytucie Pamięci Narodowej, a potem odsuniętego od prowadzenia badań naukowych. Głównym grzechem dr. Puławskiego były niezgodne z linią partii rządzącej wyniki badań.

Dr Puławski poniósł przewidywalne konsekwencje wykazania się odwagą cywilną. Nie tylko stracił etat badacza w państwowej instytucji, ale także musiał wydać książkę za własne oszczędności. Jeśli będzie chciał się ubiegać o habilitację – do czego jako recenzent wydawniczy jego książki usilnie go zachęcałem – będzie musiał sam wyłożyć na pokrycie kosztów procedury ok. 25 tys. zł (w przypadku naukowca zatrudnionego na etacie koszty procedury awansowej pokrywa instytucja, w której pracuje).

Przypomnijmy, o co poszło. Dr Puławski od wielu lat zajmuje się kwestiami szczególnie wrażliwymi z punktu widzenia polityki historycznej rządu PiS – stosunkami polsko-żydowskimi w czasie okupacji. Specjalizuje się w newralgicznym zagadnieniu: postawie władz Polskiego Państwa Podziemnego i rządu w Londynie wobec Zagłady. Oficjalna rządowa wykładnia jest taka: rząd RP na uchodźstwie oraz jego podziemne agendy w kraju, z prasą podziemną włącznie, przyglądały się ludobójstwu popełnianemu przez Niemców na polskich Żydach z oburzeniem, odrazą i poczuciem solidarności. Nieustannie także alarmowały rządy aliantów, przede wszystkim Brytyjczyków i Amerykanów, o tym, jak straszliwych zbrodni dopuszczają się Niemcy nad Wisłą.

Badania dr. Puławskiego – bardzo rozległe i prowadzone na niezwykle

obszernym materiale archiwalnym – pokazują, że było inaczej. Żydów nigdy władze państwa podziemnego nie traktowały jak polskich obywateli równych etnicznie Polakom – zawsze byli ludźmi obcymi, obywatelami drugiej kategorii, „onymi”, których dzieliła od „prawdziwych Polaków” nieprzekraczalna granica obcości. Samą Zagładę postrzegano zaś jako wydarzenie drugorzędne. Rząd RP przypominał sobie, że polscy Żydzi są polskimi obywatelami, przede wszystkim wówczas, kiedy mógł w ten sposób ugrać coś politycznie u aliantów. Dr Puławski opisał to w 2009 r. w wydanej przez ówczesny IPN książce „W obliczu Zagłady. Rząd RP na Uchodźstwie, Delegatura Rządu RP na Kraj, ZWZ-AK wobec deportacji Żydów do obozów zagłady (1941-1942)”.

W drugiej książce dr Puławski skupił się na polityce władz RP wobec Żydów w kluczowym momencie Zagłady – od „Wielkiej akcji” aż po powstanie w getcie warszawskim. Czasy jednak się zmieniły i coś, co IPN był jeszcze w stanie przełknąć

Władze państwa podziemnego nigdy nie traktowały Żydów jak polskich obywateli równych etnicznie Polakom.

w roku 2009, stało się niemożliwe do zaakceptowania. Historykowi zarzucano „pisanie pod tezę”, zmieniono recenzentów wewnętrznych na ludzi o słusznych poglądach. Ciąg dalszy znamy.

Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że prezes instytutu, dr Jarosław Szarek, skarżył się w czerwcu 2018 r. w wywiadzie dla „Naszego Dziennika” na brak badaczy zajmujących się Zagładą. W IPN było ich wtedy tylko 13 i dlatego – jak przekonywał – jego instytucja nie mogła dać należytego oporu oczernianiu Polaków przez autorów książki „Dalej jest noc”, wydanego na początku roku dzieła zbiorowego, pokazującego często fatalny stosunek Polaków do Żydów w czasie

okupacji i nierzadkie przypadki kolaboracji z Niemcami w mordowaniu „żydowskich braci”. Ten deficyt nie przeszkodził zjechać do pracy biurowej jednego z nielicznych badaczy Zagłady, których IPN miał na liście płac.

PORZUCONE POZORY BEZSTRONNOŚCI

Historia dr. Puławskiego stanowi tylko jeden z wielu przykładów transformacji IPN w oręż partii rządzącej. To przemiana jawna i radykalna – IPN (utworzony 19 stycznia 1999 r.) zawsze miał sympatie polityczne, ale przynajmniej udawał bezstronną instytucję publiczną. Dziś nikt nawet nie próbuje tego robić.

W grudniu 2017 r. prezes Szarek podpisał w Toruniu porozumienie ze szkołą o. Rydyzka (w której nie ma kierunku historia). IPN z uczelnią Rydyzka miał prowadzić „wspólną politykę przywracania pamięci historycznej”. „Instytut Pamięci Narodowej jest instytucją o określonej myśli, tak samo i na tej uczelni ta misja jest realizowana. Jest to bardzo

ważny ośrodek. (...) Cieszymy się, że będziemy działać razem, bo chcemy, aby polskość trwała”, mówił wówczas prezes.

Sam prezes – historyk, którego głównym dorobkiem były pisane w duchu katolicko-narodowym książeczki dla dzieci – konsekwentnie i publicznie wspiera politykę rządzących. Historia jest tu czarno-białą czytanką. W jednym z wywiadów powiedział np., że Okrągły Stół był „drugą Jaltą”. Jest to, zauważmy, nawet nie tyle nietrafiona metafora, ile stawianie prawdy historycznej na głowie. W Jaltie zwycięskie mocarstwa oddały – co prawda krygując się nieco i domagając pewnych gwarancji, ale zawsze – Polskę pod wpływ-



wy Stalina. Przy Okrągłym Stole było na odwrót: brali w nim udział Polacy, a Polska w wyniku rozmów odzyskała pełną suwerenność wewnętrzną i zewnętrzną, wracając do rodziny demokratycznych krajów Zachodu.

Podobnych wypowiedzi czy to samego prezesa, czy historyków związanych z IPN można bez trudu przytoczyć więcej.

IPN przy tym wytrwale zwalcza tradycję nie tylko i nie tyle komunistyczną, ile lewicową. Kiedy w marcu 2018 r. w Zamościu usunięto tablicę pamiątkową ku czci urodzonej w tym mieście Róży Luksemburg, na internetowym fanpage'u gdańskiego oddziału instytutu można było przeczytać (i nadal można), że działaczka polskiej i niemieckiej socjaldemokracji „odegrała niechlubną rolę w historii polskiej niepodległości” i była „afirmatorką” rewolucji bolszewickiej „ze wszystkimi jej zbrodnictwami rezultatami”. Róża Luksemburg oczywiście nie była zwolenniczką ani samego Lenina, ani stosowanego przez bolszewików terroru.

Podobne utożsamianie szeroko rozumianej tradycji lewicy z komunizmem zdarzało się historykom z IPN wiele razy. Szczególnie widoczne było to podczas dyskusji nad patronami ulic i placów „dekomunizowanych” na mocy uchwalonej przez PiS w 2016 r. ustawy. IPN uznał za skażonych komunizmem m.in. Stanisława Tołwińskiego czy dąbrowszczaków.

W ekspertyzie napisanej dla Naczelnego Sądu Administracyjnego – który 7 grudnia 2018 r. uchylił warszawskie decyzje „dekomunizacyjne” wojewody z PiS – historyk prof. Piotr Osęka pisał, że działania IPN stanowią przejaw „wojowniczego dyskursu pamięci”. Według Osęki działanie IPN w sprawie nazw ulic „jest konsekwencją i rozwinięciem stanowiska prezesa IPN Jarosława Szarka, który rok temu w publicznej wypowiedzi stwierdził, że »w historii nie może

Zagładę postrzegano jako wydarzenie drugorzędne.

być schizofrenii, ona też opiera się o system wartości. Ktoś był po dobrej stronie, a ktoś po złej». Prezes Szarek wskazał też na konieczność wykorzenienia »spuścizny, [która] nadal istnieje w umysłach ludzkich«.

Prof. Osęka pisze: „Stanowisko IPN jest formą administrowania pamięcią społeczną, a nawet »konfiskowania pamięci«. Oto państwo poprzez swoje instytucje odgórnie wyznacza obywatelom, jakie osoby oraz instytucje zasługują na upamiętnienie, a o jakich powinno się zapomnieć”.

W STRONĘ RADYKALIZACJI

Przypomnijmy, że IPN powstał po to, aby zrealizować polityczne zadania. Powołał go do życia Sejm

18 grudnia 1998 r., głosami wszystkich ważnych ugrupowań – z wyjątkiem SLD. Ówczesny polityk Unii Wolności, dzisiaj publicysta, Mirosław Czech przepraszał później, że głosował za. Ewolucja IPN prowadziła zaś w stronę radykalizacji.

W preambule do ustawy z 1998 r. czytamy m.in. o „zachowaniu pamięci o ogromie ofiar, strat i szkód poniesionych przez Naród Polski w latach II wojny światowej i po jej zakończeniu”, o „patriotycznych tradycjach zmagania Narodu Polskiego z okupantami, nazizmem i komunizmem”, o „powinności zadośćuczynienia przez nasze państwo wszystkim pokrzywdzonym przez państwo łamiące prawa człowieka” i o tym, że postowie oraz senatorowie dają wyraz „przekonaniu, że żadne bezprawne działania państwa przeciwko obywatelom nie mogą być chronione tajemnicą ani nie mogą ulec zapomnieniu”.

IPN miał obowiązek m.in. „ewidencjonowania, gromadzenia, przechowywania, opracowywania, zabezpieczania, udostępniania i publikowania dokumentów” organów bezpieczeństwa państwa od 1944 do 1990 r., dotyczących zbrodni i represji „nazistowskich i komunistycznych”, ścigania tych przestępstw, sprawdzania oświadczeń lustracyjnych oraz „prowadzenia działań w zakresie edukacji publicznej”.

Szybko stał się dużą organizacją – już pod koniec 2007 r. zatrudniał ponad 2 tys. pracowników. Dziś jest ich 2,2 tys., a utrzymanie IPN w 2017 r. kosztowało ponad 280 mln zł.

„Z powstaniem IPN wiązano różne nadzieje – pisał 11 lat po jego utworzeniu historyk prof. Andrzej Friszke. – Zbudowany został na bazie istniejącej od dziesięcioleci Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (do 1990 r. Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich), która zajmowała się badaniem i ściganiem zbrodni z okresu II wojny światowej. Powstający IPN odziedziczył z Komisji jej archiwa, znakomitą bibliotekę i kilku prokuratorów. Już w latach 90. Główna Komisja zajęła się badaniem i ściganiem także

► zbrodni stalinowskich. Przeniesienie tych wątków do IPN było więc naturalne. Powstanie IPN miało rozwiązać problem archiwów służb specjalnych PRL, tak by oddzielić je od współczesnych służb wolnej Rzeczypospolitej i wyeliminować pokusę posługiwania się »teczkami« w grach politycznych. Tym bardziej więc chodziło o odcięcie dostępu do tych akt politykom”.

Już pierwotnym celem IPN miało być zatem „rozliczenie” czasów PRL. Temu służyła stworzona wówczas kategoria pokrzywdzonego, czyli osoby, która była obiektem inwigilacji czy represji ze strony PRL. IPN miał określać, kto jest pokrzywdzonym, dawać stosowne zaświadczenia i dostęp do akt, które tych ludzi dotyczyły. Skończyło się, jak pamiętamy, obsesją lustracyjną, która ogarnęła Polskę nieco ponad dekadę temu.

ZAWSZE NA PRAWO

Od początku też IPN był sojusznikiem PiS. 18 stycznia 2007 r. ówczesny premier Jarosław Kaczyński mówił do historyków z instytutu na spotkaniu w Wieliczce: „Pracujecie nad przeszłością, ale pracujecie dla przyszłości. (...) Zgromadzony tu zasób archiwalny jest niezwykle ważny dla tego, co dzieje się dzisiaj w Polsce. Prowadzi czasem do wstrząsów i szoków, ale buduje nowy, lepszy porządek życia publicznego, buduje to, co nazywamy czasem IV RP”.

Kaczyński nie pozostawiał wątpliwości. „Jesteście na pierwszej linii frontu walki o prawdę i godność naszego narodu”, zapewniał. Potem razem z prezesem IPN Januszem Kurtyką i dyrektorem krakowskiego oddziału prof. Ryszardem Terleckim (dziś wicemarszałkiem Sejmu z PiS) wybrał się zwiedzać magazyn, w którym zgromadzono kilometry archiwów Służby Bezpieczeństwa.

Prof. Antoni Dudek, wieloletni współpracownik Janusza Kurtyki, wspomina go następująco: „Wielokrotnie słuchając i przyglądając się

Kurtyce w działaniu, miałem wrażenie, że zachowuje się on jak dowódca oddziału walczącego na froncie świadomości historycznej Polaków. Bronią w tej wojnie miały być książki, wystawy, konferencje, ale także informacje z akt bezpieki oraz procesy oskarżonych o zbrodnie komunistyczne. Prowadzone przez niego narady miały coś z odpraw. Pozwalał wprowadzić zabierać na nich głos wszystkim obecnym, ale ostatnie słowo zawsze miało należeć do prezesa”.

Kurtyce wszelkie formy współpracy z komunizmem jawiły się jako zdrada i wcielenie zła. PRL po 1956 r. była dla niego tym samym co stalinizm, tylko w lekko upudrowianej postaci.

IPN zatrudnia 2,2 tys. pracowników. W 2017 r. jego utrzymanie kosztowało ponad 280 mln zł.

Ewolucja IPN przebiegała więc dokładnie w rytm zmian polskiego życia publicznego. Powstał na fali dążeń do „rozliczeń z komunizmem” i lustracji pod koniec lat 90. Kiedy polska polityka się radykalizowała i polaryzowała, przesunął się – zawsze na prawo.

INSTYTUT NA FRONCIE

Rządy PO przyniosły tylko przejściowe zatrzymanie tego procesu. Platforma naturalnie nie oczyściła IPN, chociaż miała szansę po śmierci prezesa Kurtyki w katastrofie smoleńskiej w 2010 r. Prezesem został dr Łukasz Kamiński, historyk o umiarkowaniu konserwatywnych poglądach. Jego prezesura nie zadowoliła nikogo. Dla PiS był za mało radykalny, dla lewicy – zbyt bliski PiS.

Po wygranej PiS w wyborach w 2015 r. do instytutu napłynęli badacze związani ze skrajną prawicą – jeszcze bardziej na prawo od PiS. Media stawiały takie zarzuty dr. Mariuszowi Bechcie czy dr. hab. Tomaszowi Panfilowi, niech te nazwiska wystarczą jako ilustracja. Kierow-

nictwo instytutu jest na ideologicznej wojnie o Polskę po stronie PiS. O ile wcześniej przynajmniej teoretycznie twierdziło, że dopuszcza współistnienie rozmaitych nurtów badawczych, o tyle dziś nie ma o tym mowy. Instytut jest na froncie – w Polsce i za granicą.

Oto jeden drobny przykład. „Polska dyplomacja zaangażowała się w nacjonalistyczny *Kulturkampf*”, mówił w wywiadzie dla Jewish.pl 7 grudnia prof. Jan Grabowski, jeden z najważniejszych polskich badaczy Holocaustu, dodając, że uważa IPN za zbrojne ramię tej dyplomacji. Kilka dni wcześniej przedstawiciel IPN wygłosił na uniwersytecie w Ottawie, na którym pracuje prof. Grabowski,

wykład o Zagładzie (według profesora mało kto treść zrozumiał, bo delegat IPN fatalnie mówił po angielsku). Zostawił też równie kompromitującą wystawę – o Polakach ratujących Żydów, pokazującą zgodnie z linią partii, że naród polski w przytłaczającej większości współczuł Żydom i próbował im pomóc. „Na wystawie pojawili się moi koledzy i koleżanki z wydziału, którzy wykładają metodologię historii. No bo trudno o bardziej jaskrawy przykład pogwałcenia podstaw metodologicznych naszej dziedziny wiedzy”, komentował prof. Grabowski.

IPN płaci więc dziś – a z nim my wszyscy – cenę za swoje polityczne korzenie oraz wiele lat zaniedbań ze strony demokratycznych władz III RP, które zbudowały instytucję stanowiącą idealne narzędzie wojującego nacjonalizmu. To było wpisane w jego misję od początku – dziś robi to samo co kiedyś, tylko bez zahamowań i w radykalnym wariantcie.

Jest grzechem Platformy, że w 2015 r. był do roli narzędzia PiS całkowicie przygotowany. Ciekawe, czy po przegranej tej partii wszystko zostanie w IPN po staremu i będzie mógł czekać na powrót prezesa Kaczyńskiego do władzy. Bo w to, że zostanie rozwiązany, trudno uwierzyć.

Adam Leszczyński jest historykiem i publicystą, profesorem Uniwersytetu SWPS w Warszawie, dziennikarzem OKO.press

Przepraszam byłego Lekarza Kierującego Oddziałem Hematologii Szpitala MSWiA w Olsztynie za niesłusznie wywołaną falę krytyki i negatywnych komentarzy, które pojawiły się po opublikowaniu artykułu opierającego się na udzielonym przeze mnie wywiadzie w związku z powództwami o działanie mające znamiona mobbingu, które to zostały jednoznacznie oddalone prawomocnymi wyrokami sądów.

Waldemar Kulikowski

Z Galicji



Jan Widacki

Stary rok skończył się optymistycznie. Ten optymizm tchnęli w nas w grudniu pan prezydent z panem premierem. Węgla mamy na 200 lat, a pan prezydent „nie da zarzącić polskiego górnictwa”. Wszyscy odechnęliśmy z ulgą. Głębokość oddechu była co prawda nieco ograniczona przez maski przeciwsmogowe, ale zawsze. Sama świadomość, że przez najbliższe 200 lat Polki i Polacy jako jedyni w świecie będą mogli bez ograniczeń wdychać spaliny węglowe, jest krzepiąca. To polski węgiel, polski dym, polski smog i polski smród. Można do tego dopasować słowa „Roty”: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz smród!” – będzie jeszcze bardziej patriotycznie. Zaprawdę, każda myśl pana prezydenta jest głęboka niczym odkrywka węgla brunatnego, a spojrzenie na świat jasne i szerokie jak chodnik kopalni węgla kamiennego.

z aborcją i in vitro? Kaczyński był dotąd zbyt sprytny, by zdecydowanie w to się pakować. Wolał to robić dyskretnie. Wiedział, że może na tym więcej stracić, niż zyskać, zwłaszcza w młodym elektoracie.

Mogłoby się wydawać, że nadchodzi czas dla opozycji. Niestety, nic nie wskazuje na to, by potrafiła ona dobrze wykorzystać sytuację. Petru, który jeszcze niedawno widział się na fotelu lidera opozycji, ale padł ugodzony strzałą amora, opuścił dryfującą Nowoczesną i ostatnio założył nową kanapową partię. Partia ta nic na scenie politycznej nie zdziała, co najwyżej odbierze parę procent Nowoczesnej i Platformie, bo przecież nie PiS. W Nowoczesnej rozłam. Gasiuk-Pihowicz z kilkoma posłami tej partii przeszła do PO. Jedynym skutkiem tego manewru było uczynienie z Koalicji Obywatelskiej atrapy. Wychodzi na to, że to teraz koalicja

NA NOWY ROK

W tym kontekście należy też odczytywać słowa pana premiera, że w walce o ekologię Polska pod rządami PiS jest liderem. Rzeczywiście, na 50 miast o najbardziej toksycznym powietrzu na świecie 36 to nasze polskie miasta! Nasza pozycja na czele jest dziś niekwestionowana i wszystko wskazuje na to, że jeszcze się umocni. Obyśmy tylko dożyli. Co, gdy się wdycha smog, nie jest łatwe. Ale Polak potrafi!

W ostatnich tygodniach dowiedzieliśmy się, że żyje wśród nas tak skromny, że nikt o nim dotąd nie wiedział, prawnik z Częstochowy, niejaki radca Kowalczyk. Jego usługi są wprawdzie drogie, wycenione przez nie byle kogo, bo przez szefa Komisji Nadzoru Finansowego (a na pieniądzech przecież ten się zna!) na 40 mln zł, ale i tak jest rozchwytywany. Zabiegają o niego zewsząd. Nawet Solorz go zatrudnił. Zawsze PiS głosiło, że troszczy się o zwykłego, szarego człowieka. Niektórzy nie dowierzali. A tu proszę! Jaka troska o skromnego, szarego prawnika z Częstochowy.

Wszystko wskazuje na to, że PiS straciło impet. Remis w wyborach samorządowych, wycofanie się pod naciskiem Europy z destrukcji Sądu Najwyższego, do tego afera goni afery, a gdzieś pod dywanem gryzą się buldogi Morawiecki z Ziobrą. Ten ostatni konflikt jest – jak się zdaje – na rękę Kaczyńskiemu, bo dzięki temu żaden z buldogów nie wyrośnie na delfina, a on wciąż jest arbitrem. Raz poprze jednego, raz drugiego, każdy buldogodelfin zabiegać musi o jego względy i poparcie. Na razie. Bo taka sytuacja trwać wiecznie nie będzie i konflikt może się wymknąć spod kontroli starzejącego się prezesa. Do tego Rydzyk tworzy nową partię. Nie odbierze ona głosów Platformie, raczej skubnie PiS. Czyżby manewr świątobliwego inaczej biznesmena z Torunia miał dyscyplinować PiS i Kaczyńskiego i pchać ich w konflikty światopoglądowe? Zmusić do wpisania na sztandary walki

Platformy z Platformą. Zamiast koalicję rozszerzać, właśnie ją zawężono. Ruch ten może zapewnić Gasiuk-Pihowicz po najbliższych wyborach miejsce w Sejmie z listy Platformy. Z listy Nowoczesnej pewnie do Sejmu by się nie dostała. A wspólnej listy ryzykować nie chciała. Nie do końca wierzyła, że taka lista powstanie?

Obecność Gasiuk-Pihowicz w przyszłym Sejmie jest więcej warta niż odsunięcie PiS od władzy? Nie pochwalam Gasiuk-Pihowicz, ale przynajmniej rozumiem jej intencje. Ale Schetyna? Dlaczego do tego dopuścił? Chce budować szeroką koalicję, a równocześnie pokazuje, że chętnie zżera przystawki? Ma to zachęcić innych do wstępowania do koalicji?

Elektorat lewicy wciąż nie ma politycznej reprezentacji. SLD nie potrafi dogadać się z Razem, więc idą osobno. Nowacka przetarła szlak dla Gasiuk-Pihowicz i już dawno uciekła do Platformy. Został Biedroń. Czy jego inicjatywa się uda? Bardzo bym chciał. Czy lewicy uda się zjednoczyć przed wyborami? Gdyby się udało, obojętne, czy szłaby do wyborów sama, czy w koalicji z Platformą, byłaby szansa odsunąć PiS od władzy w najbliższych wyborach.

Tak czy owak skończył się rok 2018. Zaczyna się 2019. Ważny rok dla Polski. Rok wyborów do europarlamentu, a potem do Sejmu i Senatu.

Życzę sobie i nam wszystkim, by po tych wyborach parlamentarnych Polska nie była tak wielka jak Kaczyński na drabinie, tak piękna jak marszałek Terlecki, tak mądra jak poseł Suski, tak kulturalna jak posłanka Pawłowicz, tak prawdopodobna jak premier, tak szlachetna jak poseł Piotrowicz. Życzę, by Polska była normalna. By była państwem praworządnym, wspólnym domem wszystkich Polaków. By odzyskała swoją pozycję w Europie. Czy taka będzie? To zależy od nas, którzy pójdziemy do wyborów.

Rozmawia Robert Walenciak

Dlaczego Chińczykom się udało?

– Chińczykom jeszcze się nie udało. Chińczykom może się udać. Obecna władza, tzw. piąta generacja z Xi Jinpingem, wyszła z wielkimi, ambitnymi planami, wewnątrz i na zewnątrz Chin. I jeśli chodzi o te na zewnątrz, to one już wywołały wstrząsy i turbulencje w postaci tego, że Amerykanie zrozumieli, że wyrasta pretendent, który chce ich wyrzucić z pozycji numer 1 na świecie. Obecne władze w Pekinie więc przeszarżowały. Zbyt szybko ujawniły światu swoje zamiary.

A Deng Xiaoping ostrzegał właśnie przed tym. W swoim testamencie 24 znaków nakazywał m.in. zachowywać ostrożność i nie wywyższać się, nie usiłować być liderem, ukrywać własne możliwości i zamiary...

– Odrzucenie spuścizny Denga przyszło, jeśli chodzi o arenę zewnętrzną, zbyt wcześnie. Kiedy w listopadzie 2012 r. Xi Jinping doszedł do władzy, powiedział jedynie, że podpisuje się pod hasłem, które już wtedy było modne, szczególnie w kręgach wojskowych, że będzie chińskie marzenie, chiński sen. A po dwóch latach wypełnił je treścią. Nakreślił strategię państwa do 2021 r. – że do tego czasu Chiny mają się stać społeczeństwem umiarkowanego dobrobytu, czyli siłą napędową państwa ma być nie eksport, jak dotychczas, bo tanie Chiny już się skończyły, tylko kwitnąca i dobrze uposażona klasa średnia.

Której konsumpcja ma napędzać gospodarkę.

– To jest pierwszy cel na stulecie, tzn. stulecie rządzącej KPCh, czyli na 1 lipca 2021 r. Natomiast drugi cel na stulecie (kto w Polsce czy w Europie myśli takimi kategoriami!), ale tym razem ChRL, czyli na 1 października 2049 r., to wielki renesans narodu chińskiego, trzeci największy w dziejach. Do tych dwóch celów na stulecie Xi Jinping na ostatnim, XIX Zjeździe KPCh, w październiku 2017 r., dodał trzecią datę – rok 2035. Do tego czasu Chiny mają być społeczeństwem innowacyjnym. Problem polega na tym, że te cele wymagają zmiany modelu rozwojowego, który Chiny stosowały według testamentu Deng Xiaopinga po rozpadzie Związku Radzieckiego, od początków 1992 r.

Chiny chcą być numerem 1 w świecie

To jest kontynent i cywilizacja, a nie zwykły kraj



PROF. BOGDAN GÓRALCZYK

– politolog i sinolog, były dyplomata, profesor i dyrektor Centrum Europejskiego UW. Właśnie wydał obszerny tom „Wielki renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje” – na 40-lecie chińskich reform, zapoczątkowanych w grudniu 1978 r.

Czyli?

– W tamtym czasie konsensus waszyngtoński (dokument będący podstawą poprawnie prowadzonej i zalecanej polityki gospodarczej USA, przedstawiony przez amerykańskiego ekonomistę Johna Williamsona pod koniec lat 80. XX w.; jest kanonem polityki gospodarczej Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego – przyp. red.) był dyktowany całemu światu. Prywatyzacja, państwo się wycofuje z gospodarki... U nas był to plan Balcerowicza, podobny przyjął Jelcyn. Chiny to odrzuciły, nie chciały dyktatu amerykańskiego, choć rozumiały, że reformowanie komunizmu nie

jest już możliwe. Wobec tego Deng Xiaoping poradził, żeby naśladować cztery małe smoki, czyli Koreę Południową, Hongkong, Tajwan, a szczególnie Singapur.

Bo zaprzysiął się z prezydentem Singapuru Lee Kuan-yew.

– Antykomunista z komunistą! A model państwa, który mu się spodobał, to wynaleziony przez Japończyków w latach 50. *developmental state*, państwo prorozwojowe. Czyli nie ma ważniejszego i bardziej uświęconego celu dla władz i administracji aniżeli walka o wzrost znaczenia gospodarczego państwa. To przyniosło niebywałe skutki. Chiny najpierw miały naj-

większe rezerwy walutowe na świecie, potem stały się największym państwem handlującym na świecie, a w roku 2014, licząc po kursie siły nabywczej, stały się najsilniejszą gospodarką świata, a nawet eksporterem kapitału. Niebawem sukcesy!

CZAS KOLEJNEGO ZWROTU

Dlaczego więc Xi Jinping chce to zmieniać, modyfikować?

– Dlatego że kontynuacja tego modelu groziłaby wybuchem społecznym jeszcze większym niż ten na placu Tiananmen, ponieważ generował on, jak oni to nazywają, skutki uboczne. To znaczy ogromne rozwarstwienie społeczne – ono jest większe

blem polega na tym, że w trakcie wprowadzania tego modelu trzeba przejść najtrudniejszy z możliwych progów – od ilości do jakości.

A chcą przejść?

– Tak, ponieważ pretendują do bycia numerem 1 na świecie. Nie państwem numer 1, ale cywilizacją numer 1. Bo to jest kontynent i cywilizacja, a nie zwykły kraj. Ona chce wrócić do okresu świetności. Jeszcze przed wojnami opiumowymi, w roku 1829, Chiny dawały 32,8%, jedną trzecią, światowego PKB. Od czasów Chrystusa aż do XIX stulecia były numerem 1 na świecie, największą światową gospodarką. Z ich punktu widzenia ostatnie ponad 200 lat to aberracja, chwilowy odprysk.

jest pięć, a nie cztery. Wschód, zachód, północ, południe i jest środek. A w środku są Chiny. A nad nimi jest niebo, a pomiędzy niebem a Chinami jest cesarz. A kto do tego centrum nie należy, ten jest w kręgach barbarzyńców. Ci bliżsi barbarzyńcy płacą trybut, a ci dalsi się nie liczą. I już. To myślenie wraca. I jest w nim pewien element niebezpieczny z naszego punktu widzenia – poczucie wyższości kulturowej.

ZACZĘŁO SIĘ DOKŁADNIE 40 LAT TEMU

Rozmawiamy niemal w 40. rocznicę III Plenum KC KPCh, które zmieniło wszystko. W grudniu 1978 r.

Zderzenie Chiny-USA jest zderzeniem strukturalnym. Nie da się tego zatrzymać. Można tylko pewne rzeczy neutralizować, by nie doprowadziły do prawdziwej wojny.

w Chinach niż w Stanach Zjednoczonych – uwłaszczenie nomenklatury, korupcję, totalne zniszczenie środowiska naturalnego i inne.

Co więc w Pekinie wymyślono? Jaki nowy model rozwoju?

– Oni na tak postawione pytanie odpowiadają, że nie mają żadnego modelu, żeby nie wzbudzać podejrzeń świata zewnętrznego. Ale jak człowiek się wkopie w ich materiały, a ja to zrobiłem, może ten model zrekonstruować. Zakłada on m.in., że klasa średnia ma być siłą napędową, a nie eksport, jak było dotychczas. Nadal będą to też inwestycje, ale w zieloną gospodarkę, a nie w infrastrukturę, no i ma być innowacyjne społeczeństwo itd. Przy czym pro-

Dwie wojny opiumowe, dwa powstania, tajpingów i bokserów, potem inwazja japońska, wojna domowa między Kuomintangiem a komunistami... W Chinach mówią o tym okresie: 100 lat narodowego poniżenia.

– Kiedy w 1948 r. Mao doszedł do władzy, Chiny wytwarzały już tylko 3,5% światowego PKB. Czyli dostały strasznego łupnia, więc wszyscy przywódcy chcieli wrócić do splendoru poprzedniej cywilizacji. Mao też. Tylko że zastosował rewolucyjne metody, które się nie sprawdziły.

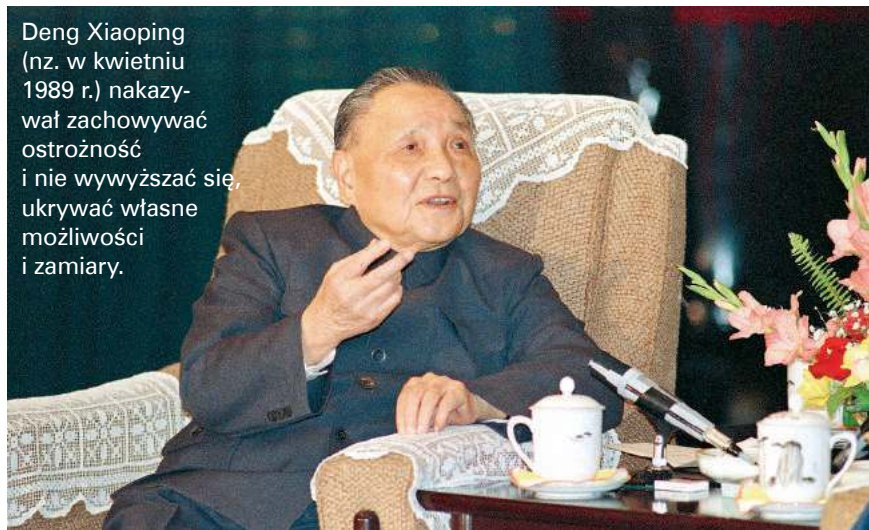
A metody Deng Xiaopinga okazały się skuteczne.

– Przywróciły porządek rzeczy. Bo przecież w Chinach nawet kierunków

Deng Xiaoping przejmował władzę w Chinach. Czy miał już w głowie gotowy plan?

– W czasach rewolucji kulturalnej Deng Xiaopinga wysłano na kilka lat na wieś, do pracy. Wszystko sobie wtedy przemyślał. Miał czas, żeby zrozumieć, co się stało. A te 40 lat przyniosło rzeczy zupełnie niebywałe. Kiedy oni ruszali do reform, 83% społeczeństwa żyło na wsi. To była cywilizacja agrarna, chłopska i pod komunistycznym sztandarem. A dzisiaj jest to państwo zurbanizowane, 57% ludności żyje w miastach, docelowo, do 2030 r., ma to być 70%. Przeciętny roczny wzrost od grudnia 1978 r. do przyścia piątej generacji przywódców wynosił 9,8% PKB rocznie. Przez ponad 30 lat! W sposób oczywisty w tym czasie zmieniło się położenie Chin na globie i zmieniła się mentalność Chińczyków. Jest zupełnie inne rozdanie. **Deng Xiaoping tuż przed przejęciem władzy był w Singapurze i zobaczył, co Chińczycy potrafią. Był też w Japonii.**

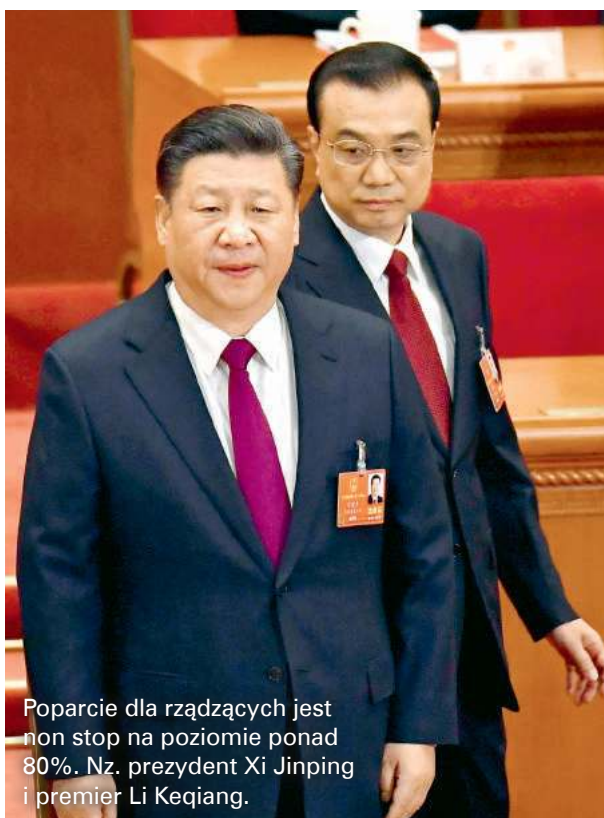
– W Japonii przewieźli go shinkansenem. Podobano mu się, powiedział, że chciałby takie pociągi w Chinach. I proszę, w 2007 r. Chiny wprowadziły szybkie pociągi, w tej chwili mają 85% wszystkich szybkich pociągów na świecie. Łącznie z shinkansenem, pendolino i TGV. 85% światowych szybkich kolei jeździ w Chinach. To gdzie my jesteśmy?



Deng Xiaoping (nz. w kwietniu 1989 r.) nakazywał zachowywać ostrożność i nie wywyższać się, ukrywać własne możliwości i zamiary.

► **Sam mam ochotę o to pana zapytać.**

– Po pierwsze, mało kto rozumie, jaki jest ustrój polityczny w Chinach. Bo formalnie rzecz biorąc, to wypisz wymaluj PRL albo Związek Radziecki. Jest Komunistyczna Partia Chin, 88 mln członków, jest Komitet Centralny tej partii, ok. 370 osób. Jest Biuro Polityczne. Są czerwone sztandary, jest sierp i młot, a na zjeździe śpiewają „Międzynarodówkę”. Powiedzielibyśmy – przecież to jest realny socjalizm! Ale to są Chiny. W roku 1987 ówczesny sekretarz generalny KPCh Zhao Ziyang ogłosił... jaki ustrój? Socjalizm o chińskiej specyfice. Co to jest ta chińska specyfika? Co to znaczy? Trzeba wrócić do chińskiej tradycji, do *yin* i *yang*. Pierwiastek męski i żeński, aktywny i bierny, ciemny i jasny. Socjalizm i kapitalizm. Razem tworzą



Poparcie dla rządzących jest non stop na poziomie ponad 80%. Nz. prezydent Xi Jinping i premier Li Keqiang.

Tanie Chiny się już skończyły, więc siłą napędową państwa ma być nie eksport, tylko kwitnąca klasa średnia.

jedność. U nas mówimy, że nie ma trzeciej drogi, a oni mówią: Paweł i Gaweł w jednym stali domu i zbudowali wielką przyszłość. I proszę teraz rozebrać, ile tam jest procent socjalizmu, a ile kapitalizmu! Mamy dekorację, realny socjalizm, ale w to wpakowano zasady czysto konfucjańskie, czyli merytokracji, pragmatyzmu.

Podobnie zrobiono, jeśli chodzi o system władzy.

– Żeby nie było jednego cesarza – jest zbiorowy cesarz. Siedmioosobowy Stały Komitet Biura Politycznego KPCh. I tych siedmiu ludzi decyduje o losach Chin. Następnie, w latach 90., kiedy upadł Związek Radziecki, wyłonił się problem: kto w Buckingham Palace czy w Białym Domu przyjmie sekretarza generalnego KPCh? Nikt. Dali mu więc drugi kapelus – przewodniczącego ChRL. Czyli prezydenta Chin. A to już co innego, więc kiedy Xi Jinping składał oficjalną wizytę w Wielkiej Brytanii, spał w pałacu Buckingham, w łóżku, w którym książę Karol spędzał noc poślubną. I jeszcze trzeci kapelus – kiedyś Mao powiedział, że władza

z lufy karabinu się wywodzi, więc Xi jest jeszcze przewodniczącym komisji wojskowej przy KC KPCh, głównodowodzącym armią. Czyli ma armię, partię i jeszcze jest głową państwa. Ale tradycja chińska, konfucjanizm, merytokracja, zakłada, że przy dobrym cesarzu, a złym tym bardziej, stoi wierny wykonawca, główny administrator, czyli premier. On odpowiada za administrację, za gospodarkę, za reformy. Mamy więc tandemy: Jiang Zemin i Zhu Rongji, Hu Jintao i Wen Jiabao, Xi Jinping i Li Keqiang.

Jak działa ten zbiorowy, siedmioosobowy cesarz?

– Pomiędzy nimi jest równowaga sił, ale ich dyskusje, spory nie wydostają się na zewnątrz. Przypadkowo w tym gronie nie sposób się znaleźć. Trzeba wpierw mieć dwie albo trzy pełne kadencje na niższym szczeblu administracji, typu gubernator prowincji albo mer dużego miasta.

Prowincja Syczuan – 81 mln mieszkańców...

– Prowincje są jak duże kraje europejskie. Poza tym do Stałego Komitetu BP można wejść tylko na dwie pięcioletnie kadencje. I nie można wybierać starszych niż 68 lat.

JEST POKUSA RZĄDÓW JEDNEJ RĘKI

Ten układ rozbił Xi Jinping.

– Podyktował zbyt wiele planów, i na zewnątrz, i do wewnątrz, naruszył tyle interesów, m.in. rozwinął bezprecedensową kampanię antykorupcyjną, że jeżeli oddałby władzę, to po tygodniu zapewne sam by siedział. Wobec tego przedłużył ją do kilku kadencji. Tylko sobie, bo już nie pozostał członkiem tego zbiorowego cesarza. Stawiam twardą tezę: na krótką metę autorytaryzm może być skuteczny. Ale na długą – jest katastrofalny.

Deng Xiaoping, który był ofiarą totalitarnych rządów Mao Zedonga, robił wszystko, żeby to nie wróciło. Jednak wraca. W Chinach znów jest coś, co Francis Fukuyama zdefiniował jako syndrom cesarza. Jest pokusa rządów jednej ręki.

Chiny mocno krytykują obecną zachodnią demokrację liberalną.

– Mówią, że to jest showdemokracja. Że wszystko poświęca dla widowiska.

I dlatego ten model ich nie interesuje?

– Prof. Zheng Yongnian to Chińczyk wychowany i wykształcony w ChRL, który od połowy lat 90. pracuje w Singapurze. Ma niezły

Cel na stulecie ChRL, czyli do 1 października 2049 r., to wielki renesans narodu chińskiego, trzeci największy w dziejach.

dorobek w literaturze angielskiej, ale przez ostatnie kilka lat publikuje tylko książki w ChRL i tylko po chińsku. I ja je cytuję. Otóż Zheng Yongnian pisze, że chińska reforma odbywa się w trzech krokach. W pierwszym kroku, w latach 1978-2008, Chiny odbudowywały potęgę państwa. Drugi krok, do ok. 2035 r. – Chiny budują siłę nabywczą obywateli. Ale nie bu-

dują, broń Panie Boże, demokracji czy społeczeństwa obywatelskiego. I dopiero w trzecim etapie rozpoczną to, czego bezustannie domaga się Zachód. Czyli reformy polityczne, ale one też nie doprowadzą do liberalnej demokracji czy trójpodziału władzy. Będzie inaczej.

A ludzie co na to? Będą czekać?

– Agencja Pew przy Georgetown University w Waszyngtonie od początku tego tysiąclecia bada, jakie jest poparcie dla rządzących w poszczególnych państwach świata. W Europie często jest jednocyfrowe, poniżej 10%. A w Chinach non stop ponad 80%. Władza społeczeństwu się podoba. Klasa średnia jest dziś główną podporą partii rządzącej.

W Chinach nawet kierunków jest pięć: wschód, zachód, północ, południe i środek. A w środku są Chiny.

Choć ocenia się, że demonstracji i protestów jest w Chinach rocznie ok. 100 tys.

– Są dwie przyczyny, które wyprowadzają Chińczyków na ulice. Pierwsza to wywłaszczanie ich z ziemi, druga – zniszczenie środowiska naturalnego. A ono jest powszechne. W mleku w proszku dla niemowlaków znajdują się chemikalia, a w ziemi pierwiastki metali ciężkich! Dlatego na chiński rynek przebiła się Mlekovita. Jej mleko jest kilkakrotnie droższe od miejscowych, ale ludzie je kupują, bo wiedzą, że jest z Europy i że nie zawiera tych metali. A w Chinach nie ma nic cenniejszego niż dziecko, dobrze wykształcone, żeby było mu lepiej niż rodzicom.

Przypomina mi się konfucjańska maksyma: planujesz na rok – sadź ryż, planujesz na 10 lat – posadź drzewo, planujesz na 100 lat – kształć dzieci.

– To jest to! Stawiam tezę, że Chiny dzisiejsze są bardziej podobne do tych tradycyjnych, cesarskich, niż do maoistowskich. Mimo tych dekoracji ich esencja jest inna.

Jaka?

– Tam się toczą gorące debaty wewnętrzne, opisuję je i definiuję różne szkoły myślenia. W 99% toczą się one tylko po chińsku. Na angielski nikt tego nie tłumaczy. Są różne nurty myślenia. Pierwszy to marzy-ciele, chiński sen, dokopać Ameryce.

Ten nurt jest szczególnie popularny w chińskiej armii, w bezpieczeństwie. Drugi – to esencjoniści. Chiny są esencją, wracamy do korzeni i szukamy rozwiązań w wielkiej, niezgłębionej chińskiej tradycji. Bo przecież nie u Trumpa będą szukali. Już zresztą stwierdzili, że nawet Obama ze swoim doświadczeniem mógłby u nich zostać najwyższym szefem powiatu. Tak to wygląda, tak mówią! Kiedy więc jadę do Chin, pytają mnie, co będzie z moimi dziećmi, z moimi wnukami. Kto u nas myśli w takich kategoriach? A to jest jedna z ich przewag. Myślą zupełnie inaczej. Z tym że mają w swoim DNA zapisaną autokrację. To nigdy nie był system demokratyczny, przejrzysty. Ale przypadek Tajwanu dowodzi, że to może inaczej funkcjonować.

światie, dobrze przygotowane elity, daje dobre skutki.

W CO WIERZĄ CHIŃCZYCY?

Wiemy już, że Chiny stoją przed największym od lat wyzwaniem. Jak to się skończy?

– Widzę trzy największe wyzwania przed Chinami. Pierwsze – rozjuszyły Amerykę, uświadomiły Amerykanom, że one chcą być numerem 1. A Stanom nie można powiedzieć, że są numerem 2, bo to koniec świata. Drugie wyzwanie to przejście z ilości do jakości, nie trzeba mówić, jakie to trudne i że musi być rozłożone na lata. I trzecie – czy uda się utrzymać w ryzach korupcję.

Od 20 lat czytam, że w Chinach z nią walczą.

– Korupcja może to państwo rozsądzić. Bo każdy, bez względu na to, jak jest wykształcony i jakie ma



Mamy tam dwie partie wymieniające się u władzy.

– W Chinach bardziej podoba się Singapur. Bo niby pseudodemokracja, a tak naprawdę rządy jednej partii i jednego klanu. W latach 90. dorobiono do tego ideologię, że istnieje kodeks tzw. wartości azjatyckich. Że na Zachodzie najważniejsze są indywidualne wolności, swobody. A u nich ważniejsze są powinności wobec rodziny i wobec wielkiej rodziny, czyli państwa. Poczucie hierarchii, dyscypliny i swojego miejsca w szeregu. Okazuje się, że jeżeli to jest umiejętnie zarządzane, przez

doświadczenie, ma pokusę nie tylko władzy, ale i pieniądza. Wykształciła się wielka warstwa superbogaczy. W Komitecie Centralnym KPCh jest więcej milionerów w amerykańskich dolarach niż w amerykańskim Kongresie. To już zostało policzone. A pierwsi milionerzy, zresztą wywodzący się z Hongkongu, na listach „Forbesa” pojawili się w 2004 r. To pokazuje tempo ekspansji. Dlatego Xi Jinping nie tyle chciał, ile musiał podjąć bezprecedensową kampanię antykorupcyjną. W jej ramach wsadził do więzienia na dożywocie szefa bezpieczeństwa w poprzedniej administracji. ▶



Spotkanie
prezydenta
Xi Jinpinga
z Donaldem
Trumpem
na Florydzie,
6 kwietnia
2017 r.

▶ Nawet Mao Zedong nigdy nie odważył się ruszyć Kang Shenga, czyli swojego szefa tajnych służb. A Xi Jinping to zrobić, nie mówiąc o kilku najważniejszych generałach. Tu się odbywa walka na wielu frontach, bo te Chiny zbyt szybko się wzbogaciły. **A demografia? Chiny się starzeją. Starzejące się społeczeństwa nie myślą zaś o ekspansji.**

– Napisałem, że Japonia się zmodernizowała, zanim się zestarzała, a Chiny już się starzeją, a jeszcze nie do końca się zmodernizowały. Ale korupcja jest ważniejsza. Dlatego że stoi za nią chaos myślowy i mentalny, pustka moralna. W komunizm nikt nie wierzy, konfucjanizm dopiero się odbudowuje, tak naprawdę po Tiananmen przyszła tylko wiara w pieniądź. Mamonizm.

A okazuje się, że takiego kolosa na samych pieniądzach zbudować się nie da. Trzeba narodowi przy tak szybkich zmianach dać jakiś kościół, kodeks moralny. A to bardzo trudne.

Władza nie stawia na konfucjanizm?

– Stawia, bo jest poręczny, hierarchiczny, patriarchalny i autokratyczny. Ale społeczeństwo też szuka. Część idzie do chrześcijaństwa, jeszcze więcej – do taoizmu i buddyzmu, a inni mówią: wracamy do konfucjanizmu.

USA MÓWIĄ: STOP!

Czy Chiny to wszystko wytrzymają?

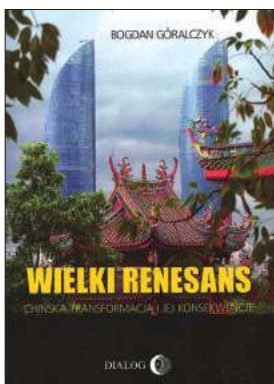
– Na razie widzę, że władza zaczyna się bać

i działać zgodnie z rytuałem autokracji. Coraz większa pała i coraz większy strach. To dowodzi, w jak newralgicznym jesteśmy momencie. Nie założę się, czy wyznaczone cele uda się Chinom zrealizować, bo włączył się element nieprzewidywalny, jakim jest Donald Trump. Chińczycy chcieli go rozegrać, grając na jego *ego*. Stąd spotkanie Xi Jinpinga na Florydzie, potem wielkie cesarskie przyjęcie, jakim uraczyli Trumpa w Pekinie. Wcześniej jego córka dostała wiele licencji na produkcję w Chinach. Ale okazuje się, że Trump przyjmuje chińskie umizgi,

Chiny mają 3,3 bln dol. rezerw walutowych, a 40% tej sumy to amerykańskie papiery wartościowe. Mają Amerykanów w kieszeni.

a równocześnie liczy – 375 mld dol. ujemnego salda handlowego za ubiegły rok. I jeszcze druga prawie identyczna suma – pisze Trump na Twitterze – w postaci ukradzionych praw autorskich. Na dłuższą metę takiej sytuacji nie da się utrzymać. Karty trzeba rozdać po nowemu

i czy to Trump, czy ktoś inny, i tak musiałby powiedzieć Chinom: stop! Ameryka zaniedbała te sprawy, było jej wygodnie, bo dostawała tanie chińskie towary. A Chiny mają w tej chwili 3,3 bln dol. rezerw walutowych, przy czym 40% tej sumy to amerykańskie papiery wartościowe. Czyli mają Amerykanów w kieszeni.



A Europa?

– Dla Chin była i jest ważna, ale jako koncept. Obama zrobił słynny *pivot*, czyli przejście z Atlantyku na Pacyfik, bo centrum gospodarki światowej już się przeniosło z Atlantyku na Pacyfik. A jeśli tam się przeniosło centrum gospodarki i handlu światowego, to mamy zupełnie inny świat. Zbigniew Brzeziński w styczniu 2009 r. pojechał do Chin i zaproponował G2, takiego podwójnego światowego policjanta. Nie wiem, dlaczego Brzeziński, wielki strateg, nie znał maksymy Konfucjusza, że na niebie nie ma dwóch słońc, więc nie może być na ziemi dwóch cesarzy. Chińczycy tego nie przyjęli, natomiast przez parę miesięcy rozważali G3 – Stany, Chiny i Unia Europejska.

Potem z tego zrezygnowali?

– Przyszł grexit, euro się zawaliło i przestaliśmy być traktowani jako partner. Choć Chińczycy do dzisiaj nie grają na rozbiście Unii. Bo jeśli czegoś się boją, to powrotu do zimnej wojny, czyli otwartego starcia dwóch największych słoń. Dla nich znalezienie trzeciego bieguna jest rozwiązaniem geostrategicznym. Putin, Rosja nie może być trzecim biegunem, Indie robią wszystko, żeby takim biegunem nie być, poręczna byłaby Unia Europejska, ale w jakim jest stanie, każdy widzi.

Jak to może się rozwinąć?

– Obecne kierownictwo przeszarżowało, poszło do przodu zbyt szybko i zbyt ambitnie. Wywołało efekt, którego nie przewidziało – rozjuszyło Amerykanów. Stąd te debaty o tzw. pułapce Tukidydesa, że jak mamy hegemonia i szybko wyrastającego pretendenta do tronu, łatwo może to się skończyć wojną, nie tylko handlową czy celną. Sytuacja jest bardzo poważna.

Nie uspokoiło jej spotkanie Xi Jinpinga i Donalda Trumpa w Argentynie? Nowe porozumienie?

– Przełomu być nie mogło, bo zderzenie Chiny-USA jest zderzeniem strukturalnym. Wyzwanie ze strony Chin jest realne. Nie da się tego zatrzymać. Można tylko pewne rzeczy neutralizować, nie prowadząc do ich eskalacji, do prawdziwej wojny.

Robert Walenciak

Wiesław Kot

SÓL ZIEMI CZARNEJ

KAZIMIERZ KUTZ (1929-2018)

Do senatorskiego biura Kazimierza Kutza w odrapanej kamienicy na katowickim Załężu, w dzielnicy złodziei i biedaków, zawsze ustawiała się długa kolejka. Bezrobotni, emeryci, matki skrzywdzone przez urzędy, pasjonaci Śląska i zwykli wariaci. Z każdym umiał porozmawiać. Ostatecznie znał ich z własnych filmów...

Z Kaziem nie jest dobrze

Ten właściwy Kutz zaczął się dla filmu pod koniec lat 60. Wcześniej kręcił się przy filmie i nawet kilka nakręcił, ale były od Sasa do Lasa. A to „Krzyż walecznych” (1958) – głos w burzliwej wówczas dyskusji o „bohaterszczyźnie” (kto ją dziś pamięta?), a to „Upał” (1964), uroczy bibelot ze Starszymi Panami w rolach głównych. Na pamiątkę napisali mu piosenkę „Kaziu, zakochaj się”. Ale jak jesteś do wszystkiego, to jesteś do niczego. To powiedzonko kołatało mu się po głowie szczególnie intensywnie, od kiedy stuknęła mu czterdziestka. A on pomieszkiwał kątem u Stanisława Dygata i Kaliny Jędrusik, przesiadywał po lokalach (nigdy

Pomieszkiwał kątem u Dygata i Jędrusik, a przesiadywał po lokalach i zdradzał objawy dobrze zapowiadającego się alkoholika.

na sucho) i zdradzał wszelkie objawy dobrze zapowiadającego się alkoholika w odmianie „pijaczek ze SPATiF-u”. Że niby zdolny, że już gdzieś coś, ale „komuna go dobija”. I jak tylko sobie o tym przypomni, natychmiast uruchamia się trzydniówka. Na to wszystko zjechał ze Śląska brat i widzi: z Kaziem nie jest dobrze. Nie słuchał tłumaczeń, tylko odtransportował go ciupasem na macierzysty Śląsk. Niech zostawi tych mydlików, fircyków i mandolinistów z Warszawki, niech się poobraca wśród ludzi twardej roboty i twardych zasad.

Kazio nagle miał sporo wolnego czasu, Śląsk stał dookoła w swojej rdzawoburej krasie, więc on zaczął

mu się przyglądać, jakby go zobaczył po raz pierwszy. Czytał, dopytywał, naciągał brata na opowieści o własnej rodzinie. I wyszło mu, że tu drzemią pokłady historii, o których Polska nie ma pojęcia. Śląsk kojarzy z dowcipami typu Maształski & Ecik i może jeszcze z losem konia kopalnianego o imieniu Łysek.



Z Kaliną Jędrusik na planie filmu „Upał”, 1964 r.

Folklor, sztampa, obciach. Tymczasem Kaziowi pewnej nocy przyśnił się całkiem inny Śląsk. Ten z własnej rodzinnej sagi. Zobaczył całe gotowe sceny, obrazy, sekwencje. Nic, tylko kręcić film!

Obudził się w natchnieniu i już wsiadał w pociąg do Krakowa, bo przecież trzeba to wszystko przerebić na scenariusz. Sam nie da rady. Ale jak usiądą z Wieśkiem Dymnym, poetą z Piwnicy Pod Baranami, to kropną taką *story*, że komisja scena-

riuszowa jednym zawijaszem podpisze film do realizacji. Skończyło się na tym, że jak usiedli z Wieśkiem, to zrobili flaszkę. Jedną, drugą, trzecią – nad pustą kartką. Już było wiadomo – nie ma rady, Kazio musi sam. Stukał na maszynie od świtu do nocy ostatni tydzień maja i pierwszy tydzień czerwca 1968 r. „Wyrzyga-

łem cały ten drut kolczasty, śląski drut”, powie po latach. Przekonany, że ma bombę, jedzie do Warszawy, pokazuje różnym decyzyjnym ludziom od filmu, a oni się stukają w głowę. „Człowieku, na jakim ty świecie żyjesz?! Patrz, co tu się wyrabia! Gomułka z Moczarem szaleją – pałują studentów, tysiące Żydów wyganiają za granicę. W Czechach się ruszyło. A ty tu wyjeżdżasz z jakimś zakurzonym powstaniem na Śląsku, co to może być, a może wcale nie? To może zainteresować najwyżej pięciu starzyków, co to ławeczka, ogródeczek, fajeczka, gołębiczek”. A rutynowany scenarzysta Ludwik Starski („Skarb”, „Przygoda na Mariensztacie”) rzucił podobno, że on co roku bywa w Zakopanem i tam górale nie mówili o żadnym powstaniu, a to przecież blisko Śląska.

I już było wiadomo – jak Kazia nie poprą Ślązacy, to Warszawa palcem nie kiwnie. Więc już stuka z maszynopisem pod pachą do samego Jerzego Ziętka, przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. To dobry adres, bo Ziętek sam był powstańcem śląskim, a w dodatku był blisko z Gierkiem. Ziętek przeczytał tekst, nawet się zdziwił, że Kutz tyle wie o powstaniach, i oczywiście „wyraził poparcie dla cennej inicjatywy”. Dla decydentów filmowych ▶

► w Warszawie znaczyło to, że film ma mieć zielone światło, i to zaraz.

Polska ma nos kaś

Przy takiej superprodukcji Kazimierz jeszcze nie pracował, więc buksował co chwila. Bohaterem powstańczej historii miał być młody chłopak, zaplątany w powstanie trochę z przypadku. Pierwsza przymiarka – Marek Grechuta. Bo taki uduchowiony, romantyczny. Ale jak piosenkarz próbował godoć po ślunsku, to wychodziła groteska. Padło na Olgierda Łukaszewicza, studenta aktorstwa, lat 22, który niestety był wychudzony i tyczkowy. A w ładnych paru scenach miał „grać torsem” i widz w życiu by nie uwierzył, że takie suchotnicze chuchro to górnik przodowy. Więc się Olgierda dotoczyło i oddało miesiąc przed zdjęciami w ręce trenera od muskulatury. A reżyser Kutz równolegle doczytuje pamiętniki powstańców, dogląda rekonstrukcji mundurów, szasta się po całym Śląsku, dobierając plenery. No i dopina samą wymowę filmu. Rozumie, że nie może przeciągać struny i musi historię powstańczą uprościć, bo inaczej jego film powędruje na półki i tam już zostanie. Pokazuje więc tylko dwie strony barykady: polskich górników, którzy walczą o przyłączenie Śląska do odrodzonej właśnie ojczyzny, oraz

Kaziowi pewnej nocy przyśnił się inny Śląsk. Ten z rodzinnej sagi. Zobaczył całe gotowe sceny, obrazy, sekwencje. Nic, tylko kręcić film!

niemieckich żołnierzy, których wystano do stłumienia jakiegoś tam buntu, który sam w sobie niewiele ich obchodzi. A przecież wśród samych powstańców nie było zgody – jedni chcieli przyłączyć Śląsk do Niemiec, bo to był kolos organizacyjny i technologiczny. Drudzy twardo obstawali przy autonomii Śląska. Jeszcze innym marzyła się Polska, głównie na fali rodzinnych sentymentów. To oni w finale filmu dopytują powstańczego przywódcę: „Erwin, czemu nom Polska nie pomogła?”. A Erwin odpowiada: „Som sie nad tym zastanowiom. Widoć mo większy frasunek na głowie”. Tak jest w filmie, ale już



Podczas realizacji filmu „Sława i chwała”, 1996 r.

po ingerencji cenzury. Bo w pierwszej wersji rozgoryczony Erwin rzucił: „Ma nos kaś”. Po polsku: „Ma nas w dupie”.

To wszystko były bardzo delikatne sprawy i dlatego Kutz najpierw pokazał film decydentom, żeby wycałować, skąd może nadejść atak. Decydenci generalnie byli na tak, ale entuzjazmu nie okazali. Gierek był zniesmaczony, że miał być film o powstaniu, a tu pokazują jakąś ruchawkę na terenie trzech przecznicy i jednej kopalni. To już na ustawkach z udziałem kibiców Górnika Zabrze bywają większe zadymy. Podpowiedział nawet, że dobrze byłoby zacząć film od pokazania mapy Śląska, na której zapalałaby się płomyki w miejscach wybuchu walk. Wiadomo, skąd pomysł – Gierek co niedziela oglądał serial „Bonanza” z Dzikiego Zachodu i tam każdy odcinek startował od płonącej mapy...

Uroczysta premiera odbyła się 29 stycznia 1970 r., w przeddzień rocznicy wyzwolenia miasta przez Armię Radziecką. Krytyka biła brawo, widzowie byli wzruszeni. Ale nie wszystkim i nie wszędzie się podobało. Na przykład na festiwalu w Karłowych Warach zasadnicze pretensje zgłosił juror radziecki. Nie mógł strawić sceny z kurą. Radziecki krytyk najpierw nie rozumiał, a potem był zniesmaczony. To miał być filmowy

hołd dla bohaterskich powstańców, a tu oglądamy zawody w gdakaniu o jakąś kurę?! Poza tym co to za bohaterowie, którzy zanim wyruszą do powstania, biorą „sobotnią wypłatę”? Czyli kładą się karnie z wypiętym dupskiem, a ojciec wrzepia każdemu po kilka pasów... I jeszcze – film socjalistyczny powinien być przepełniony duchem internacjonalizmu, „za wolność waszą i naszą”, a tych śląskich powstańców obchodzi tylko kilka podwórek, parę zarośniętych hałd i ze trzy kopalnie.

Sprawiedliwość historyczna – wersja śląska

Tak zaczął się dla kultury polskiej ten właściwy Kutz, śląski. Ale przecież było jeszcze wielu innych Kutzów. Na przykład ten, który nigdy nie wybaczył sobie, że tych śląskich powstańców nie zniuansował, i do kolejnych filmów pakował typy „obrotowe”, takie co to ni to, ni sio. Jak to zwykle u nas. Weźmy „Zawróconego” (1994), w którym rewelacyjny Zbigniew Zamachowski daje głowę Tomkowi, takiemu tępowemu Ślązakowi, który za szczyt marzeń ma, by złapać etat roznosiela wody gazowanej. A także by się zapisać do partii, od czasu do czasu donosić i zasłużyć na wczasy w Bułgarii. Ale dał się ponieść solidarnościowej euforii w roku 1981, skutkiem czego zostaje gruntownie spałowany,

a na komendzie w ramach pokuty każą mu ganiać po piętrach do upadłego. Po latach ów Tomek, który cieszy się teraz posadą kościelnego, poznaje w trakcie zbierania na tacę swojego milicyjnego oprawcę. Tamten – w nogi. I tak się ganiają dookoła kościoła, z którego dochodzi „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi...”. Tomek – cały czas w komży – dopada byłego milicjanta i łąduje go w mordę: „Rozparceluj ci rzyć na marmelada!”. I kopa, i kopa: „Zrobisz ci z dupy zajezdnię tramwajową!”. Tak oto wygląda minimum sprawiedliwości historycznej w wersji śląskiej. I na to wszystko Andrzej Wajda: „»Zawrócony« to najlepszy film o wolnej Polsce, o zwycięstwie Solidarności. Niestety współczesnej młodej kinematografii jest to, że nie ma w niej takiego twórcy jak Kazimierz Kutz”.

Faktycznie – bo jak młodzi filmowcy rzucili się na temat „żołnierzy wyklętych”, to wyprodukowali takie gnioty, że zęby boją. A przecież Kutz w „Pułkowniku Kwiatkowskim”

wicz. A on już całkiem stracił nadzieję, że w stalinowskiej Polsce zobaczy coś równie pięknego.

Koniec ze śląską dupowatością!

Mamy oczywiście także Kutza politycznego. „Mam 70 lat. Choć dupa przyciężkawa, to we łbie ciągle pstro i ciągle mnie korci, aby coś zburzyć i coś naprawić...”, pisze

Mawiał: Jestem wolnym strzelcem i dzięki temu mogę sobie strzelać bez umiaru.

do matki. Do Senatu wszedł w roku 1997. Kampanię robił w duecie z Leszkiem Balcerowiczem, który wystartował wtedy do Sejmu z Katowic. Wspólne hasło: „Paciorki jednego różańca”. Nie idzie łatwo. Związek Zawodowy Sierpień 80 atakuje ich na wiecach, dochodzi do przepychanek, obrzucają ich jajkami. Czasem zastają drzwi sali, w której planowano spotkanie z wyborcami, zabite na amen gwoździem.

Narzekał: „Mamy 25-procentowe bezrobocie, somalijską nędzę w wielu regionach kraju, a państwo udaje, że nie ma sprawy”.

Do żadnej partii się nie zapisał. „Jestem wolnym strzelcem i dzięki temu mogę sobie strzelać bez umiaru”, mawiał. W Senacie czuł się cząsem jak w ogrodzie zoologicznym: „Są tam różni ludzie, dziwne sprawy, rzeczy dzieją się wbrew naturze

– to bardzo ciekawe dla reżysera, który żyje przecież z podglądania świata, poznawania, obserwowania”. Raz po raz Kutz się zacietrzewia, atakuje, z tym że cały czas po śląsku: „Jeśli ktoś mnie atakuje, to rzadko mu mówię, że pierdoli. Częściej po prostu mam to w dupie. Niech się wymądrza, krytykuje – jego prawo”.

No i był Kutz anegdotyczny. Pierwsze filmy podpisywał „Kuc”, choć nie powinien, bo pochodził z Kutów, ale jego rodzinie w ramach jeszcze przedwojennej polonizacji



Do senatorskiego biura Kazimierza Kutza na katowickim Załężu zawsze ustawiała się długa kolejka. Z każdym umiał porozmawiać.

Na Warszawskich Targach Książki, 2018 r.

(1996!) dał całą paradę krwistych postaci z tamtego powojennego magla: od oderwanych od pług „uczestników bitwy pod Lenino”, przez cwaników z warszawskiej Pragi, co to zawsze spadną na cztery łapy, po tych „leśnych”, którzy nie złożyli broń i teraz sami nie wiedzą, co z nią zrobić. Weźmy owego samozwańczego pułkownika Kwiatkowskiego (brawurowy Marek Kondrat). Toż on w jednej scenie decyduje się w odruchu współczucia wyciągnąć z łap bezpieki syna starszej kobiety, która błaga o interwencję, ale za chwilę płacze, bo „cycki precudnej urody” pokazała mu sama Renata Dance-

Jego zadaniem było złagodzenie wizerunku politycznego Balcerowicza, który w tym regionie po wdrożeniu swojego „planu” nie był szczególnie kochany. „Koniec z tą naszą śląską dupowatością!”, krzyczy Kutz na spotkaniach z wyborcami. Może sobie na to pozwolić – tu uznają go za swego. W czteromilionowym okręgu wyborczym zgarnia pół miliona głosów. Balcerowiczowi idzie znacznie gorzej (tylko 92 tys.), ale i tak przegania Mariana Krzaklewskiego, lidera Akcji Wyborczej Solidarności. Z czasem entuzjazm dla samego Balcerowicza i rezultatów jego planu zaczął u Kutza przygasać.

przepisano nazwisko na polski. Pewnego dnia jednak Kazimierz „się wk...” (bez specjalnej przyczyny) i zaczął się pisać „Kutz”. Wykorzystał to jego kolega z łódzkiej Filmmówki, Stanisław Bareja, który miał do Kuca/Kutza anse. Otóż ten ukłócił termin bareizmu, który miał oznaczać w skrócie skrajne filmowe bezguście, kicz, pospolitość i tandę. Etykieta na trwałe przykleiła się do Barei i kosztowała go niemało – komisje odrzuciły kilka jego niezłych scenariuszy i nawet nie trudziły się z uzasadnieniem. Wiadomo, kolejny bareizm. Staszek do końca życia nie podał Kaziowi ręki. I zemścił się po swojemu. Jeden z bohaterów (z odrzuconego scenariusza) ma kłopoty na granicy, bo nie uwzględnił w paszporcie zmiany nazwiska z Kloc na Klotz. Wyjaśnia kapralowi z WOP: „Dawniej pisaliśmy się Kloc przez »c«, ale potem mój brat został reżyserem i zmienił pisownię...”.

Wiesław Kot

Maciej J. Nowak

W czasie gdy Polska odzyskiwała niepodległość, kilku ambitnych młodzieńców marzyło o wielkiej sławie. Ci młodzi poeci mieli już za sobą publikację wierszy, artykułów, a nawet małe literackie skandale (rzecz jakże pożądaną w artystycznej karierze). Wciąż jednak uważali, że prawdziwa przyszłość i kariera dopiero przed nimi. Zapewne, jak świat światem, w każdej epoce i w każdym miejscu można znaleźć młodzieńców z podobnymi aspiracjami. Ci jednak byli wyjątkowi – bardzo szybko osiągnęli sukces, zdobywając literacką palmę pierwszeństwa w całym kraju. I znacząco wpłynęli na koloryt całej II RP. Sto lat temu, 29 listopada 1918 r., podjęli wspólnie pierwszy poważny krok w tym kierunku. Założyli kawiarnię Pod Picadorem.

POD DACHEM KEFIRZYCKIEGO

Tuwim, Lechoń i Słonimski znali się już od jakiegoś czasu. Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości pisali teksty do tych samych czasopism, wspólnie biesiadowali i dzielili się swoją poezją. Nie mieli wtedy szeroko otwartych drzwi do wysokonakładowych gazet, w których mogliby publikować wiersze. Czuli się niedoceniani, a przecież marzyli o sukcesach i nieprzebranych zastępach czytelników. Każdy z nich myślał, jak to zmienić. Na pomysł stworzenia Picadora wpadli Słonimski i jego ówczesny przyjaciel Tadeusz Raabe. Pewnego razu w trakcie jazdy tramwajem beztrako dyskutowali na różne tematy. Rozmowa zeszła na moskiewskie kawiarnie poetów, wówczas bardzo popularne. Do takich kawiarni zapraszano czytelników i urządzano głośne wydarzenia artystyczne, choćby z udziałem Majakowskiego. Poeci uznali, że można by spróbować czegoś takiego w Warszawie. Pomysł był strzałem w dziesiątkę. Zwłaszcza po 11 listopada nastrój społeczny pod tym względem zdawał się idealny. Podeksytowani, przejęci odzyskaną niepodległością mieszkańcy stolicy niezwykle chętnie szukali kolejnych wrażeń. Po prostu wychodzili na ulice i chłonili nową rzeczywistość. W błażej sprawie manifestowali i z ogromnym zain-

SKAMANDRYCI W MLECZARNI

Słonimski, Tuwim, Lechoń, Wierzyński i Iwaszkiewicz sprzeciwiali się cenzurze, zakazom władz kościelnych wystawień klasyków i antysemityzmowi



Warszawska elita literacka. Nz. od lewej: Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski (nz. stopień wyżej), Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński, 1928 r.

teresowaniem słuchali przypadkowych mówców (to wtedy chwilową karierę zrobił kaznodzieja ks. Czesław Oraczewski), a każde pomniejsze zdarzenie urastało do rangi sensacji. Okoliczności wymarzone dla nowych inicjatyw, w tym kawiarni poetów.

Szansy z tym związanej nie wyczułi „starzy” literaci. Szacowne „niedobitki Młodej Polski” wykpiły propozycję Słonimskiego. Poeta jednak się nie zraził i zwrócił do Lechonia oraz Tuwima. Ci zareagowali z entuzjazmem. Co więcej, Lechoń szybko znalazł stosowne miejsce – małą mleczarnię przy Nowym Świecie pod numerem 57. Nazywano ją do tej pory potocznie Holenderką, a to dlatego, że pracujące w niej kelnerki ubierano w ludowe, holenderskie stroje. Właścicielowi owego przybytku, Karolowi Życkiemu (którego później Tuwim nazywał Kefirzyckim), zaproponowali prosty układ: jeśli on

zapewni lokal, oni przyciągną klientów. Rzecz jasna, mleczarnię trzeba było odpowiednio zaadaptować. Swoistych „kuchennych rewolucji” dokonali zaprzyjaźnieni malarze. Dzięki ich pracy, jak opisał Tuwim, „ściany szalały barwami, skłębieniem półpostaci i ćwierćtwarzy, dwudomów i sześciodachów”. Wśród „półpostaci” znalazł się również słynny mecenas Kuśmiderowicz, uosobienie zacofania i złego smaku. Do tej fikcyjnej postaci występujący artyści wielokrotnie się odwoływali podczas występów.

Twórcy kawiarni otrzymali na początek trochę grosza (m.in. od ojca Raabego, który był przemysłowcem), ale wiele działali także własną energią. Załatwili zgodę u sprawujących podówczas kontrolę nad stolicą zaprzyjaźnionych władz wojskowych. Wydali nawet specjalną reklamę, stylizowaną na

odezwę w sprawie obrony ojczyzny. Informowali tam o otwarciu „Wielkiej Kwatery Głównej Armii Zbawienia Polski od całej współczesnej literatury ojczystej”. Zapraszali do współpracy innych poetów, choćby Jarosława Iwaszkiewicza. Po latach następująco wspominał on pierwszą wizytę w tworzącym się Picadorze: „Podszedł do mnie bardzo uprzejmy, młody człowiek, ozdobiony dużą czarną plamą w kształcie myszki na twarzy i podając mi rękę powiedział: »Nazywam się Tuwim. Tak mi miło, że pana poznaję, pan ma takie śliczne imię: Jarosław! Światosław! Swiatozar! Jarosław Swietozarowicz! Swiatozar Jarosławowicz!«. Inny młody człowiek w oskubanym fraku, w binoklach, których jedno szkło było zbite do połowy i zwiisało bezwładnie, wyszedł z głębi kawiarni i również mi się przedstawił. Był to Słonimski”.

SKAZANI NA SUKCES

Taka ekipa była skazana na sukces! Wieczorem, 29 listopada, jak to zapisał Słonimski, zapuścili „pierwsze korzenie w ziemię tradycji literackiej, aby wyrosnąć z czasem w drzewo współczesnej poezji”. Wejść mógł każdy za opłatą pięciu marek. Nie było to zbyt tanio, choćby młody Leon Kruczkowski nie miał dostatecznych funduszy na wizytę i musiał oglądać ułamki występów z ulicy. Zresztą w specjalnym regulaminie precyzowano, że za audyencję u poety z prawem podania ręki trzeba było zapłacić już marek 50, za dodanie do dedykacji „kochanemu” – 100 marek. Propozycje matrymonialne przyjmowano w czwartki. Nic dziwnego, że nowa inicjatywa zainteresowała mieszkańców Warszawy. Już pierwszego wieczoru artyści czytali „ostro, wręcz agresywnie” swoje wiersze, parodiowali dramaturgów i liryków, a nawet toczyli poetyckie turnieje. Obecny wówczas, jeszcze jako widz (a niedługo przystający do poetów), Kazimierz Wierzyński zapamiętał, jak „błady Lechoń, 18-letni młodzik trzymał kartkę papieru w nieprawdopodobnie trzęsących się rękach, poprawiał krzywe binokle i nie ukrywając swego wzruszenia, skandował wiersze, które niedługo potem potoczyły się po całej Polsce. (...) Po każdym

występie wybuchaly na sali brawa, nastrój zmieniał się nieustannie”.

Picador stał się głośnym wydarzeniem kulturalnym odradzającego się państwa. Niewątpliwie wzmocnił również pozycję współtworzących go młodych ludzi. Najlepiej oddał to Iwaszkiewicz, wspominając: „Po raz pierwszy wróciwszy do domu, poczułem się nie samotnym, bezradnym poetą, ale członkiem grupy, która usiłowała narzucić publiczności, jeżeli nie swój światopogląd, którego nie posiadała, to w każdym razie chwilowy swój punkt widzenia”. Poeci nie przedstawiali wówczas zwartego światopoglądu. Przede wszystkim kontestowali. Ciosy wymierzali nieraz na ślepo, dookoła, ale obrywało się zwłaszcza „pisarzom

oprzeć. Bez trudu znajdowali się więc w kolejnych miejscach i inicjatywach. Zwłaszcza w pierwszych latach nie przepuszczali okazji do różnych żartów i prowokacji. Jedną z bardziej znanych dotyczy wizyty w teatrze na grafomańskiej w ich przekonaniu sztuce i publicznym wykpiwaniu tanecznych rymów i żartów.

ŚMIERTELNIE POWAŻNIE O ŚMIERCI NARUTOWICZA

Iwaszkiewicz miał rację, że nie mieli wspólnego światopoglądu. Występowały między nimi różnice, z biegiem lat coraz bardziej jaskrawe. W młodości chwilowo o tych różnicach zapominali i potrafili szybciej sobie wybaczać. Tylko raz



Julian Tuwim i Jan Lechoń podczas wieczoru autorskiego w Rio de Janeiro, 10 listopada 1940 r.



martyrologom”. Marzyli zarazem o wyjściu sztuki na ulice, choć nie zawsze byli w pełni konsekwentni w realizacji owych marzeń.

Po kilku tygodniach od premiery zmieniła się siedziba Picadora na podziemie Hotelu Europejskiego na Krakowskim Przedmieściu. Okazało się, że nie był to dobry pomysł. Z jednej strony, zmalała liczba gości, a z drugiej – ci, którzy przybywali, nie zawsze potrafili wczuć się w poetycki klimat. Zainteresowanie takim rodzajem kawiarni również powoli zanikało. Jednak raz rozkręcona działalność poetów nie mogła zostać zatrzymana. Wspólnej sile piątki przyszłych skamandrytów trudno było się

wystąpić wspólnie jak jeden mąż i nie budziło wątpliwości, że czuli wówczas tak samo. Było to po zabójstwie Gabriela Narutowicza. Ich głos stał się wyrazem emocji tej części społeczeństwa, która była wzburzona zbrodnią. Niewątpliwie największą rolę odegrał tu Julian Tuwim. To on w trakcie zamachu znajdował się w Zachęcie. Jako wyjątkowo emocjonalny człowiek sam zresztą dostał na miejscu ataku nerwowego. Skutkiem tych przeżyć był jeden z najlepszych chyba jego poematów, w którym pisał do osób odpowiedzialnych za śmierć prezydenta: „Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni, / Z Bogiem ▶

Steve Case

Trzecia fala Wizja gospodarki przyszłości

Wydawnictwo Studio EMKA
Warszawa 2017



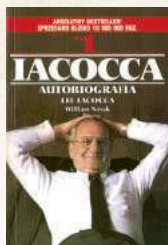
Steve Case tworzył historię, kiedy zakładał America Online i dawał światu internet. Jego biznesowa opowieść jest częściowo pamiętnikiem, częściowo manifestem, a częściowo instrukcją na przyszłość. Dużo w niej ważnych myśli i lekcji.

To śmiała i fascynująca wizja tego, co wkrótce nadejdzie. Lektura obowiązkowa dla przedsiębiorcy, który chce przetrwać i rozwijać się w szybko zmieniającej się epoce cyfrowej.

Lee Iacocca, William Novak

Iacocca Autobiografia

Wydawnictwo Studio EMKA
Warszawa 2018



To jedna z „książek tworzących historię”. Amerykański menedżer przemysłu samochodowego opowiada, jak wypuszczając Forda mustanga, zrewolucjonizował rynek. Ujawnia kulisy wprowadzonego przez Henry'ego Forda reżimu, który opierał się na zastraszaniu i manipulacjach. Opowiada o cudownym wskrzeszeniu Chryslera, który podźwignął się ze skrajnego bankructwa i tak szybko spłacił 1,2 mld dol. rządowych kredytów, że Waszyngton nie wiedział, jak zrealizować czek.

Stanisława Golinowska

Modele polityki społecznej w Polsce i Europie na początku XXI wieku

Fundacja im. Stefana Batorego
Warszawa 2018



Jeżeli Polska była w czasach kryzysu zieloną wyspą, to dlaczego propozycje socjalne PiS zostały przyjęte entuzjastycznie przez zdecydowaną większość Polaków? Czy pokryzysowa Europa ma obywatelom do zaproponowania wyłącznie zaciskanie pasa? Jak polityka społeczna w dzisiejszej Polsce odnosi się do rozwiązań europejskich? Opracowanie Stanisławy Golinowskiej odpowiada na te pytania w sposób przekrojowy i poparty licznymi badaniami.

byli w sojuszu, a z mordercą w pakiecie”. Podobnie reagowali inni skamandryci. Wiersze o dokonanym mordzie pisali też Słonimski („Na pluszowej kanapce wśród / ciekawych i tłoku, / Jakże długo umierać trzeba od / krwotoku”) i po pewnym czasie Wierzyński („Pan prezydent wyjechał z białego pałacu / Trumna na piramidzie wzniesiony na szczyty, / Pierwszy raz na wolności – w tym kraju – zabity / Teraz już śpi, najwyższy, i nie pyta za co”).

Wiele osób próbowało w tym czasie podsumować tragizm zdarzeń, w tym skalę niespotykanego wcześniej wybuchu fanatyzmu i antysemityzmu. Jednak nawet najtrafniejsza sucha ocena ogromu zbrodni i masowego ludzkiego szaleństwa nie wystarczy. Dlatego tak potrzebny stał się język poezji. I chyba zatem zapotrzebowaniu na poezję w pełni sprościli skamandryci. Można też zauważyć, że owi skłonni do żartów z wszystkiego i wszystkich młodzi ludzie pierwszy raz wystąpili śmiertelnie poważnie, wywierając znaczący wpływ choćby na kształtowanie się samoświadomości części czytelników. W specjalnym oświadczeniu redakcja „Skamandra” podkreślała: „W tych chwilach ponurych, pełnych krzywdy i uniżenia, jedyną pociechę czerpiemy w tym, że miejsce nasze podczas ciężkiej walki o polską kulturę jest po przeciwnej stronie tych, którzy głosami swymi mord przygotowali”. Przeżycia związane z tą zbrodnią zostały w nich aż do śmierci. Zauważalne jest to chociażby w tonie pisanych po latach wspomnień.

EPIZOD, KTÓRY PRZESZEDŁ DO HISTORII

Później trudno wskazać podobny moment. Owszem, uczestniczyli w pomniejszych akcjach. Sprzeciwiali się cenzurze, zakazom władz kościelnych wystawień klasyków, jak również antysemityzmowi. Endecka prasa nazywała ich „szajką aroganckich krzykaczy” i znieprawiającą literaturę polską grupką żydowsko-masońską. Nie pozostawiali tego bez odpowiedzi – potrafili w takich sporach bardzo celnie i mocno odwinąć się polemistom. Czasem nawet fizycznie. Pomimo że do pewnego czasu (do aresztowań brzeskich), przy małych

zastrzeżeniach w miarę podobnie patrzyli na kolejne wydarzenia polityczne, już w listopadzie 1923 r. żona Jarosława Iwaszkiewicza Anna pisała w dzienniku: „W tonie Skamandra rozłam i tak dziwnie przykra dla mnie rosnąca wciąż złość jednych względem drugich, którą odczuwa się pomimo wspólnego knajpowania, dowcipów i sztucznego humoru”. Relacje poetów raz się polepszały, a raz pogarszały, ale przytoczona ocena była boleśnie prawdziwa. Z biegiem czasu najbardziej słyszalnym ideowym głosem kojarzonym ze Skamandrem stały się felietony Słonimskiego, zwalczające nacjonalizm, militarizm czy antysemityzm. Dalsze losy całej piątki stawały się jednak coraz bardziej osobne, co skutkowało gwałtownym zrywaniem znajomości w czasie II wojny światowej i pogłębieniem sporów po wojnie. Wtedy jednak poeci już od dawna nie czuli się członkami jednej grupy. Wciąż o sobie pamiętali, ale była to miłość połączona z nienawiścią. Iwaszkiewicz w listopadzie 1964 r. pisał w dziennikach: „Gdzie wy jesteście Julku, Kaziu, Leszku, Tolku? Jacyście byli uroczy, dowcipni, zabawni. Nie ma teraz takich ludzi. Takie było wszystko proste i jasne z wami! A teraz się tak skomplikowało”.

Czy można więc przyjąć, że kawiarnia Pod Picadorem była jedynie krótkim epizodem, ubarwieniem pierwszych dni niepodległości? Chyba nie. Skamandryci, jak wszyscy inni, przeżywali rozterki, a nawet dramaty emocjonalne i byli poddani wszelakim ludzkim odczuciom – także zawiści, próżności, małości... Mimo to poza talentem w młodości łączyło ich lekkie, specyficzne podejście do świata. Stając na straży prawdziwego talentu i wyrażając gotowość ogromnych dla niego poświęceń, wnieśli do II Rzeczypospolitej wyjątkowy kolor. Kolor, dzięki któremu nawet ponure z pozoru zdarzenia z perspektywy lat nie wyglądały aż tak strasznie i jednoznacznie jak w innych państwach. W 20-lecie wymienić można sporo smutnych wydarzeń. Słonimski, Tuwim, Lechoń, Wierzyński i Iwaszkiewicz stworzyli jednak piękną, barwną twarz tamtych czasów.

Maciej J. Nowak

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Tożsamość jest zapewne ważna, tożsamość narodowa w chwili (a czyżby chwila się kończyła, już zaraz cztery lata trzasa i co potem poza potopem?), kiedy rządzi formacja nacjonalistyczno-narodowo-religiancka, jest ważna już nie w trójnasób, tylko co najmniej w stunasób. Ale właśnie wymaga to poświęcenia wielkiej energii, zaangażowania, nateżenia sił intelektu i ani na chwilę nie zdejmując z barków strażników urzędowo-rządowych obowiązków zachowania najwyższej czujności, żeby odpowiednio rozumianą tradycję krzewić, pielęgnować, doglądać, chwasty wokół rwać – i tak trwać we wzroście światowego uznania dla tego średniej wielkości kraju, zagubionego gdzieś w Europie, między Niemcami a Rosją, między ziemniakiem z Ameryki Południowej a watykańskim papieżem z Wadowic.

W ostatnim czasie został ujawniony niewinny dokument, list elektroniczny będący częścią oficjalnej korespondencji między urzędnikiem (funkcjonariuszem) Instytutu Książki (oddział w Krakowie, cóż...) a podwykonawczynią pewnego zamówienia dla wyżej wymienionego instytutu, ale prawdę mówiąc zamówienia dla Polski, gdyż chodziło o folder

złaknionym wiedzy prawdziwej i głębokiej, którzy w swojej ignorancji żyją w innych krajach, innych językach, odmiennej muzyce, obcych religiach, innych nawykach uzależnieniowych, odrębnej kulturze kulinarnej (bez śliskich ryb, jak oni to wytrzymują?!).

A z drugiej strony wyłania się z tej wizji „koniecznych uzupełnień” wizja Polski potężnej (bitwa o Anglię i pierwszych sześć dni na Westerplatte, rotmistrz, Jan Paweł II) i nowoczesnej (grafen, fortepiany, Jan Paweł II), mądrej (nobliści, Jan Paweł II), politycznie awangardowej (konstytucja, Solidarność, Jan Paweł II), potrafiącej się bawić i śpiewać (gościnność, wódka, śpiewacy operowi, Jan Paweł II); kraj ludzi potrafiących pięknie złowić i ze smakiem zjeść (śledzie, pstrągi, Jan Paweł II). To w końcu Polska wrażliwa na przyrodę (bocian, jego klekot, Jan Paweł II) z racji stworzenia świata przez Boga (dzwony kościelne, Jan Paweł II). Z jaką finezją funkcjonariusz Instytutu Książki (oddział w Krakowie, cóż...) zadbał jednak o kontrpunkty, wytrącając krytykan-
tom broń ironii jednym ruchem, kiedy dorzucił konie araby i Malbork!!! Islam i Niemcy! Co za odwaga, co za poczucie

Świat oniemieje: Polska 2019

promujący nasz kraj na międzynarodowych targach książki gdzieś nie w Polsce. Urzędnik w lakonicznym, punktowym piśmie w trzech grupach uporządkował swoje (instytucji zatem) oczekiwania pod hasłami: 1. Wyciąć, 2. Raczej wyciąć, 3. Dopisać. Przeczytajmy szczegółowe rekomendacje, bo są krótkie, a treściwe („złote, a skromne”). Z zaproponowanego tekstu zniknąć miały następujące hasła, postacie i terminy: „Tusk, Twardoch, festiwal literacki w Sopocie, Gugudy Grzegorzewska”. Raczej zniknąć: „Betty Q, Anja Rubik”. Zajmę się jednak z lubością pozytywną stroną zaleceń instytucji, które „podpowiadają” autorce, co należy uwzględnić, o czym zapomnieć nie sposób w takiej prezentacji Polski na arenie międzynarodowej: „Jan Paweł II; Konie araby; Bitwa o Anglię; Bocian (dźwięki: bocian, klekotanie + bicie dzwonów kościelnych); Polska gościnność; Konstytucja 3 maja – 2. na świecie, 1. w Europie; arcydzieła światowego malarstwa (Da Vinci, Rembrandt, El Greco, Memling, Monet); Malbork; Niebieski laser, grafen; Westerplatte; Wódka; Solidarność; Niezwykła biografia – rtm. Witold Pilecki; Owoce morza, ryby morskie i słodkowodne: śledzie, pstrągi (smaki, dotyk: śliska ryba); no i w związku z tym, że literatów powinno tam być więcej – nobliści; oprócz Chopina wśród wirtuozów fortepianu Paderewski, może Blechacz; ew. śpiewacy operowi Kiepur, Beczała”.

Tych postaci, miejsc, rocznic, zjawisk, dzieł w sposób skandaliczny zabrakło, zostały pominięte. Jak dobrze, że jest Instytut Książki (oddział w Krakowie, cóż...), bo strach pomyśleć, jaka kaleka, odarta z osobowości, wypruta z tożsamości zostałaby ta Polska opowiedziana wszystkim

mocy! Jakie perfekcyjne złamanie smaku polskości, uwznioślenie polskiej wiekowej i przestawnej tolerancji, włączenie się do dziedzictwa europejskiego.

Na pochwałach jednak nie można skończyć. Adresatka listu od Instytutu Książki (oddział w Krakowie, cóż...) po jego otrzymaniu wycofała się ze współpracy, a to oznacza, że folder pisze teraz kto inny. Zapewne już zna wizję uzupełnioną. Być może będzie musiał(a) skonfrontować się z ciężarem krytyki: Jan Paweł II – zamiatanie pod dywan pedofilii i skandali seksualnych w Kościele; Westerplatte – po siedmiu dniach kapitulacja; wódka – 3 mln uzależnionych i kolejne 10 mln współuzależnionych; Solidarność – antyzwiązek zawodowy broniący interesów rządu i Kościoła przeciw pracownikom; bitwa o Anglię – trudno będzie przekonać Anglików, żeby z tego powodu nie dyskryminowali polskich uchodźców po brexicie; konie araby – kiedyś tu były, ale inny instytut (nie oddział w Krakowie, cóż...) się tym zajął i to pieśń przeszłości; polska gościnność – wymachiwanie nią, kiedy jako kraj nie przyjęliśmy ŻADNYCH uchodźców, to już nawet nie kłamstwo i głupota. Zostają, choć odlatują – bociany. I ich klekot. Z dzwonami w tle. No aż się chce jechać. Do tej Polski.

Ale to tylko Polska z folderu *in statu nascendi* Prawa i Sprawiedliwości, a tu nadchodzi rok 2019, może czas na inny folder opisujący rzeczywiste, walczące o siebie społeczeństwo tuż przed wejściem w drugą dekadę XXI w.? Tego i sobie, i Państwu, i bocianom życzę (a oddziałowi w Krakowie – nie! Cóż...).

KIEDY KOBIETA KOCHA BUTELKĘ

Kobiety piły po kryjomu, nigdy z tym się nie obnosiły

DOROTA KOLAK



– aktorka i reżyserka, absolwentka krakowskiej PWST, od 1982 r. związana z Teatrem Wybrzeże w Gdańsku, gdzie zagrała przeszło 70 dużych ról. Ma na koncie także liczne role w Teatrze Telewizji, filmach oraz serialach. Za kreacje w filmach „Jestem twój” Mariusza Grzegorzka i „Zjednoczone stany miłości” Tomasza Wasilewskiego otrzymała nagrody za drugoplanowe role kobiece na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. 4 stycznia do kin wchodzi „Zabawa, zabawa” Kingi Dębskiej, w której Dorota Kolak wciela się w postać uzależnionej od alkoholu Teresy.

Rozmawia Artur Zaborski

Pamiętam z dzieciństwa, jak babcia mówiła, że kiedy mężczyzna się napruje, to jeszcze pół biedy, ale jak kobieta, to już tragedia.

– Pijące kobiety to tabu nie tylko w polskiej kulturze. Z mężczyznami zawsze kojarzono picie ekskluzywne. Panowie zamykali się w swoich klubach, gdzie dyskutowali o polityce, społeczeństwie i kulturze. Zmieniali świat przy cygarach i najlepszych koniakach, które w życiu kobiet się nie pojawiały. Panie występowały w towarzystwie tych mężczyzn jedynie jako szynkareczki, donoszące im alkohol. Popijające kobiety były schowane, piły po kryjomu, nigdy z tym się nie obnosiły. Ten temat jest tajemnicą od dawnych czasów.

Dziś kobieta pijąca wino to nic niezwykłego. Emancypacja à rebours?

– Ta ciemniejsza strona emancypacji. Pamiętam czasy, kiedy kupno

wina w Polsce było prawie niemożliwe. Panowała u nas kultura mocnych alkoholi. To się zmieniło, co jest w filmie odnotowane. Bohaterki nie piją wysokoprocentowych trunków, tylko właśnie wino. Ale ich problem nie jest przez to mniej poważny. To, że zaczęliśmy pić wino, nie oznacza, że problemu nie ma.

Polki nadużywają alkoholu?

– Polska nie jest skrajnym przypadkiem. Jesteśmy, jak sądzę, w europejskiej średniej, na co się składa wiele elementów. Alkohol można dostać w Europie wszędzie – jest w sklepikach na rogu, w dyskontach spożywczych, w sklepach z artykułami kosmetycznymi, no i w specjalistycznych sklepach monopolowych. Czasem mam wrażenie, że jest o niego nawet łatwiej niż o żywność. W filmie pokazaliśmy, jak się nasila obecność alkoholu w życiu człowieka. Sportretowane są tu trzy kobiety w różnym wieku, w które wciela ją się Maria Dębska, Agata Kulesza

i ja. Magda dopiero zaczyna zabawę, a potem w nią wpada. Środkowa bohaterka, Dorota, nie ma świadomości, że choroba zawładnęła jej życiem i coraz bardziej wymyka się spod jej kontroli. Moja postać, Teresa, jest już na równi pochyłej. Poznaliśmy ją na ostatnim etapie samotności, porzucenia, kiedy nie ma już możliwości powrotu ani nawet zakłamywania stanu, w jakim się znajduje. **Czy te postacie mają zakorzenienie w rzeczywistości?**

– O ich rodowodzie niewiele potrafię powiedzieć. Kiedy spotkałam się z reżyserką Kingą Dębską, mia-

ła je już ukształtowane w głowie. Wymyśliła trzy bohaterki w różnym wieku, które ze względu na stadia choroby alkoholowej, w jakich się znajdują, tworzą tak naprawdę jedną osobę. Trzy splatające się wątki były według Kingi bardziej interesujące niż opowiadane przez jedną postać.

Alkoholicy wciąż budzą społeczną pogardę. Potrzebowała pani wybronić swoją bohaterkę przed potępieniem ze strony widza?

– Ani kiedy wchodzę na plan filmowy, ani na deskach teatru kompletnie o tym nie myślę. Nie mam potrzeby, żeby bronić postaci. Konstruuje je w taki sam sposób, jak

blemu. Zgadza się z jej decyzją. Mnie najbardziej zależało na tym, żeby to nie była postać konfekcyjna. Nie chciałam, żebyśmy sobie ten alkohol opowiadali, a dookoła było miło i czystutko. Wolałam wejść w to głęboko.

Nawet za cenę potępienia bohaterki przez widza?

– To nie miało znaczenia, chodziło o to, żeby uświadomić, jak podstępna jest ta choroba. Jest jak niezauważalna morska fala, która najpierw podchodzi ledwie pod stopy, a potem coraz dalej, aż kiedy nastaje przypływ, okazuje się, że stoimy w niej po szyję.

Kobiety wychodzą z alkoholizmu dużo rzadziej niż mężczyźni.

patrzę na ludzi. Uważam, że nie ma ani kogoś nieskazitelnie dobrego, ani do szpiku złego. Nie ma wśród nas aniołów ani przeżartych złem diabłów. Jesteśmy ludźmi i składamy się z jednych i drugich elementów. Takie są też moje bohaterki. Daleka jestem od ich oceniania.

Nie miała pani potrzeby pokazania ludzkiego oblicza Teresy, wytłumaczenia jej?

– Nie, chciałam, żeby to był ktoś, kto dotkliwie uświadamia, że alkohol to nie jest zabawa. Kinowa opowieść ma swoje prawa. To, co się dzieje z człowiekiem w ciągu 20 lat, my opowiadamy w dwie godziny, czyli na każdą postać przypada ok. 40 minut. Takie syntetyzowanie powoduje, że możemy nie poczuć rzeczywistego ciężaru postępującej choroby i degradacji bohaterki. Jest czymś zupełnie innym patrzeć na coś 40 minut, kiedy siedzi się w wygodnym fotelu, a czym innym życie z kimś uzależnionym przez 20 lat, dlatego musieliśmy użyć dosadniejszych środków wyrazu.

Mogło być jeszcze mocniej.

– Na etapie zdjęć rzeczy były bardziej wyostnione, ale ostatecznie nie znalazły się w filmie. Kinga pozwala mi mówić o tym, że nakręciliśmy scenę samobójstwa mojej bohaterki. Kiedy Teresa dochodzi do ściany, decyduje się zrezygnować z życia. Ostatecznie film kończy się jednak rodzajem nadziei, opowieść pozostaje otwarta. To jest decyzja reżyserki, która na etapie montażu uznała, że wystarczy kilka mocnych scen, żeby uświadomić widzowi skalę pro-

W ten sposób chcieliście edukować widza?

– Aspekt edukacyjny w ogóle nie był zamiarem. Kinga z różnych powodów zaangażowała się w sprawy społeczne i trafiła na problem alkoholu wśród kobiet. Wykorzystała te spotkania do pracy nad scenariuszem. Mamy mnóstwo filmów o tym, co się dzieje, kiedy pije mężczyzna, ale takiej opowieści z kobietami w roli głównej nie było.

Pani także rozmawiała z osobami uzależnionymi?

– Oczywiście, przeczytałam też dostępną literaturę. Jest trochę książek na ten temat – pamiętnikarskich i dokumentujących. Czerpałam również z internetu, gdzie można znaleźć wiele świadectw i prywatnych opowieści. Z tych elementów

To, że zaczęliśmy pić wino zamiast mocnych alkoholi, nie oznacza, że problemu nie ma.

spróbowałyśmy z Kingą zbudować te „wiarygodnie atrakcyjne historie”. Trzeba je było skomponować, bo to nie jest przecież dokument, tylko film fabularny.

Coś panią zaskoczyło podczas tych rozmów?

– Myślę, że zdawałam sobie sprawę z wielu rzeczy. Jeśli coś było dla mnie zaskakujące, to badania, które mówią, że kobiety wychodzą z alkoholizmu dużo rzadziej niż mężczyźni. **Dlaczego?**

– Nie znam prób uzasadnień naukowych, tak jest na poziomie statystyki. Mnie się zdaje, że tak jak

wszystko u kobiety – macierzyństwo, seks, relacje, praca – alkohol jest bardzo silnie powiązany z emocjonalnością. Ta emocjonalność komplikuje leczenie. Oczywiście zawsze jest pytanie, co było najpierw. Czy najpierw było coś nieprzepracowanego, a potem zjawiał się alkohol, czy odwrotnie – zjawiał się alkohol, który uruchomił coś nieprzepracowanego.

To ciekawa sprawa w filmie, bo dajecie sygnały, że w przeszłości bohaterek coś się pojawiło, ale nigdy nie dowiadujemy się co.

– Dobrze, że diagnozy nie są postawione. Nie mówimy, dlaczego ani przez co to się stało, bo nie ma takiej możliwości, żeby wskazać jednoznacznie przyczynę. To jest zawsze rodzaj pomysłu, śladu. Tak to jakoś ustawialiśmy.

Rozmównicynie próbowały tłumaczyć przed panią swój alkoholizm?

– Nie, a ja do pracy potrzebowałam pomocy osób, które wyszły z nałogu. Ta moc potrzebna mi była na poziomie wyborów artystycznych. Nie pytałam, dlaczego piły, tylko czy to, co ja zaproponowałam, jest wiarygodne. Interesowało mnie, czy widzą możliwość takiej reakcji i czy ich zdaniem coś takiego mogłoby się zdarzyć. Nie drażyłam życia człowieka, traktowałam te spotkania użytkowo.

Te rozmowy zmieniły pani podejście do Teresy?

– Z rozmów z tymi kobietami wynikało, że to nie jest tak, że przychodzi przewidywalny moment, kiedy się zaczyna droga ewidentnie w dół, że to nie jest proces. To raczej taki

niezauważalny pstryk, kiedy kompletnie przestajemy panować nad tym, co się dzieje. Pomyślałam, że Teresa to postać, która walczy i walczy, i walczy, i zamiata pod dywan, aż przychodzi taki pstryk i już niczego nie da się zrobić.

Koleżanka, która prowadzi terapię uzależnień, opowiadała mi, że do jej gabinetu trafiają osoby, którym cały czas się udawało zataić problem – nie było szefa, gdy nie przyszły do pracy, wykpiły się z umówionych zobowiązań, zataiły zawałone sprawy i terminy. Aż w końcu się nie udało i wszystko się zawaliło.



Dorota Kolak w filmie „Zabawa, zabawa”. Nz. z Jowitą Budnik.

wielokrotnie. Chcę wierzyć, że takie filmy też do czegoś się przyczyniają. Wierzymy w to, ale poza wiarą też działamy.

Pani działa na rzecz zmiany świata?

– Na Kaszubach, dokąd wyjeżdżam na wakacje, z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości kupiliśmy z mężem sto drzew i zasadziliśmy je. Uważam, że to jest coś, co mogę zrobić naprawdę. Oczywiście jest segregowanie śmieci, oszczędzanie wody i recykling, ale kto ma ogród i przydomową ziemię, ten powinien sadzić drzewa. Sadźmy je wszędzie, gdzie nam pozwolą, a gdzie nie pozwalają, walczmy, żeby pozwolili. Walczmy także o to, żeby nie wycinali w parkach ani ogródkach tych, które są już stare i wydają się niepotrzebne. Takiej zmiany bym sobie życzyła, bo przestrzeń lęku, którą w sobie noszę od jakiegoś czasu, wiąże się też z niepokojem o świat. Ostatnio uświadomiłam sobie, jak jego problemy oddziałują na moją rodzinę.

Przy jakiej okazji?

– Zadzwońiła do mnie córka, z którą przed świętami wyjeżdżamy razem do Krakowa, by złożyć życzenia mojej mamie. Mówi do mnie: „Słuchaj, a może by w prezencie kuzynkom i twojej mamie kupić

– Wiemy z terapii uzależnień, że alkoholika, seksoholika czy narkomana trzeba zostawić samemu sobie. Należy przestać pomagać, nie sprzyjać, nie kryć jej czy jego wpadek. Wtedy jest szansa, że się odbije od dna. Ale moja Teresa już się nie odbija. Zostawiona sama sobie ginie. Dla mnie w scenie, kiedy siedzi na przystanku, autobus jest bardzo piękną metaforą śmierci albo wyzwolenia. Autobus mógł zabrać Teresę do czegoś nowego, ale ona została na przystanku, nie wsiadła do tej szalupy ratunkowej.

Dlaczego Teresa nie potrafi się odbić od dna? Jest lekarzem, musiała wcześniej rozpoznać u siebie problem.

– Teresa ma w sobie jakiś brak, jakieś łaknienie czegoś, niespełnienie. To było dla mnie ważne, żeby nawet jeśli nie ma tego na ekranie, dla siebie, dla konstrukcji roli, wiedzieć, czego jej brakowało. Teresa ma sukcesy, miłość studentów, córkę, świetny zawód, ale to nie daje jej siły, żeby walczyć. Wyposażyłam ją w brak poczucia własnej wartości. Żaden sukces, żadna nagroda nie uleczyła jej nigdy z tego. W tym widziałabym pierwotną przyczynę jej upadku. Taką była moja diagnoza aktorska. Nie wiem, jakie są metody terapeutyczne, ale myślę, że też się szuka jakichś praprzyczyn.

Kinga też tak patrzyła na Teresę?

– Z Kingą jest tak, że się porozumiewamy w pół słowa. Ona po pro-

stu mnie puściła w tej roli, pozwoliła eksperymentować, eksplorować różne przestrzenie mojej bohaterki. Dopiero na stole montażowym dokonywała cięć i podejmowała decyzje o tym, jak zamknąć tę opowieść. Miałymy bardzo dużo materiału, ale film nie jest z gumy, trzeba dokonywać wyborów. Była dla mnie bardzo ważnym obserwatorem. Mówiła: „No to dobra, jedź, zobaczymy”. Choć serce mnie boli, że tyle materiału nie znalazło się w filmie, ufam, że dokonała dobrych wyborów.

Co innego patrzeć na coś 40 minut, siedząc w kinie, a co innego żyć z kimś uzależnionym przez 20 lat.

Po pracy przy takim filmie widzi pani potrzebę działania?

– Może powinienam? Zupełnie nie mam zapędów społecznikowskich. Wydaje mi się, że nie da się tego problemu rozwiązać systemowo. Mamy za sobą okres, kiedy alkohol był sprzedawany dopiero od godz. 13, mamy prawo, które reguluje, jak daleko od kościoła można nim handlować. Czy to coś zmieniło? Zakazy i nakazy niczego nie poprawią. Myślę, że jak zawsze i we wszystkim najważniejsza jest edukacja. Uświadamianie – tylko to może trafić do głów ludzi. „Zabawa, zabawa” trafi do głów widzów?

– Sztuce nigdy się nie udało naprawić świata, choć próbowała

takie maseczki antysmogowe? Są po 30 zł”. Zatkąło mnie. To jest bardzo smutne, że moja córka myśli o takim prezencie.

Czyli życzymy sobie więcej drzew.

– I więcej globalnej refleksji. Chciałabym, żebyśmy, kiedy już spotykamy się na noworocznym obiedzie i cieszymy się z bycia w naszych małych komórkach rodzinnych, pomyśleli też szerzej i może coś zrobili. Albo chociaż się sprzeciwili temu, co nam niektórzy tutaj gotują. Cały czas życzymy sobie nawzajem zdrowia, a skoro zdrowia, to przecież czystego powietrza! A skoro czystego powietrza, to trzeba dosadzić drzew, żeby było ich więcej, a nie mniej.

Artur Zaborski

Oko w oko



Tomasz Jastrun

NOWY ROK

Mija kolejny rok. Nieco starsi wzdychają: „Jak szybko minął, ten czas pędzi coraz szybciej”. To oczywiście złudzenie, ale powszechne i dojmujące. Odkryłem, skąd się bierze. Długa wydaje nam się droga, którą idziemy po raz pierwszy, bo wszystko jest nowe i co chwila przykuwa uwagę; ta droga skraca się, kiedy idziemy nią po raz kolejny. Tak samo w życiu – z wiekiem wszystko się powtarza i staje się znane, stąd złudzenie przyspieszenia. Lata dzieciństwa, relatywnie krótkie, w naszej pamięci stanowią osobny duży kontynent, dla dziecka wszystko jest nowe i niezwykle. Ale ten mijający rok 2018 był ważny. To rok, gdy myśląca część ludzkości zdała sobie w końcu sprawę, że globalne ocieplenie zagraża naszej planecie. I to nie są żarty. Polscy prawicowi politycy, jak się wydaje, tego nie rozumieją. I był to rok, gdy szambo pisowskie wylało się już ze zbiornika. Nie trzeba mieć czułego powonienia, by to czuć.

Byłoby przesadą powiedzieć, że w Polsce jest dyktatura, ale śmiało można powiedzieć, że media rządowe kłamią, jak kłamię się tylko w dyktaturze. Jak kłamano w PRL, szczególnie w '68 r. i w stanie wojennym. Tak kłamię Morawiecki, Duda, tak kłamią politycy PiS. Ostatnie tygodnie przyniosły dwie wypowiedzi, które jako krótkie cytaty mogą kandydować do bzdur roku. Premier Morawiecki: „Jesteśmy bijącym sercem Europy”. Co najwyżej wyrostkiem robaczkowym, panie premierze. Senat zaakceptował prawnika Mikołaja Pawlaka na stanowisko rzecznika praw dziecka. Pawlak wyznał, że od strony prawno-moralnej in vitro to „metoda niegodziwa”. Ale się dorobiliśmy rzecznika dzieci, to raczej rzecznik zarodków. A nagła miłość PiS do Unii? Każdy głupi widzi, jaki jest tego powód i ile w tym fałszu. Boże, jacy oni są obrzydliwi, że też Polskę musiało coś takiego spotkać!

Wedle badań 17% Polaków śledzi wydarzenia polityczne, a 38% w ogóle nie interesuje się polityką. Ci ludzie, jeśli na chwilę odetkają uszy i coś usłyszą ze sfery polityki, nawet kosmiczną bzdurę, mogą w nią uwierzyć, bo nie mają narzędzi, by myśleć krytycznie, nie znają politycznych reguł gry. A to właśnie grupa, o którą wszystkie partie muszą się bić, to nie jęczyczek, ale jęzor u wagi. Zaściankowa i nieświadoma politycznie grupa będzie więc decydować o losach Polski. Tak bywa też z losami świata.

Media rządowe kłamią, jak kłamię się tylko w dyktaturze.

Na śledziku u Ewy Chotomskiej, córki pisarki Wandy. Znamy się od dziecka, mieszkamy nie tak daleko od siebie. Śledzik zmienił się w jesiotra, tak się Polska dorobiła. Ładny dom z uroczym pieskiem i kotem, większym od pieska, i z ogniem w kominku. Sporo osób, wśród których moja żona jest najmłodsza. Jakaś pani mówi, że w 1977 r. uczyliśmy się razem na Foksal francuskiego, byliśmy na jednym kursie, siedzieliśmy obok siebie w ławce. Oczywiście nic nie pamiętam, chociaż pamiętam, że chodziłem na kurs francuskiego i to była porażka. Aktorki, niegdyś piękne i znane. Ktoś gra na gitarze. G., kiedyś znany prezenter radiowy, wspierając się o swój brzuch i o kulę, czyta fragmenty swojej książki wspomnieniowej, tak niewyraźnie, że nic nie da się zrozumieć, więc nikt go nie słucha, on jednak tym się nie przejmując, jest całkowicie samowystarczalny i zajęty tylko sobą. Co chwila ktoś nawiązuje do sytuacji politycznej i wzdycha: to jest okropne, co się porobiło...

Myślę, że gdybym był zwolennikiem PiS, byłaby to straszna sytuacja, całe środowisko jest serdecznie antypisowskie. Wśród gości jest Grzegorz Kasdepke, popularny pisarz dla dzieci, czytam w internecie, że w roku 2016 nie przyjął od ministra Piotra Glińskiego Brązowego Medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

Moja kuzynka z Londynu, żona brytyjskiego rzeźbiarza, pisze do mnie: „U nas ciągły dramat polityczny, ten rok będziemy pamiętać jak jedno długie, przekłete walenie głową w mur. Jeżeli są w tym jakieś pozytywy, to na zasadzie kontrastu widać, jak niezwykli i wyjątkowi są ci, dla których brexit to przekleństwo. Czyli cały nasz krąg przyjaciół. I bardzo wielu innych”. No proszę, to zupełnie jak w Polsce. Niechęć do PiS rodzi braterstwo. A Brytania to przecież kraj o wielkich tradycjach demokratycznych, my byliśmy w lesie, gdy oni ją kultywowali. Ale u nas sytuacja nie jest beznadziejna. Dobrze poinformowani optymiści są pewni, że PiS przegra wybory. Chociaż niewierzący, jestem w stanie o to się modlić.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

CO SKRYWA LITERACKIE BIKINI

Skąd się biorą
kultowe książki?
Nie z list
bestsellerów

Rafał Piłkuła

Dlaczego o danej książce mówi się, że jest epokowym arcydziełem? Nieżyjący już prof. Aaron Levenstein zasłynął powiedzeniem, że statystyka jest jak kostium bikini. Pokazuje wiele, ale nie to, co najważniejsze. Autor tego bon motu zmarł w 1986 r., zanim jeszcze statystyka stała się poręcznym narzędziem w debatach. W dobie późnego kapitalizmu wszelkie podsumowania czy bilanse cieszą się ogromnym powodzeniem. Tak samo jest z listami bestsellerów. Tworzenie takich zestawień to ulubione zajęcie księgarzy, dziennikarzy i blogerów. A publikowane są one zarówno na łamach poważnych tygodników opinii, jak i w amatorskich serwisach czytelnicy. Zgodnie z tezą Levensteina oceny te mówią o książkach wiele, ale nie mówią najważniejszego.

Bestsellery to nie są książki dobre, ale takie, które dobrze się sprzedają – truizm, ale siła zestawień jest większa, niż mogłoby się wydawać. W dobie, gdy książka jest tylko produktem, a wydawnictwa fabrykami słów, trafiać na listę bestsellerów stanowi prostą drogę do sukcesu komercyjnego. Niestety, może być też pociągkiem śmierci dla tych, którym marzy się wieczna sława. A przecież najważniejsze jest uznanie. Większość autorów pisze, żeby trafić do literac-

kiego panteonu, w najgorszym razie do szkolnego elementarza. O honor, a nie o honorarium się rozchodzi.

KSIAŻKI O ZWIERZĘTACH SIĘ NIE SPRZEDAJĄ

Czy faktycznie dobre książki, które stają się kultowe, i bestsellery to dwa różne światy? Zbadać tę zależność postanowiła Emily Temple, redaktorka anglojęzycznego serwisu Literary Hub, która przejrzała amerykańskie listy bestsellerów z ostatnich 100 lat, publikowane corocznie przez Publishers Weekly. Spisy zestawiała z książkami, które uznajemy dziś za ważne czy wręcz epokowe. Jej odkrycie nie było sensacyjne: rzadko na listach bestsellerów z minionych lat królowały pozycje, którymi dziś się zachwycałyśmy. Topowa trójka z roku 1922 wyglądała tak: na pierwszym miejscu „If Winter Comes” autorstwa Artura Hutchinsona, na drugim Edith Hull z książką „The Sheik”, podium zaś zamykała pozycja „Gentle Julia” niejakiego Bootha Tarkingtona. Po polsku wyszła tylko druga z wymienionych, i to na fali popularności filmowego romansidła, którego scenariusz oparto na książce. Tego samego roku do amerykańskich księgarń trafiły takie dzieła jak „Ulysses” Jamesa Joyce’a, „Piękni i przeklęci” Francisca Scotta Fitzgeralda czy tłumaczenie „W stronę Swanna” (pierwszego tomu „W po-

szukiwaniu straconego czasu”) Marcela Prousta.

W kolejnych latach pierwszą dziesiątkę okupował wspomniany Hutchinson i inni autorzy, których dziś nie pamiętamy, choć na półkach pojawiły się takie pozycje jak „Wielki Gatsby” Fitzgeralda (poza top listą w 1925 r.), „Słońce też wschodzi” Ernesta Hemingwaya (pominięte w 1926 r.) czy „Do latarni morskiej” Virginii Woolf (1927). Wyjątkiem był rok 1929, gdy pierwsze miejsce pod względem sprzedaży zajęło kultowe dziś dzieło „Na Zachodzie bez zmian” Ericha Marii Remarque’a. Co ciekawe, „Pożegnanie z bronią”, podobna w wymowie książka Hemingwaya, nie okazało się sprzedażowym hitem.

W następnych latach wszystko wróciło do normy i bestsellerami znów były zapomniane dziś romanse i opowieści przygodowe. W 1937 r. czytelnice serca podbiło „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell, ale wydanie innego kultowego dziś dzieła, czyli „Hobbita” J.R.R. Tolkiena, przeszło bez echa. Opowieści ze Śródziemia powszechną sławę zyskały dopiero przy okazji filmowych superprodukcji.

W 1945 r. amerykański Dial Press odmówił wydania „Folwarku zwierzęcego” Orwella, tłumacząc, że „książki o zwierzętach nie sprzedają się dobrze w Stanach Zjednoczonych”. Wydany cztery lata później „Rok 1984”

tęgo autora również nie okazał się komercyjnym sukcesem. Takich przykładów jest zresztą na pęczki: w 1965 r. w „topce” nie było „Diuny” Franka Herberta czy „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego. W 1984 r. „Nieznosna lekkość bytu” Milana Kundery okazała się za ciężka na półkę bestsellerów. Wiadomo, że amerykański rynek jest specyficzny. To, co w Europie rozpałało czytelnice serca, za oceanem zbywane było obojętnością, spotkało to chociażby powieści Gabriela Garcíi Márqueza. Tymczasem w latach 80. pół Europy zakochało się w „Stu latach samotności”.

ZDRADA OLGİ TOKARCZUK

Czy podobna zależność, że półka top 10 nie równa się wiecznej pamięci i sławie, zachodzi w Polsce?

W 2017 r. najlepiej sprzedawały się „Czarownica” Camilli Läckberg, „Gwiazdka z nieba” Katarzyny Michalak czy biografia Anny Przybylskiej. Dwa lata temu były to m.in. „Brod” Piotra C., „Kiedy odszedłeś” Jojo Moyes oraz dwie książki z ks. Kaczkowskim na okładce (śmierć księdza napędziła sprzedaż). Jediną pozycją z czołówki sprzedażowej, o której może będziemy kiedyś pamiętać, było „Małe życie” Hany Yanagihary. Ciekawie wyglądał także rok 2014, gdy rekordy sprzedaży bił pseudoerotyk „50 twarzy Greya”, a tuż za nim uplasowała się „Zdrada” brazylijskiego króla kiczu Paula Coelho. W tym samym roku do księgarń trafiły m.in. „Londyn NW” Zadie Smith czy „Księgi Jakubowe” Olgi Tokarczuk. Tegoroczna laureatka Międzynarodowej Nagrody Bookera na listach bestsellerów ociera się zawsze o pierwszą dziesiątkę, ale wyróżnieni prestiżowym laurem „Bieguni” przegrali w 2008 r. m.in. z książką „Dziewice, do boju” Moniki Szwai i literackim rozlewiskiem Małgorzaty Kalicińskiej.

Czy to Zduńska Wola, czy Manhattan, wychodzi na to, że dobra sprzedaż literatury wielką nie czyni. Wiemy, co pokazuje nam sprzedażowa statystyka (trudny żywot pisarzy i wstydlive bogactwo grafomanów), ale wciąż nie znamy odpowiedzi na pytanie, co się kryje pod tym literackim bikini.

Analiza listy bestsellerów pozwala odkryć, czego tak naprawdę pragną czytelnicy. To także odpowiedź, jak odnieść komercyjny sukces. Recep-

tę na takowy napisali Jodie Archer i Matthew L. Jockers. Ich „The Bestseller Code” odkrywa, że czytelnicy preferują powieści, w których dwa tematy zajmują pierwsze 30% objętości, a trzeci kolejne 10%. Publikacja wskazuje również, że bestsellerowy bohater jest pełen emocji, pragnień i dążeń. Aktywna postawa postaci przekłada się na realny zysk twórcy. Co ciekawe, z tego samego powodu dużą popularnością cieszą się wszelkie poradniki i coachingowe wypracowania. Nie miał więc chyba racji Izaak Babel, mówiąc: „Stylem dokonujemy naszych podbojów, stylem”.

Archer i Jockers twierdzą, że w 80-90% przypadków można przewidzieć wielkie przeboje wydawnicze, wystarczy się posłużyć prostym algorytmem. Zastosowali go do książek, które biły rekordy sprzedaży. „Inferno” Dana Browna miało 95,7% zgodności z bestsellerowym ideałem, „Prawnik z Lincolna” Michaela Connelly’ego 99,2%, a „Piątkowy Klub Robotek Ręcznych” Kate Jacobs 98,9%. Podobne wyniki osiągały książki J.K. Rowling, Jonathana Franzena czy Donny Tartt. Nie muszą dodawać, że „The Bestseller Code” także okazał się sprzedażowym hitem w USA.

KOD BESTSELLERA

Zapytany o sukces „Kodu Leonarda da Vinci” Dan Brown odpowiedział szczerze: „Chciałem po prostu napisać coś, co sam chciałbym przeczytać”. Podobne pragnienia miało prawie 100 mln ludzi z całego świata. Sukcesowi nie przeszkodziło narzekanie poważnego autora Salman Rushdiego, który nazwał „Kod” książką tak złą, że na dobre wyglądają przy niej publikacje naprawdę złe.

Rewersem opowieści o bestsellerach jest historia książek kultowych. Dlaczego o danej książce mówi się, że jest arcydziełem literackim? Czasami dana pozycja otrzymuje to miano przez przypadek albo w wyniku splotu różnych okoliczności. Tak było chociażby z „Wilkiem stepowym” Hermanna Hessego. Chociaż książka wyszła z drukarni w 1927 r., szczyt jej popularności przypadł na lata 60. „To hipisi wyciągnęli Hessego z doliny”, napisał swego czasu „Der Spiegel”. Amerykańska młodzież odnalazła w „Wilku stepowym” antymieszczańskie upojenie i psychodeliczne

doświadczenia. Także na swoje lata musiały czekać powieści Franza Kafki. Autor „Procesu” zmarł w biedzie w 1924 r. i dopiero na fali powojennej popularności egzystencjalizmu w latach 40. i 50. Kafkowski styl zyskał uznanie krytyków i czytelników. Do sukcesu Sołżenicyna w dużym stopniu przyczynił się radziecki terror, a Erich Fromm sławę zyskał po części przez hitlerowską politykę.

Najczęściej jednak kultowe są te książki, o których ktoś – szczególnie jeśli ma tytuł profesora na dobrej uczelni – mówi, że są dobre. Listy ważnych dzieł publikuje także prestiżowa prasa. W 1999 r. francuski „Le Monde” opublikował listę 100 książek XX w., w 2007 r. „Time” i „Guardian” wydrukowały przygotowaną przez Johna Pedera Zane’a setkę pisarzy i setkę książek wszech czasów. Nie będzie zaskoczeniem, jeśli powiem, że w zestawieniu dziennika „Le Monde” była wyraźna nadreprezentacja dzieł francuskojęzycznych, u Zane’a i kolegów zaś publikacji anglojęzycznych.

Mogłoby się wydawać, że za sprawą Nagrody Nobla książki danego autora zyskują status kultowych, ale też nie do końca to się zgadza. Za kultowe – i to w wielu środowiskach – uchodzą „Anna Karenina”, „Lolita” i „Człowiek bez właściwości”, a przecież Tołstoj, Nabokov i Musil najważniejszego literackiego lauru nie otrzymali. Z drugiej strony autorzy „Zmierzchu długiego dnia”, „Chmur nad Metapontem” czy „Krainy wódki” należą do kręgu noblistów literackich, ale kto czytał wspomniane dzieła?

O ile informacje o sprzedaży to stosunkowo twarde dane, mówiące o sukcesie danej pozycji (choć zdarza się pompowanie list przez wydawców, którzy masowo zakupują daną pozycję), o tyle historia książek kultowych jest opowieścią nieprzewidywalną. Może i da się niemalże od linijki stworzyć bestseller, ale zaprogramować dzieła epokowego nie sposób. Jest w tym jakaś nadzieja, zarówno dla pisarzy – szczególnie tych, którzy rozpaczają, widząc wyniki sprzedaży swojego „dziecka” – jak i dla tych, którzy boją się, że sztuczna inteligencja zniszczy literacki świat.

Czekamy więc na pierwszy bestseller napisany wyłącznie przez komputer. Spodziewanie się wielkiego, kultowego dzieła z algorytmu to jednak czysta *science fiction*. ■



ŚMIECH NAS WYBAWI

Byłaby to sympatyczna komedia o perypetiach uczuciowych trzech młodych par. Nic nie mąciłoby śmiechu, gdyby nie świadomość, że był to może ich śmiech ostatni. Rzecz bowiem dzieje się w warszawskim getcie, w latach niemieckiej okupacji, ale ludzie chcą żyć normalnie, pobierać się, kochać, bawić, spotykać, urządzić w miarę swoich skromnych możliwości. W tej sztuce nie ma ani słowa o terrorze, raz tylko mimochodem pada wzmianka o godzinie policyjnej, i tylko nieznośna ciasnota, w której mieszkają ci ludzie, oraz gwiazdy Dawida na rękawach ich płaszczy nie pozostawiają złudzeń. Komedie napisał Jerzy Jurandot, mieszkaniec tej nieludzkiej dzielnicy, tam odbyła się premiera, a potem dziełko zakopano w ziemi, by przetrwało do dziś. Premiera po tylu latach pokazuje, że śmiech nie ma granic, nie starzeje się, ale także ma niezwykle właściwości terapeutyczne, a może i transcendentne.

Bronisław Tumitowicz

Jerzy Jurandot, „Miłość szuka mieszkania”, reżyseria Jan Naturski, scenografia i kostiumy Monika Gościński, muzyka Grzegorz Mazoń, Teatr Ekipa na scenie Teatru WARSawy, premiera 14 grudnia 2018

NIEŁATWO ODEJŚĆ

To alegoryczna opowieść o wyczerpaniu, wypaleniu, gaśnięciu życiowej energii, które stały się udziałem George’a, żółtwa słoniowego, ostatniego przedstawiciela swojego gatunku. Wszystko już przeżył, wciąż ponawiając poszukiwania szczęścia – i wciąż zawiedziony dochodził do wniosku, że już nic go nie czeka. Teraz czeka tylko na śmierć, która nie nadchodzi. Pozostaje więc nuda. Razem z George’em nudzi się publiczność. W spektaklu pojawiają się nużące pauzy, bo akcja wciąż zamiera, zaczyna się, długimi minutami ciągnie się odtwarzanie płyty z nagraniami Anny German, czas tutaj ma swoją wagę, doskwiera. Tak ma widocznie być – widz powinien odczuć brzemień czasu, które tak ciąży George’owi. Wytrącony z trajektorii życia, zwykle toczącego się w przyspieszonym tempie, nagle doznaje efektu spowolnienia niczym w klauzurowym klasztorze.

Rozmaicie można czytać tę przypowieść, w której u boku znużonego George’a (Zdzisław Wardejn) pojawia się pełen energii Narrator i Dok(tor) w jednej osobie (Waldemar Bar-



wiński). Dok sprawuje najwyraźniej opiekę nad George’em – gotuje mu zupę, parzy herbatę, okrywa kocem, pilnuje, aby się nie zawieruszył, zachęca do życia, ale i okazuje bezradność terapeuty. Można figurę George’a czytać jako metaforę depresji, która dopada człowieka nie wiadomo dlaczego i skąd. Paraliżuje wolę, przepełnia smutkiem, odbiera radość życia. To podobno problem 150 mln ludzi na świecie.

Można jednak czytać figurę żółtwa słoniowego jako alegorię człowieka w ogóle, czyli esencję doświadczeń ludzkości, która w dobie ponowoczesnej czuje się jak w pułapce. Wszystko niby ma za sobą, ale jednocześnie trwa w martwocie. Może to i banał, jednak sztuka Bonna Parka daje do myślenia, choć daleko jej do doskonałości Becketta, który opowiedział już tę historię, tyle że

mocniej i dosadniej, w „Czekając na Godot” i „Końcówce”.

Tomasz Miłkowski

Bonn Park, „Smutek i melancholia”, tłumaczenie Iwona Nowacka, reżyseria Piotr Waligórski, Scena Przodownik Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, premiera 14 grudnia 2018

NA POWAŻNIE

HALKA I CELEBRYCI



chłopotomani. Bogaci ludzie z miasta rezygnują ze strojów szlacheckich i przebijają się za górali, nawet mazura tańczą prawie jak krzesanego. Na scenie występują zwierzęta, jest też istotna zmiana z dzieckiem Halki, a to wszystko w celu zwiększenia dawki emocji i spotęgowania wzruszeń. Moniuszko się nie obrazi, bo muzyka została nietknięta.

Bronisław Tumitowicz

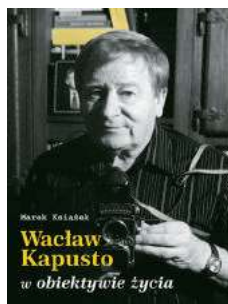
Stanisław Moniuszko, „Halka”, dyrygent Marcin Natęcz-Niesiołowski, reżyseria Grażyna Szapołowska, Opera Wrocławska, premiera 14 grudnia 2018

MIĘDZY OKŁADKAMI

ZAJRZYJ TU

Marek Książek
**WACŁAW KAPUSTO
 W OBIEKTYWIE ŻYCIA**
 SSK „Pojezierze”, Olsztyn 2018

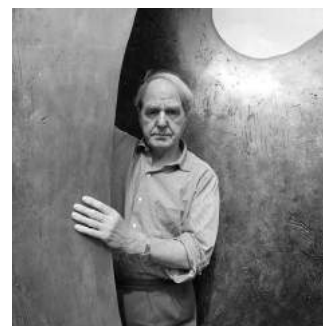
Starsze pokolenie pewnie pamięta „Panoramę Północy”, kolorowy tygodnik redagowany w Olsztynie. Pismo wydawało Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, choć wkrótce przejął je konsern RSW „Prasa”. Szefem fotoreporterów był tam Wacław Kapusto, znany także jako ten, który miał dostęp do krajowych i zagranicznych prominentów w ośrodku partyjno-rządowym w Łańsku. I to jego biografię spisał Marek Książek, docierając do wspomnień z młodości, którą Kapusto spędził w Bujwidzach na Wileńszczyźnie. Nastoletni Wacek był tam fotografem batalionu AK, a tuż po wojnie został aresztowany przez NKWD i osadzony w obozie pracy pod Saratowem. Po dziewięciu miesiącach wrócił do domu, by wraz z rodziną, swoją i narzeczoną, wyjechać na Ziemię Odzyskaną, do Mrągowa. Był tam urzędnikiem, tak jak po przeprowadzce do Olsztyna, a krótko – z nadania wojewody olsztyńskiego Mieczysława Moczała – nawet wicestarostą w Iławie. Potem został etatowym fotoreporterem i był nim aż do śmierci w marcu 2018 r. Autor jego biografii zdążył z nim przeprowadzić wiele rozmów, które odnajdziemy w tej książce.



**MOC NATURY.
 HENRY MOORE W POLSCE**

Prawie do końca stycznia można jeszcze oglądać we Wrocławiu prace jednego z najwybitniejszych XX-wiecznych artystów europejskich. Rzeźby Henry'ego Moore'a, których tematem była pojedyncza postać ludzka lub grupa, traktowana w sposób monumentalny i w syntetycznej formie, uchodzą dziś za klasykę rzeźby XX w. We wrocławskim Pawilonie Czterech Kopuł oglądamy 23 prace powstałe w ciągu 50 lat działalności twórczej Moore'a, wśród nich wielkoformatowe rzeźby plenerowe z brązu.

WROCŁAW, PAWILON CZTERECH KOPUŁ, DO 27 STYCZNIA 2019



KONKURS

**II MIĘDZYNARODOWY KONKURS WOKALNY
 IM. ANTONINY CAMPI Z MIKLASZEWICZÓW**

To wyjątkowe wydarzenie jest okazją do spotkania ze światem profesjonalnego wykonawstwa operowego, niesie też wartość kulturotwórczą. Wszystkie wydarzenia pod marką Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów kończyły się koncertem galowym w Sali Operowej CSK. Tak będzie i tym razem: finał z towarzyszeniem Orkiestry Akademii Beethovenowskiej będzie jednocześnie koncertem arii operowych, który poprowadzi maestro José Maria Florêncio. W jury zasiądą profesjonalści z najlepszych instytucji muzycznych z Węgier, Pragi, Londynu i Montpellier, a przewodniczyć im będzie pomysłodawczyni wydarzenia, śpiewaczka Ewa Vesin.

Zgłoszenia do konkursu przysyłać można do 15 stycznia. Przesłuchania I i II etapu konkursu są otwarte dla publiczności. Szczegóły: www.antoninacampi.com, spotkaniakultur.com i facebook.com/antoninacampicompition.



**LUBLIN,
 CENTRUM
 SPOTKANIA
 KULTUR,
 PL. TEATRALNY 1
 3-8 MARCA 2019**

Karolina Pernal Quintet
CLARIDAD
 SJRecords

Instrumentalistki w świecie jazzu wciąż są w mniejszości. Dlatego z radością wita się te, które w nosie mają stereotypy i zwyczajnie robią to, co chcą i do czego mają talent. Z drugiej strony Karolina Pernal wcale nie potrzebuje rekomendacji na zasadzie: o, saksofonistka, hołubmy tę rzadkość. Debiutancka – to akurat warto podkreślić – płyta założonego przez nią kwintetu jest po prostu dobra. Do zasłuchania się, odprężenia, niemal fizycznego wygrzewania się w ciepłych dźwiękach: splatających się brzmieniach saksofonów albo saksofonu i klarnetu basowego, energetycznych partiiach fortepianowych. Zawiera trzy autorskie kompozycje, a oprócz tego „Beatrice” Sama Riversego zaaranżowaną przez męża Karoliny Bartosza i dwa jego własne utwory – gdy kończy się finałowe „Dorrigo's Oddysey”, cisza jest szokiem, brutalnym wyrwaniem ze świata, którego wcale nie chce się opuszczać.



Aleksandra Pańko

MOWA NA GRANICY WYMARCIA

Co dwa tygodnie bezpowrotnie ginie jeden z ponad 7 tys. języków używanych na świecie

Mateusz Mazzini

Według oficjalnych danych władz stanowych na obszarze o promieniu 15 km od ścisłego centrum Nowego Jorku można spotkać ludzi mówiących w ponad 800 językach. To przeszło 10% całego istniejącego dorobku ludzkości w tym zakresie. ONZ szacuje, że na świecie w użyciu pozostaje w tej chwili 7098 języków. Za takowy uznaje się odrębny system komunikowania się konkretnej populacji, mający co najmniej zręby własnej gramatyki, niezależną wymowę i sposoby kodyfikacji dźwięków. Wiele z tych języków jest jednak na granicy wymarcia, a przy życiu utrzymuje je najczęściej albo garstka pasjonatów, albo diaspora mieszkająca dziesiątki tysięcy kilometrów od ojczyzny.

Jednym z takich przypadków jest język Koczewarów, zaledwie kilkutyśięcnej obecnie mniejszości wywodzącej się z południowej Słowenii. W swojej mowie krzyżuje ona słowa języków słowiańskich z naleciałościami retoromańskimi i niemieckimi, miesząc się w miejscu pochodzenia Koczewarów jeszcze przed podbiciem tych ziem przez Habsburgów. Język ten pozostawał żywy i był powszechnie używany przez lokalną społeczność do II wojny światowej, kiedy fale przesiedleń i prześladowań etnicznych zmusiły większość Koczewarów do emigracji. Dziś jednym z najprężniejszych ośrodków walczących o zachowanie ich kultury i języka jest właśnie Nowy Jork.

Alfred Belay i Martha Hutter do Stanów Zjednoczonych uciekli w poszukiwaniu lepszego życia. Powojenna Słowenia, wchłonięta przez nowo powstającą Jugosławię, oferowała niewiele poza biedą i głodem. Dziś, ponad 70 lat po wyjeździe z kraju, Alfred i Martha między sobą wciąż porozumiewają się w mowie Koczewarów. Takich jak oni jest jednak coraz

mniej. Co roku w Boże Narodzenie w ich lokalnym kościele na nowojorskim Bronksie odprawiają pasterkę w swoim języku. Jeszcze kilkanaście lat temu liczba uczestników mszy dochodziła do setki, dziś ledwo przekracza dwa tuziny. Belay i Hutter szacują, że w ciągu najbliższych dwóch dekad język Koczewarów może całkowicie wymrzeć.

Ten sam los w perspektywie najbliższego stulecia czeka dużo więcej języków świata. Według badania przeprowadzonego w ubiegłym roku na zlecenie magazynu „National Geographic” bezpowrotnie zniknąć z lingwistycznej mapy świata może w XXI w. nawet co drugi. Już w tej chwili co dwa tygodnie wymiera jeden język. Skalę tego procesu najlepiej obrazuje fakt, że zagrożony niemal w tym samym stopniu co język Koczewarów jest słoweński, czyli mowa wobec niego dominująca.

Niebezpieczeństwo wyginięcia nie dotyczy tylko języków egzotycznych używanych przez pojedyncze plemiona.

Wbrew obiegu opinii niebezpieczeństwo wyginięcia nie dotyczy tylko egzotycznych języków używanych przez pojedyncze plemiona z amazońskiej dżungli czy pacyficznych archipelagów. Status zagrożonego na oficjalnej liście UNESCO mają też tysiącletnie języki europejskie, współcześnie często zredukowane do dialektu, tak jak sycylijski, langwedocki, piemoncki czy andaluzyjski. Za sto lat wspomnieniem mogą być również języki dziś używane przez liczne mniejszości, a nawet całe narody europejskie. Mianem zagrożonego lub na granicy przetrwania Narody Zjednoczone określają irlandzki (używany w codziennej komunikacji przez zaledwie 44 tys. osób), walijski czy łotewski.

Poza Starym Kontynentem skala problemu jest znacznie szersza, przede wszystkim jeśli chodzi o liczby bezwzględne użytkowników ję-

zyków zagrożonych. Doskonałym przykładem jest ajmara, język rdzennych mieszkańców andyjskiej części Ameryki Południowej, używany przez ludność dzisiejszej Boliwii, Peru, Ekwadoru oraz mniejszych populacji w Chile i Paragwaju. Łącznie jako swój pierwszy język komunikacyjny deklaruje go – według oficjalnych danych – 2 mln osób, jednak w praktyce liczba ta może być kilka lub nawet kilkanaście razy większa. Mimo prób pomocy ze strony władz centralnych – prezydent Evo Morales nadał ajmara status języka urzędowego w Boliwii w 2006 r. – i wprowadzenia go do szkół publicznych wiele osób posługujących się tą mową wciąż nie deklaruje jej jako języka ojczystego lub dominującego. Obawa przed prześladowaniami ze strony służb mundurowych, tradycyjnie uznających Indian za uczestników międzynarodowego

narkobiznesu, oraz chęć hispanizacji, „wybielenia się” w oczach reszty społeczeństwa, powodują, że ajmara nie jest dla młodszych pokoleń atrakcyjną propozycją.

Dyskryminacja ze względu na pochodzenie pozostaje silna w wielu społeczeństwach regionu. Osoby mówiące słabiej po hiszpańsku nie mają szans na dobrze płatną pracę, porozumiewanie się w rdzennych językach jest też źle widziane wśród elit latynoamerykańskich. Z tego względu wyginięcie grozi językom używanym przez Indian Mapucze w Chile czy Guarani w Paragwaju.

Innym obszarem, na którym lingwistyczne bogactwo lada moment może stać się wspomnieniem, jest Australia. W tym przypadku odpowiedzialność w dużej mierze spoczywa na rządzących. Przez dekady australijskie władze ignorowały istnienie ludów aborygeńskich, odma-

wiając im wsparcia w zachowaniu rdzennej kultury i często gwałcąc ich prawa poprzez budowanie komercyjnych nieruchomości w miejscach kultu czy pochówku. Dopiero w ostatnich latach podejście do mniejszości etnicznych się zmieniło, jednak w warstwie lingwistycznej na naprawę zaniedbań i szkód jest stanowczo za późno. Na terenie Australii istnieje ponad 100 języków zagrożonych całkowitym wyginięciem w najbliższej przyszłości. Dla niektórych przejście do historii może się

Hokkaido, czy patwin, będący oryginalną mową Indian z północno-zachodniej Kalifornii.

Dla wszystkich tych populacji unicestwienie języka byłoby zabiciem ich tożsamości kulturowej. Większość z wyżej wymienionych kultur nie ma bowiem dziedzictwa pisanego. Nie wytworzyły one literatury, nie skodyfikowały języka na papierze. W rzadkich przypadkach dokonali tego misjonarze, antropolodzy lub lingwiści. Jednak często jedyna forma istnienia danego języka to

mentujących 350 języków, m.in. film z Alfredem Belayem i Marthą Hutter rozmawiającymi w języku Koczewarów. Choć obecne archiwum to zaledwie 5% wszystkich istniejących na świecie języków i mniej niż połowa dostępnych w samym Nowym Jorku, zebranie tak obszernego materiału zajęło ponad cztery lata. Udell i Andrade jako największe przeszkody w archiwizowaniu wymierających języków wskazują trudności ze znalezieniem użytkowników, ale również namówienie ich do uczestnictwa w nagraniu. W wywiadzie dla „National Geographic” Daniel Bögge Udell wspomina, że wielu starszych członków mniejszości etnicznych sprzeciwia się idei udokumentowania ich języka na twardych nośnikach. Wzdłuż nich istnienie języka ma sens tylko wtedy, gdy są na świecie osoby używające go jako podstawowego sposobu porozumiewania się. Archiwizację uznają za sztuczną, sprzeczną z ich kulturą i tradycją. Dlatego każde kolejne nagranie w kolekcji Udella i Andradego jest tak cenne. Ścigają się bowiem nie tylko z czasem, ale i z asymilacją kulturową oraz postępującymi różnicami pokoleniowymi.

Choć naukowcy mogą oczywiście mylić się w szacunkach, a tempo wymierania określane na 3 tys. języków w perspektywie stulecia może się okazać mocno przesadzone, tendencja do lingwistycznej uniformizacji ludzkości zdaje się nieodwracalna. Ogromny wkład w ten proces ma również rozwój internetu i idące z nim w parze ujednolicenie sposobów wyrażania się w sieci. W dodatku poprzez migrację i edukację dwu-

Za zagrożone lub na granicy przetrwania ONZ uważa języki irlandzki, walijski czy totewski.

Nagrywanie zanikających języków to jedyna metoda na ich ocalenie.



okazać kwestią kilku lat. Takim językiem jest mudburra, używany przez mieszkańców północno-zachodniej części kraju. Według przeprowadzonego przez australijskie władze federalne spisu w 2016 r. językiem tym porozumiewało się zaledwie 96 osób.

Analogiczne historie i przykłady można znaleźć niemal we wszystkich krajach rozwiniętych. Brak pomocy ze strony władz państwowych, połączony z typowymi dla wymierania języka zjawiskami, takimi jak depopulacja i asymilowanie się w dominujących kulturach, powoduje, że na granicy wymarcia są ajnu, rdzenny język mieszkańców japońskiej wyspy

Czasem dany język istnieje tylko w mowie i zniknie wraz ze śmiercią ostatniego użytkownika.

forma mówiona. Języki te znikną bezpowrotnie wraz ze śmiercią ostatniego ich użytkownika.

Zapobiec temu chcą Daniel Bögge Udell i Frederico Andrade, twórcy inicjatywy Wikitongues. Ich celem jest zarejestrowanie na twardych nośnikach i późniejsza archiwizacja możliwie największej liczby zagrożonych języków. Swoją misję zaczęli w Nowym Jorku, wybranym właśnie ze względu na lingwistyczne bogactwo. W tej chwili w ich kolekcji znajduje się prawie 400 nagrań doku-

języczną coraz częściej następuje mieszanie się języków dominujących. W samych Stanach Zjednoczonych prawie 30 mln osób na co dzień porozumiewa się w spanglish, czyli mieszance hiszpańskiego i angielskiego. Łatwo sobie zatem wyobrazić, że spośród kilku tysięcy kompletnie różnych języków w przyszłości pozostanie parę hybrydowych form komunikacji. Być może przemycenie elementów swojej mowy do silniejszych języków to jedyny sposób, by przetrwała ona próbę czasu. ■

Aleksander Janusz

NARODOWOŚĆ NA SPRZEDAŻ

W cenie są paszporty dużych państw,
dające możliwość bezwizowego podróżowania
po wszystkich kontynentach

Procedura odbywa się w białych rękawiczkach, jest błyskawiczna i dostosowana do potrzeb klienta. Wystarczy wejść na stronę jednej z setek reklamujących się w internecie firm oferujących usługi tzw. zwiększonej mobilności. Tak właśnie określa się w sieci handel paszportami i innymi dokumentami tożsamości. Formularz aplikacyjny i wycena transakcji z reguły poprzedzone są informacją na temat problemów współczesnego świata, a także zagrożeń płynących z niestabilności ekonomicznej i politycznej. Lepiej więc znaleźć się po właściwej stronie konfliktu, z właściwym dokumentem w ręku – to nieformalne motto sektora.

Zgodnie z reklamą paszporty są dopasowane do wszystkich możliwych potrzeb, problemów i wymagań klientów z całego świata. Oprócz dokumentów wydawanych przez kraje egzotyczne i odległe wyspiarskie państewka, takie jak Dominika, Vanuatu czy Fidżi, w ofercie znajdują się paszporty państw znacznie większych, dające jednocześnie więcej

Aby złożyć zamówienie, należy najpierw skontaktować się z usługodawcą, najczęściej mejlowo, choć kilka stron oferuje już kontakt przez facebookowego Messengera czy aplikację WhatsApp. Po przesłaniu zdjęcia, podaniu danych osobowych i uiszczeniu opłaty paszport ma dotrzeć do klienta w ciągu zaledwie kilku dni roboczych. Co najważniejsze, wszystko odbywa się bez kontaktu fizycznego. Paszport można kupić, nie wychodząc z domu, no i nie spotykając się z nikim, z kim spotkania można będzie później żałować.

Rzecz jasna, trudno się spodziewać, by skuteczność reklamujących

na wspomnianych platformach, ale mamy pewność, że nie łamiemy prawa. Nie zmienia się tylko jedna rzecz – nadal nie trzeba wychodzić z domu.

Według danych Światowego Forum Ekonomicznego w Davos na świecie już ponad 30 krajów oferuje płatne obywatelstwo lub po prostu nabycie paszportu za odpowiednią cenę, a drugie tyle udostępnia różnego rodzaju formy legalnej rezydencji na swoim terenie. Oficjalnie nie są to oczywiście transakcje kupna-sprzedaży, tylko inwestycje, w dodatku bardzo sprecyzowane i obejmujące konkretne sektory gospodarki. Efekt jest jednak ten sam – zdobywamy nowy paszport, często bez obowiązku postawienia stopy na terytorium kraju, który ten dokument wydaje.

Pionierami tego rozwiązania były wyspiarskie kraje Morza Karaibskiego i Oceanii, które w ten sposób chciały zatrzymać komercyjny skup nieruchomości na ich dość ograniczonym terytorium przez największe sieci hotelowe i biura podróży. Zamiast sprzedawać kolejne kawałki plaży światowym korporacjom, tamtejsze władze już ponad dwie dekady temu zaczęły namawiać inwestorów indywidualnych na włożenie pieniędzy w lokalną gospodarkę, w zamian oferując paszporty, obywatelstwa i rezydentury. Takie rozwiązanie od zawsze było korzystne dla obu stron. Państwo oferujące dokument zyskiwało bezpośredni zastrzyk gotówki i trochę medialnego rozgłosu, a osoba kupująca narodowość – przywileje, takie jak brak podatków czy wolność od eksteradycji do większości krajów na świecie.

Pierwszym krajem oferującym przyjezdnym taką transakcję było Saint Kitts i Nevis, mała republika na Karaibach, która w 1984 r. uzyskała niepodległość od Wielkiej

Paszport można kupić bez wychodzenia z domu.

Saint Kitts i Nevis zachęca do zainwestowania w obywatelstwo.



możliwości bezwizowego podróżowania po wszystkich kontynentach. Za odpowiednio większe pieniądze w internecie można kupić paszporty Wielkiej Brytanii, Kanady, Nowej Zelandii, Republiki Południowej Afryki. Z rzadka trafia się też oferta paszportu amerykańskiego, choć w przypadku USA najczęściej handluje się znacznie łatwiejszymi do zdobycia lub podrobienia zielonymi kartami. Według krążących po sieci cenników najtańsze paszporty, najczęściej z godłem republik karaibskich lub archipelagów Oceanii, kosztują ok. 2,5-3 tys. dol. Im bardziej prestiżowy paszport, tym cena oczywiście wyższa.

się w internecie handlarzy paszportów, zielonych kart czy praw jazdy była stuprocentowa, a zwłaszcza tego, by proceder był legalny, przynajmniej w przypadku największych państw w ofercie tych firm. Niemniej jednak paszporty krajów o mniejszej populacji, słabszej roli na arenie międzynarodowej i zmagających się z ujemnym saldem migracyjnym czy zadłużeniem publicznym, są jak najbardziej dostępne dla każdego, i to zgodnie z prawem. Ich zakup odbywa się nie na podejrzanych stronach internetowych czy komunikatorach, ale na oficjalnych witrynach rządowych. Koszty są kilkadziesiąt razy wyższe niż



Najtańsze paszporty republik karaibskich lub państw Oceanii kosztują 2,5-3 tys. dol.

Brytanii. Z początku mechanizm ten nie cieszył się popularnością, ale z czasem i dzięki rosnącej promocji, zwłaszcza na rynkach europejskich, połączonej z zabiegami tamtejszych dyplomatów, rozrósł się znacząco. Od 2009 r. posiadacze paszportu Saint Kitts i Nevis cieszą się przywilejem bezwizowego podróżowania po wszystkich krajach strefy Schengen. Obecnie, jak podaje dziennik „Guardian”, cena wydanego przez tamtejsze władze dokumentu wynosi 150 tys. dol. To niewiele w porównaniu z kilkakrotnie większymi kwotami za paszporty brazylijskie czy europejskie lub z ekwiwalentem miliona tamtejszych dolarów w inwestycjach za dokument kanadyjski. W dodatku rząd Saint Kitts i Nevis oczekuje tych pieniędzy w formie „dotacji na rzecz budżetu”, a nie konkretnych inwestycji. Bank Światowy szacuje, że wpływy ze sprzedaży paszportów i rezydencji stanowią już 12% wynoszącego 946 mln dol. PKB kraju. Nieco taniej, za równowartość 100 tys. dol. amerykańskich, kupimy paszporty takich krajów, jak Saint Lucia, Antigua i Barbuda, Grenada czy Dominika.

Znacznie tańsze jest prawo do legalnego pobytu. Mniej się przydaje, jeśli klient chce sobie ułatwić podróżowanie po świecie, ale często bywa niezbędne w prowadzeniu interesów. 65 tys. euro ulokowane w udziałach w krajowych firmach zapłacimy za re-

zydencję na Łotwie. Taka sama transakcja za jedyne 23 tys. dol. da nam rezydencję w Kolumbii. Poniżej pół miliona zapłacimy też za prawo do legalnego zamieszkania i bezterminowego pobytu w Brazylii, Panamie, Grecji, na Węgrzech czy w Belgii.

Nie wszędzie inwestycje te dotyczą jedynie krajowych firm, zakupu nieruchomości czy bliżej nieokreślonych „dotacji” do budżetu. Coraz więcej państw wykorzystuje pieniądze ze sprzedaży paszportów i rezydencji do polepszenia finansów swoich agencji rozwojowych albo instytucji odpowiedzialnych za ochro-

Oferowane paszporty są dopasowane do wszystkich potrzeb, problemów i wymagań klientów z całego świata.

nę środowiska. Dotyczy to zwłaszcza archipelagów Oceanu Spokojnego i Indyjskiego, które być może najmocniej odczuwają już teraz skutki globalnego ocieplenia. Vanuatu wymaga wpłat na dwa kontrolowane przez państwo fundusze związane z rozwojem edukacji oraz budową infrastruktury niwelującej skutki powodzi i trzęsień ziemi. Podobne procedury istnieją na Malediwach i Mauritiusie. To ostatnie państwo wymaga w dodatku, by osoba ubiegająca się o tamtejszy paszport miała – po odjęciu kosztów transakcji – na koncie jeszcze co najmniej 250 tys. dol. W ten sposób państwa chcą sobie

zapewnić przynajmniej szansę na dalsze inwestycje ze strony nowych rezydentów i obywateli.

Krytycy mechanizmów nabywania obywatelstwa w zamian za inwestycje, znanych w świecie anglosaskim jako CBI (*Citizenship by Investment*), nieustannie podkreślają, że to nic innego jak opcja ochrony prawnej dla przestępców finansowych i kryminalistów z całego świata. Mimo to do grona państw oferujących różne wariacje programów CBI dołączają coraz bardziej prestiżowe państwa. W samej Unii Europejskiej tego typu programy istnieją w Grecji, na Cyprze, Malcie i Łotwie, w Hiszpanii, Portugalii, Bułgarii, Belgii, Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Zainwestowanie od 500 tys. do 1 mln dol. w projekt deweloperski, który da pracę przynajmniej 10 osobom, zagwarantuje wydanie w ciągu dwóch lat amerykańskiej zielonej karty, na którą w przeciwnym razie nawet najbogatszy inwestor może czekać kilkanaście lat. Choć brakuje dokładnych danych na temat międzynarodowej skali tego zjawiska, autorzy raportu CBI Index, wspomaganego przez „Financial Times” studium rynku obywatelstw przyznawanych za inwestycje, twierdzą, że sektor ten rośnie o 12% rok do roku. Z kolei według danych Komisji Europejskiej tylko w latach 2008-2018 bezpośrednie wpływy z mechanizmów CBI w Europie wyniosły ponad 9,2 mld euro. Na Starym Kontynencie liderem jest Portugalia, która swój program nazywa „złotymi wizami” i celuje przede

wszystkim w inwestorów z Chin. Już teraz wydano ponad 100 tys. złotych wiz, a liczba ta może się zwiększyć, bo Lizbona planuje rozpocząć przyjmowanie płatności w kryptowalutach.

A wszystko to dzieje się w momencie, gdy Europa, Bliski Wschód i obie Ameryki zmagają się z największymi w swoich dziejach kryzysami migracyjnymi. Miliony ludzi na całym świecie starają się o dokument, który uchroniłby ich przed głodem i prześladowaniami. Być może dzisiaj właśnie paszport najlepiej odzwierciedla nierówności ekonomiczne i dysproporcje współczesnego świata. ■

Katarzyna Wierzbicka

Jeden przekonuje: „Nie wierz tym, którzy wmawiają ci, że czegoś nie możesz mieć, że coś jest niemożliwe. Osiągniesz gigantyczne rezultaty. Do zobaczenia na szczycie!“. Drugi jest bardziej dosadny. „Co jest z tobą nie tak? Kto ci ukradł marzenia – pyta, stojąc na tle schematu obrazującego realizację celów i osiąganie sukcesu. – Bez samorozwoju jesteś w d... Obudź się i zacznij żyć!“. „Nie oddawaj odpowiedzialności za swoje życie w czyjeś ręce!!!“, apeluje na swojej stronie inny trener motywacyjny, doradczający, jak znaleźć wymarzonego partnera w 14 krokach. „Nie daj sobie wmówić, że coś nie zależy od ciebie. Podejmij wyzwanie!“.

Ich filmiki na YouTube mają od kilku do kilkudziesięciu tysięcy wyświetleń. Przedmiot motywacji może być dowolny: odchudzanie, kariera, rozkręcanie biznesu, znalezienie partnera, związek, uczenie się języków obcych, a nawet walka z rakiem czy niepłodnością. Ci popularniejsi wydają się znać na wszystkim, odpowiadają na pytania i o to, jak rzucić palenie, i o to, jak zarabiać więcej pieniędzy.

Jeśli wierzyć internetowi, właśnie na początku roku trenerzy motywacyjni i spece od rozwoju osobistego najwięcej zarabiają na noworocznych postanowieniach rodaków.

ZAWÓD COACH

– Nie ma danych o tym, ilu trenerów osobistych działa na polskim rynku – twierdzi psycholog i medjoznawca dr Grzegorz Ptaszek z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. – Nieoficjalne dane z 2014 r. mówiły o ok. 5 tys. Teraz może ich być dwa razy tyle.

Inną sprawą jest to, jak właściwie zdefiniować tę profesję, w Polsce coraz popularniejszą. Teoretycznie coachem, trenerem rozwoju osobistego, jest osoba, która ukończyła trwający od kilku miesięcy do roku kurs coachingu. Jednak ustawy o tym zawodzie nie ma – nie ma zatem wymogów prawnych, które należy spełniać, chcąc go uprawiać. Do tego należy doliczyć podających się za trenerów osobistych internetowych doradców z YouTube’a i blogów.

Nie ma wymogów prawnych, które musieliby spełniać trenerzy osobiści.

zostać coachem sportowym, coachem zdrowia lub coachem relacji. (...) Aby uzyskać potrzebne Ci kwalifikacje, dyplomy, certyfikaty, możesz udać się do jednej z organizacji działających na polskim rynku lub do szkoły podyplomowej“.

Ceny kursu na coacha wahają się od 3 do 18 tys. zł rocznie. Te koszty jednak nie dziwią, jeśli wziąć pod uwagę rosnące zapotrzebowanie na usługi trenerów personalnych, a także ich zarobki. Większość reklamujących się w sieci coachów nie podaje ceny konsultacji, tłumacząc to „indywidu-

alnym wyliczeniem“. Według strony Wynagrodzenia.pl mediana zarobków, obliczona na podstawie 14-osobowej próby, wynosi 5,3 tys. zł brutto.

Zdaniem dr. Grzegorza Ptaszka rosnąca popularność usług służących samodoskonaleniu jest związana z rozwojem kapitalizmu. – Kiedyś to religia służyła celom związanym z uduchowieniem i rozwojem człowieka. Pod koniec XX w. te funkcje przejęła terapia, nastawiona na rozwój i poszerzanie własnych granic. Wreszcie, w miarę rozwoju kapitalizmu i indywidualizmu, pojawiły się ruchy nastawione na zarządzanie sobą i samokontrolę: rozwój osobisty, trening personalny i poradnictwo – wyjaśnia badacz.

Podejście kapitalistyczne, czy wręcz korporacyjne, wybrzmiewa w używanym przez trenerów osobistych żargonie. „Zorientuj się na cele“, „wszystko zależy tylko od ciebie“, „podejmij wyzwanie“ – to najczęściej powtarzane przez nich slogany. Inne słowa klucze? Sukces, wyniki, efektywność, pozytywne myślenie, potencjał, zarządzanie i projekt. W słowniku coachów internetowych ewentualne ograniczenia i problemy – będące



OBSESJA SAMODOSKONALENIA

Okres noworocznych postanowień to czas wzmożonej aktywności speców od rozwoju osobistego

zresztą jedynie „projekcją negatywnego myślenia” – to „wyzwania”. Natomiast ci, którzy sceptycznie podchodzą do takiej wizji świata, to „narzekacze”. Wyznacznikiem sensowności jest tu produktywność – czas wykorzystany bez wymiernych efektów to czas stracony.

ŻYCIE JAKO PROJEKT

W tym kontekście nie dziwi, że właśnie okres sylwestrowo-noworoczny jest, obok wakacji, czasem największej obfitości ofert wszelkiego rodzaju warsztatów i kursów rozwoju osobistego. „Warsztat wolności emocjonalnej”, „Odkryj swój potencjał”, „Jak znaleźć swój życiowy program”, „Znajdź partnerkę w 2019 roku” czy „Warsztat sylwestrowo-rozwojowy” to tylko niektóre przykłady.

„Warsztaty »Przyciągnij Miłość« to jedyna prosta, kompletna i skuteczna metoda budowania relacji międzyludzkich – czytamy w opisie jednego z kursów. – Ma ona autentyczny wpływ na rozwój relacji, związków, obszarów zawodowych i biznesowych oraz rozwoju osobistego”.

„W trakcie warsztatu nauczysz się podstaw metody IFS w kontekście autoterapii i pracy nad sobą (...). Nie tylko poznasz koncepcję subosobowości i zrozumiesz sposób działania IFS, ale przede wszystkim zajrzysz w swój własny świat wewnętrzny i nawiążesz kontakt z najważniejszymi częściami siebie”, reklamuje swoje usługi inny coach. O co w tym potoku słów chodzi, można będzie ewentualnie zrozumieć po dwudniowych warsztatach wycenianych na 687 zł od osoby.

Zachęcające do zmiany anonsy świetnie współgrają z postanowieniami noworocznymi. Choć na pierwszym miejscu wśród stawianych sobie pod koniec grudnia celów są utrata wagi i uprawianie sportu, nie brakuje deklaracji mniej oczywistych. „1. Znaleźć pracę za chociaż te 1500 zł/mies. 2. Znaleźć chłopaka. 3. Nauczyć się gotować. 4. Myśleć pozytywnie”, wylicza użytkowniczka forum Kafeteria.pl. „Ja bym chciała zdrowiej się odżywiać, więcej czasu poświęcać rodzinie i zapisać się na jakiś kurs”, deklaruje inna. Portale społecznościowe pod koniec roku zaczynają się wypełniać wydarzeniami

o nazwach „W 2019 zrezygnuję z glutenu”, „W 2019 roku nauczę się języka obcego” czy „W 2019 zacznę biegać”.

Grzegorz Ptaszek: – Od jakiegoś czasu sam regularnie uprawiam sport. Największe tłumy w klubie są w styczniu. Potem klub powoli się wyludnia. I tak co roku.

Noworoczne postanowienia zmiany i filmiki motywujące z internetu łączą wiara w moc planowania. „Według ideologii rozwoju osobistego to my jesteśmy w 100% odpowiedzialni za nasze życie, a ono samo da się w całości zaplanować i konsekwentnie przeprowadzić. Każdy, kto zetknął

Ceny kursu na coacha wahają się od 3 do 18 tys. zł rocznie.

się z ekspertami od samodoskonalenia, usłyszał o badaniach dowodzących, że sukcesy w życiu osiągają osoby, które mają wszystko zaplanowane”, mówił rok temu w radiu TOK FM Marcin Ilski, były coach i autor strony Smutni Trenerzy Rozwoju Osobistego. I rzeczywiście, gdyby wiedzę o świecie czerpać z filmów i blogów o rozwoju osobistym, można by odnieść wrażenie, że życiem rządzi

logika korporacji: życiowe przedsięwzięcia traktowane są tu w kategorii „projektów” mających „jasno określone cele”, które zrealizować można dzięki przemyślanemu „planowi” i odpowiedniemu „zarządzaniu sobą”. Włożone w dowolne przedsięwzięcie wysiłki i czas rozpatrywane są w kategoriach „inwestycji”, która ma się zwrócić, najlepiej z nawiązką.

UŁUDA WSZECHMOCY

Utopia wpływu na wszystko jest antidotum na niepokoje egzystencjalne i niepewność ekonomiczną. Zdaniem dr. Ptaszka właśnie niepewność i wynikająca z niej potrzeba kontroli zachęcają ludzi do podejmowania kolejnych „wyzwań” i korzystania z usług specjalistów od „zarządzania sobą”.

– Układanie kolejnych programów samodoskonalenia daje poczucie kontroli. A ta potrzeba jest szczególnie silna w czasach, kiedy nic nie jest pewne, bo kontrolując siebie, teoretycznie kontrolujemy swoje życie – zwraca uwagę badacz. – Poza tym jedną z nadrzędnych wartości kapitalizmu jest elastyczność: kiedyś powodem do dumy było przepra-

18 grudnia 2018 r. zmarł nagle w wieku 96 lat

ŚP.

gen. dyw. Wacław Jagas
herbu Dębno

Suwałczanin, sybirak, żołnierz frontowy, uczestnik bitwy pod Lenino, walk nad Nysą Łużycką, pod Budziszynem, nad Łabą, operacji praskiej. Oficer liniowy, pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji dowódczo-sztabowych. Działacz sportowy i społeczny, były przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa.

Wspaniały Mąż. Kochany Ojciec, Teść i Dziadek. Żegnamy Cię, Tato, nasz Przyjacielu, Człowieku o najszlachetniejszym sercu. Chlubno naszej rodziny! Dziękujemy, że z nami byłeś... Spoczywaj w pokoju.

Msza św. pogrzebowa odbędzie się 7 stycznia 2019 r. o godz. 11.00 w Katedrze Polowej Wojska Polskiego przy ul. Długiej w Warszawie. Pogrzeb na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach o godz. 13.00, kwatera F-II.

O czym zawiadamiają pogrążeni w smutku
żona, córka, syn z synową i rodziną

* * *

Redaktor Barbarze Jagas

składamy serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

OJCA

zespół „Przeglądu”

► cowanie 30 lat w tej samej firmie. Dziś miarą sukcesu jest zdolność do przebranżowienia. Nie wystarczy już bycie specjalistą w jednej dziedzinie czy gruntowna znajomość języka obcego. Im więcej, tym lepiej.

O ile poczucie wpływu na swoje życie wydaje się przekonaniem realistycznym, o tyle jedynie krok dzieli snutą przez coachów wizję absolutnej odpowiedzialności od poczucia

boru. Poza tym kolejne cele często są protezą rzeczywistego działania.

Trudno nie odnieść wrażenia, że wychwalany przez ekspertów od samodoskonalenia „rozwój osobisty” zaspokaja głównie potrzeby narcystyczne. Nawet jeśli w wygłaszanych przez coachów przemówieniach motywacyjnych pojawia się drugi człowiek, to w kontekście zrobienia na nim wrażenia, uwiedzenia go czy ograniczeń, jakich jest źródłem.

Trenerzy osobiści stawiają na „ja”. „Jesteś wyjątkowy, nie zmarnuj tego!”, „Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą!”.

winy i frustracji, jeśli zamierzony w „projekcie” cel nie zostanie osiągnięty. Wedle tej logiki ci, którym nie wyszło, sami są sobie winni.

Grzegorz Ptasek zwraca uwagę na jeszcze jedną pułapkę: – Narzucanie sobie kolejnych celów i strategii dotarcia do nich to odpowiedź na bardzo powszechną dziś fantazję o uzyskiwaniu spektakularnych efektów w bardzo krótkim czasie. W wypowiedziach coachów nie ma mowy o poświęceniu czy konieczności wy-

Brakuje porad, jak być lepszym rodzicem, więcej czasu spędzać z dzieckiem albo być skutecznym wolontariuszem. Zamiast tego trenerzy osobiści stawiają na „ja”. „Jesteś wyjątkowy, nie zmarnuj tego!”, krzyczy jeden z coachów kariery. „Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą!”, zachęca drugi.

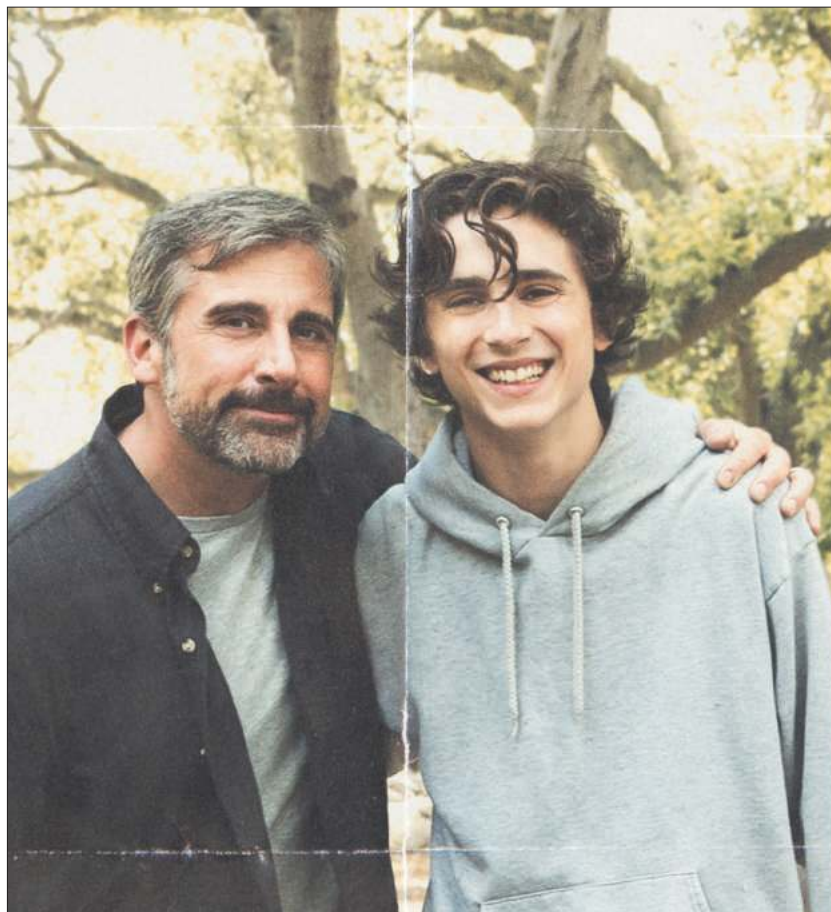
Pół biedy, jeśli promowane przez coachów metody i wartości rzeczywiście pomogą komuś w realizacji noworocznych zamierzeń. Gorzej, jeśli rezygnacja z realizmu i dystansu

do siebie wcale nie jest tak skuteczna, jak się ją przedstawia.

Marcin Ilski: – Słynny w niektórych kręgach trener Brian Tracy opowiadał o eksperymencie dotyczącym planowania. Miał on wyglądać następująco: w 1953 r. zapytano kończących Yale studentów, czy mają zaplanowaną resztę życia. Okazało się, że tylko 3% udzieliło odpowiedzi twierdzącej. Po 20 latach przeprowadzone zostało kolejne badanie na tej samej grupie. Wyszło w nim, że dokładnie te 3% absolwentów Yale osiągnęło większe sukcesy i zarobiło znacznie więcej pieniędzy niż pozostałe 97%. Brian Tracy mówił, że usłyszał tę historię od Anthony’ego Robbinsa, Anthony Robbins – że od Ziga Ziglara, a Zig Zigar powiedział, że zna tę historię od... Tracy’ego. Na Uniwersytecie Yale nikt nie słyszał o badaniach, o których opowiadał Tracy.

– Całe życie możemy marzyć o tym, że będziemy „najlepsi” – dodaje Ilski. – Ale pierwsze miejsce zarezerwowane jest dla jednej osoby. „Najlepszy” jest tylko jeden.

Katarzyna Wierzbicka



ZŁOTY GLOB
NOMINACJA

TIMOTHÉE CHALAMET

„Wielki film o losach rodziny
i bezwarunkowej miłości”

IndieWire.

Mój piękny syn

w kinach 4 stycznia

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Około miesiąca temu „Szkło kontaktowe” TVN 24 obchodziło Dzień Buraka. Z tej okazji zapytało panią profesor X, która „o języku wie wszystko”, dlaczego nieszczęsny *beta vulgaris* uprawiany u nas od XVI w. (ale wzmiankowany już w rachunkach dworu Władysława Jagiełły) ma tak niepochlebne konotacje. Pani profesor X wytłumaczyła, że burak jest czerwony, okrągły, pochodzi ze wsi, a więc... Dziwnie nie przyszło jej do głowy, że z pomidorem podobnie, nie mówiąc już o wesołych jabłuszkach z wiejskich sadów, które jednak kojarzą się raczej z dziewczęcymi piersiątkami, czyli tym akurat (niech mi feministki darują), co z widoków najśliczniejsze, a w dotyku rozkoszne.

Tymczasem nie na próżno przyzwaliśmy króla Władysława Jagiełłę. Burak przyszedł do nas z Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie już w końcu XVI w. barszcz z naci boćwinowej albo i samych buraków stał się ulubioną potrawą wszystkich stanów. Dla koroniarzy burak był przede wszystkim strawą ubogich, toteż wyzywali pogardliwie

Wydawać by się mogło, że w Rzeczypospolitej to najprostsze, dość łatwe do zapamiętania zdanko „Nie wiem” po prostu nie istnieje albo złośliwie nie chce przechodzić przez zęby. Kto „nie wie”, jest albo burakiem właśnie, albo się uchyla od odpowiedzi, zataja, usiłuje nas przechytrzyć, czyli knuje. Prawdziwy Polak to wie i jakiegokolwiek fakty tylko go w jego wiedzeniu utwierdzają. Przeglądałam się z rozrzewnieniem rodakom przyjeżdżającym do Paryża (najlepszymi królikami doświadczalnymi są przyjeżdżający po raz pierwszy). Dzielą się oni w największym uproszczeniu na trzy kategorie: takich, którzy wiedzą, że metropolia nad Sekwaną jest stolicą świata, centrum europejskiej kultury, wzorem i natchnieniem; takich, co – wręcz odwrotnie – wiedzą, że jest to miasto zepsucia i porubstwa, siedziba grzechu i chorób wenerycznych, pyszałkowatych bezbożników, miasto, w którym niczego dobrego ani ciekawego nie masz; wreszcie zblazowanych, wiedzących, że Paryż czy Kutno – wszędzie jest koniec końców to samo, nuda i statystyczna

BURAK

Litwinów od boćwiniarzy, boćwin, boćwinków, co miało stygmatyzować niżej cywilizowanego, prostaka. Kiedy więc pan Charłamp w „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza grozi Wołodyjowskiemu, że go jeszcze znajdzie, spotyka się z odpowiedzią: „Znajdziesz, znajdziesz, boćwino”. W „Beniowskim” kpi z Litwinów Słowacki: „O boćwino! Hipokreno litewska!”. (Pani profesor wyjaśniam, że Hippokrene to źródło natchnienia poetyckiego w gaju muz na Helikonie). I to w języku pozostało, chociaż zatraciły się związki buraka z litewskością. Natomiast określenie „literatura buraczana”, oznaczające powieści produkcyjne z okresu stalinowskiego, jest już echem odległym i pochodzi bezpośrednio od tytułu książki Marii Jarochońskiej „Buraczane liście”. W niemieckim z kolei *Freche Rübe* to arogant, zuchwalec, we francuskim *nez de betterave* (buraczany nos) to pijak, co w Polsce nie jest jednak epitetem szczególnie obraźliwym.

Tego wszystkiego pani profesor X, chociaż „o języku wie wszystko”, nie jest akurat świadoma. I wolno jej. Burak nie jest w końcu pępkiem nauk o historii języka. Powstaje jednak pytanie, dlaczego nagabywana nie odpowiedziała po prostu „Nie wiem”, snując w zamian skojarzeniowe – i co tu mówić dosyć siermiężne – interpretacje. Rozumiemy oczywiście, że profesorowi, który nie wie czegoś ze swojej dziedziny, wydaje się, że przyznając się do tego publicznie, szarpie swój autorytet i poniża się w oczach uczniów. To dlatego nasze szkolnictwo wygląda, jak wygląda. Wykłady *ex cathedra* do zanotowania bez zbędnych dyskusji, a tym bardziej niezdrowych wątpliwości. Ale to przecież tylko wyrywek o wiele szerszego i istotniejszego problemu.

przeciętność. Jedni, drudzy i trzeci zobaczyli, co mieli zobaczyć, upewnili się w swoim wiedzeniu, do którego mogą teraz jeszcze dodać: byłem, widziałem i niech mi kitu nie wiskają. Ale Paryż to Paryż, Francuzi daleko. Jacy są Niemcy, Czesi, Francuzi, Żydzi, to już każdy Polak wie. W przypadku Rosjan „wie” nawet usiłujące na ogół z powodzeniem zbliżyć się do obiektywizmu „Szkło kontaktowe”. To wszystko jednak sprawy zagraniczne. Dopiero gdy chodzi o swój kraj, rodaków i siebie samego, Polak wie wszystko. Najlepszym przykładem jest tu nasz premier Morawiecki. „Polska – powiada – ma najpiękniejszą historię w Europie”. Na zdrowy rozum zupełnie nie wiadomo, co to znaczy, ale pierwszy minister wie nie tylko, co to znaczy, ale i że tak jest. Wie też nieomylnie, że Polski w latach 60. XX w. nie było. Wcale mu się nie pomyliło z okresem rozbiorów, bo wie, że między 1795 r. a 1918 r. działo się w Polsce wiele pięknych rzeczy, a w ogóle Polska zawsze była w Europie, czyli również wtedy, kiedy Rzymianie tłukli się z Hannibalem albo Chlodwig we Francji przyjmował chrzest. Wszystkim już się pomieszało w głowach, ale nie premierowi, który wie. On nie musi się uczyć. Gdyby było to po polsku, powiedziałbym, że on historię i literaturę zna, podobnie z polityką, finansami czy prawem. O prezesie Kaczyńskim nie wspomnę, bo bogowie są wszechwiedzący, więc wątpliwości w jego względzie byłoby karalnym bluźnierstwem.

No proszę, a zaczęto się od zwykłego buraka. Ale może i dobrze. W nowym roku życzę wszystkim, żeby im nawet duby smalone o burakach pleciono, ale żeby one same nie miały pojęcia, jak współobywateli uszczęśliwiać i świat poprawiać. Nie ma bowiem nic gorszego niż burak, który wie.

EKSPORTOWE OBLUBIENICE

Turczynki, które przyjechały do Polski po wyjściu za mąż, czują się jak w więzieniu

Ebru Orhan

Elif ma 23 lata. Jest matką dwóch chłopców, trzyletniego i rocznego. Wyszła za mąż za syna kuzyna swojej matki. 21-letnia Meltem też mieszka w Raszynie. Ma dziewięciomiesięczną córkę. Z wykształcenia jest nauczycielką Koranu. Mieszkanką Raszyna jest również Fatoş – matka dwojga dzieci. Natomiast 28-letnia Neslihan mieszka w Ursusie. Ma roczną córkę. Jest Hafiz, czyli zna Koran na pamięć. Wszystkie cztery są Turczynkami, „eksportowymi oblubienicami”. Znalazły się w Polsce w wyniku małżeństwa *görücü usulü*. Ich przyszli mężowie, będąc w Polsce, zawiadomili swoich rodziców, że chcą się ożenić, a oni znaleźli synom w Turcji wymarzone (zazwyczaj przez siebie) żony. Kiedy rodzice kandydatek wyrazili zgodę na małżeństwo córek, nastąpiło danie słowa, potem zaręczyny, ślub, wesele i tak kobiety znalazły się w Polsce.

Mężowie Elif, Fatoş, Meltem i Neslihan mieszkają w Polsce od wielu lat. Zajmują się handlem odzieżą, pracują w gastronomii albo w sektorze budowlanym. Do naszego kraju najczęściej przyjeżdżają młodzi samotni Turcy i zazwyczaj jest to przyjazd za chlebem. Większość pracuje w rodzinnych firmach albo u krewnych. Kiedy ich status materialny się stabilizuje, decydują się założyć rodzinę. Niewielu żeni się z Polkami. Przeszkadzają im różnice kulturowe czy religijne. Albo przekonania ich rodziców. Niektórzy na jakiś czas wiążą się z Polkami, ale potem żenią z Turczynkami. Dla ich żon zaczyna się życie w europejskim więzieniu.

NA SZCZĘŚCIE URODZIŁAM SYNA

– Po przyjeździe do Polski przez pierwsze kilkanaście tygodni codziennie płakałam. Byłam w czwartym miesiącu ciąży. Mieszkaliśmy wtedy w Ursusie, mąż o godz. 4.30 rano

wychodził do pracy, wracał dopiero o 17. Bywało, że nawet kilka razy w tygodniu po pracy jeździł z kolegami grać w piłkę, a po powrocie do domu szybko brał prysznic i szedł spać, bo następnego dnia wstawał o godz. 4. Całymi dniami byłam sama w domu. Nie znałam tu nikogo. Na naszym osiedlu nie było żadnej tureckiej rodziny, z którą można było się zaprzyjaźnić. Codziennie dzwoniłam do Turcji i godzinami rozmawiałam z mamą, której też się żaliłam. Kiedy nie rzycałam, sprzątałam mieszkanie. Każde pomieszczenie, każdy sprzęt, mimo że zrobiłam to poprzedniego dnia – tak swój pierwszy okres w Polsce wspomina Fatoş. Mówi, że w pewnym sensie ratunkiem stały się dla niej narodziny syna. W końcu miała zajęcie. Kiedy przeprowadzili się do Raszyna, poczuła się jeszcze lepiej, bo poznała kilka tureckich rodzin.

Niektórzy Turcy na jakiś czas wiążą się z Polkami, ale potem żenią z rodaczkami.

Elif, która wyszła za mąż w wieku 19 lat, pierwszy szok przeżyła, widząc polskie mieszkanie. – Przed ślubem mąż w Stambule kupił mieszkanie w okolicy, gdzie mieszka jego rodzina. Urządziliśmy je według naszego gustu, wszystkie meble i dekoracje były jak z moich snów. Ale mieszkaliśmy tam tylko miesiąc. Potem przyjechałam do Polski. Kiedy zobaczyłam mieszkanie w Raszynie, cała zaczęłam się trząść. Było stare, małe, zaniedbane, urządzone byle jak. Mąż wynajmował je, jeszcze kiedy był kawalerem.

Elif także całymi dniami była sama w domu, jednak miała więcej szczęścia niż Fatoş – mąż codziennie po pracy zabierał ją do Warszawy. – Byliśmy w zoo, w Pałacu Kultury, na Starówce, na Nowym Świecie, chodziliśmy do tureckich restauracji. Na początku bardzo mi się to podobało, jednak z czasem zaczęło mi się nudzić. Zresztą kiedy przyjechałam do Polski, byłam w drugim miesiącu ciąży. Zmiana kraju, kultury, zmiana

w moim organizmie. Wszystko naraz. No i nie znałam nikogo, z kim mogłabym przynajmniej zamienić kilka słów. Polskiego też nie znałam. Całymi dniami oglądałam tureckie kanały lub sprzątałam. Wreszcie się zbuntowałam, zaczęły się napady płaczu. Płakałam, starałam się namówić męża, abyśmy wrócili do Stambułu – mówi Elif. Mąż pozwolił jej pojechać na miesiąc do Stambułu. Trochę się uspokoiła.

Niektóre Turczynki, nawet jeśli mają równie wyrozumiałych mężów, nie mogą sobie pozwolić na wyjazd do ojczyzny, bo polska wiza została im wystawiona na trzy miesiące. Po tym czasie składają wniosek o kartę pobytu. Problem polega na tym, że czekanie na nią trwa nawet półtora roku. Neslihan jest jedną z tych uwięzionych w Polsce. – W grudniu 2016 r. przyjechałam tu ze Stambułu.

Pierwsze dni minęły mi na domowych porządkach i czekaniu na męża. Nie mogłam wychodzić z domu, bo nie znałam języka ani miasta. W Stambule, gdzie żyje ok. 18 mln ludzi, jeździłam wszędzie, a tu byłam skazana na męża. Wkrótce po przyjeździe do Polski zaszłam w ciążę. Były to dla mnie bardzo ciężkie dni. Strasznie tęskniłam za mamą, bliskimi, ale nie mogłam ich odwiedzić, bo czekałam na kartę pobytu. Oni też nie mogli tu przyjechać, bo wiza kosztuje i wymaga dużo formalności. Po półtora roku od złożenia wniosku dostałam kartę pobytu, jednak okazało się, że był na niej błąd, więc trzeba ją wymienić i teraz czekam na nową. Potem z roczną córeczką pojedziemy do Stambułu.

KASJERKA RZUCA W NAS ZAKUPAMI

Elif, Fatoş, Meltem i Neslihan noszą hidżaby. A to rzuca się w oczy. Każdy akt terroru islamistów odbija się również na nich. – Pewnego dnia byliśmy z mężem w Ikei, jakiś kilkuletni chłopczyk zobaczył mnie



i pokazał palcem mamie. Z tego, co mu powiedziała, zrozumiałam jedno słowo: terrorysta. Poprosiłam męża, żeby coś jej odpowiedział, ale on zasugerował, żebym udała, że nic nie słyszałam – opowiada Elif.

Neslihan mówi, że kiedy przez miesiąc mieszkali w Łodzi, pewnego razu weszła z mężem do sklepu, a tam jakiś mężczyzna na jej widok rzucił przekleństwo. Mąż to zrozumiał i nie pozostał mu dłużny. Doszło między nimi do awantury, w końcu wyszli ze sklepu, nic nie kupując.

Fatoş tak opisuje bezradność wobec reakcji niektórych Polaków na hidżab: – Kiedy skończyłam szkołę podstawową, starszy brat rzucił mi hidżab i kazał nosić. Odtąd go noszę. Kiedy mieszkaliśmy w Ursusie, nawet po chleb nie mogłam wyjść z domu. Potem przeprowadziliśmy się do Raszyna, tu poznałam kilka tureckich kobiet; m.in. z powodu nieznajomości polskiego one też były uwięzione w domach jak ja. Ogromnie się cieszyłyśmy, że mogłyśmy się przyjaźnić. Zaczęłyśmy się wzajemnie zapraszać i przy okazji w sklepie robić zakupy, które dawniej robili nasi mężowie. Teraz z koleżankami i dziećmi bierzemy potrzebne nam rzeczy i podchodzimy do kasy. Niestety, nie umiemy mówić

po polsku ani dzień dobry, ani do widzenia, więc kładziemy nasze zakupy na blat, a kasjerka bierze je, nabija na kasę i rzuca nimi na drugą stronę, jakby chciała w nas trafić. My jesteśmy normalnymi klientkami, za wszystko płacimy, a ona tak nas traktuje tylko dlatego, że nosimy hidżab.

Z MĘŻEM DO LEKARZA

Meltem, która w Turcji uczyła Koranu, też narzeka na nieprzyjazne spojrzenia na jej ubiór. Twierdzi, że w restauracjach – oprócz tureckich

Mąż mówi, że po co mi polski, skoro on robi zakupy i załatwia wszystkie sprawy.

– kawiarniach, cukierniach, dokądkolwiek się wybiera, Polacy dziwnie na nią patrzą. Nie umie ich zapytać, dlaczego gapią się na nią. Nie zna ani polskiego, ani nawet angielskiego. Na pytanie, dlaczego przez półtora roku pobytu nie nauczyła się choć trochę języka, odpowiada, że z powodu ciąży, a potem opieki nad córką nie mogła chodzić na kurs językowy.

– Siostra, która mieszka w Turcji, mówi mi, że gdybym przez te pięć lat, kiedy mieszkam w Polsce, co-

Większość Turczynek na miasto wychodzi tylko z mężem.

dziennie uczyła się jednego słowa, problem nieznajomości polskiego zostałby automatycznie rozwiązany – przyznaje Fatoş. To, że tego nie zrobiła, również tłumaczy koniecznością opieki nad dziećmi i obowiązkami domowymi. Ale przede wszystkim na naukę polskiego nie pozwoliłby jej mąż. – Mówi, że po co mi polski, skoro on robi zakupy, w razie potrzeby idzie ze mną do lekarza, załatwia wszystkie sprawy urzędowe, więc nie mam gdzie używać polskiego, nawet gdybym się go uczyła.

Neslihan chce się uczyć polskiego. Jej mąż, w przeciwieństwie do męża Fatoş, popiera ten pomysł, jednak na kurs trzeba z Ursusa jechać do centrum, a ona nie ma prawa jazdy. Dlaczego nie skorzysta z miejskiej komunikacji? – Boję się jeździć autobusem, zwłaszcza teraz, kiedy mam córeczkę – odpowiada bez namysłu. – Noszę hidżab, jak będę się bronić, kiedy ktoś mnie z tego powodu zaatakuję? Nawet nie zawołam o pomoc, bo polskiego nie znam. Nie wiadomo zresztą, czy ktoś z pasażerów stanąłby w mojej obronie. Ja nie odważę się na taką podróż, a mąż nie pozwoliłby na to z powodu ryzyka.

SAMOCHÓD TO WOLNOŚĆ

Elif też nie miała prawa jazdy, kiedy przyjechała do Polski. Mąż namówił ją, żeby je zrobiła, bo stanie się bardziej niezależna. Zrobiła więc prawo jazdy w Turcji, a mąż kupił jej auto. – Samochód to po prostu wolność. Jak nie masz prawa jazdy, nie

znasz polskiego, masz dzieci i nosisz hidżab, to jesteś skazana na męża, żeby wyjść z domu. Tak kiedyś żyłam. A teraz za-

bieram koleżankę i dzieci i jedziemy do cukierni czy centrum handlowego – cieszy się Elif.

Fatoş i Meltem nie mają prawa jazdy. Mąż Fatoş w ogóle by jej na to nie pozwolił. Planują zresztą powrót do Turcji, kiedy ich syn osiągnie wiek szkolny. Teraz chłopiec ma cztery lata, nie chodzi do przedszkola. Nie chcą, żeby ich syn jadł wieprzowinę. – Mąż mówi, że niezależnie od tego, ile razy on synowi powie, żeby nie jadł wieprzowiny ani w formie

► salami, ani w daniu, ani suszonej, to on na pewno kiedyś spróbuje. Jest dzieckiem, więc kiedy jego koledzy będą jedli, z pewnością będzie go kusić. A mąż nie może pozwolić, żeby doszło do takiej sytuacji, więc mówi, że wrócimy do Turcji, kiedy syn zacznie chodzić do podstawówki – opowiada Fatoş.

Kłopoty Fatoş skończą się po powrocie do Turcji, ale jej koleżanki nie mają na razie takich perspektyw. Dopóki nie wrócą do ojczyzny lub nie nauczą się polskiego, problemy będą się ciągnąć. 95% mieszkających w Polsce tureckich kobiet nie ma zawodu ani dyplomu. Nie pracują, tylko opiekują się dziećmi i zajmują domem. – Ja, mimo że mieszkam w Polsce, prowadzę tureckie życie. W Ursusie już jest dużo Turczynek, przyjaźnimy się, wspólnie spędzamy czas, rozmawiając o problemach naszych dzieci, domowych obowiązkach czy przepisach kulinarnych. W rzeczywistości jednak prawie wszystkie dusimy się, siedząc w domu, czekając na męża, żeby jechać do supermarketu czy restauracji

w mieście. Dokądkolwiek mamy pojechać, cokolwiek mamy zrobić, prawie wszystkie czekamy na mężów. W Stambule byłam bardzo aktywna, a tu taka bezradna. Czuję się samotniona, bez nikogo. Ani państwo polskie, ani lokalne władze nie wiedzą, że istniejemy. My też nie wiemy, gdzie one są, jakimi możliwościami dla nas dysponują, jak do nich dotrzeć – zwierza się Neslihan. – Byłoby super, gdyby lokalna władza czy jakaś organizacja zaoferowała kursy zawodowe czy językowe.

Elif już nie chce wracać do Turcji. Im częściej tam jeździ, tym bardziej docenia Polskę. Przede wszystkim nie lubi tłumu, a w Stambule mnóstwo ludzi. Także krewni wtrącają się w ich życie, zazdroszczą im i cały czas plotkują. Planuje, że kiedy drugi syn pójdzie do żłobka, ona zacznie uczyć się polskiego. – Chciałabym, żeby w Raszynie były organizowane dla nas kursy: językowe, rzemieślnicze, gry na instrumentach muzycznych, joga czy pilates. Dzięki temu my, tureckie kobiety, mogłybyśmy się zasymilować, poczuć pewne sie-

bie i wartościowe, poznać lokalną społeczność, mogłybyśmy wychodzić z domów i przekonać mężów, że sobie radzimy. Być może potem niektóre otworzą własny biznes lub zaczną pracę u kogoś. Ja zamierzam założyć własny biznes, kiedy synowie trochę podrosną, ale najpierw powinnam nauczyć się polskiego.

Meltem też nie chce wracać. Mówi, że teściowa cały czas ją krytykuje. A to, że jej spodnie nie są wystarczająco długie, bo nie przykrywają kostek. A to, że w Stambule nie siedzi w domu, tylko cały czas dokądś wychodzi. W Polsce ma święty spokój, z mężem robią, co chcą. Jak córka trochę podrośnie, Meltem ma się uczyć angielskiego, bo mąż mówi, że jeśli pewnego dnia wrócą do Stambułu, trudno będzie jej znaleźć pracę ze znajomością polskiego. Chciałaby także chodzić na jakieś zajęcia gimnastyczne. Fatoş ma zupełnie inne preferencje: – Byłoby fajnie, gdyby zorganizowali naukę czytania Koranu.

Ebru Orhan

Imiona rozmówczyń, oprócz Elif, zostały zmienione.

Szkolenia Microsoft Excel

Dedykowane szkolenia dla firm:

- MS Excel - bez tajemnic (biznes i firma)
- MS Excel - finanse, księgowość, kadry
- MS Excel - poziom zaawansowany
- MS Excel - analiza danych
- MS Excel Business Intelligence + Power BI

www.szkoleniami.pl/szkolenia/



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Jak Tadeusz z Mateuszem

Edward Mikołajczyk

Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wymyślił Mateusz Morawiecki, kiedy był wicepremierem i zajmował się myśleniem. Wtedy myślał i milczał, bo przemawianiem do narodu, bez dodatkowych obowiązków, zajmowała się premier Beata Szydło.

Kiedy Jarosławowi Kaczyńskiemu przestała się podobać wykonawczy roli głównej, bez wahania i właściwie w ogóle nie przerywając spektaklu, zarządził zmianę w obsadzie. Teraz ona siedzi cicho, a M.M. mówi bez przerwy.

Mateusz Morawiecki prezentuje się najpoważniej jako mąż stanu, kiedy zwraca się do Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Wybór patronki nie jest przypadkowy, bo żadna inna święta osoba nie dałaby rady cierpliwie słuchać i patrzeć, jak premier wynosi siebie pod niebiosy, pozwala uczestnikom parteitagów skandować swoje imię i domaga się głośnych podziękowań za każde trzy stówki ekstra rozdane elektoratowi przed wyborami.

Jest tak, jak dawno w Polsce nie było. Rządzi jedna partia za pomocą telewizyjnego monologu

Mateusz Morawiecki prezentuje się najpoważniej jako mąż stanu, kiedy zwraca się do Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

z narodem. Z wąskiego grona wybrańców dopuszczonych do wygłaszania odpowiedzialnych tekstów partyjnych w formie stand-upów, najweselszy jest właśnie były autor byłej Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Rozmyślnie zapominał o scenariuszach SOR, rozwija się tylko estradowo, zgodnie z wymaganiami sztuki bajerowania.

Politycy tak mają z pamięcią, a premierowi dodatkowo udało się zainfekować polityczną amnezją wielu ludzi nokoło. Kto dzisiaj pamięta, co to jest SOR?! Spytałem na próbę kilka osób, niekoniecznie schorowanych i wiekowych. Pierwsza odpowiedź brzmi: szpitalny oddział ratunkowy. Taki stan pamięci potwierdza wyszukiwarka internetowa. Szpitalny oddział jest na czele listy identycznych haseł SOR i wyprzedza zapomniany przez samego twórcę plan Morawieckiego o osiem pozycji. Częściej niż o SOR autorstwa naszego premiera internauci pytają o czeski autobus tej samej marki, produkowany w Libchavach, o SOR Iberica – hiszpańskie chłodnie i naczepy, a nawet o syndrom dr. Strangelove’a – takie przekonanie pacjenta, że jedna z jego rąk

nie należy do niego, co inaczej nazywane jest syndromem anarchicznej ręki.

Wynika z tego, że wicepremier najpierw nie trafił z nazwą, a potem jako premier niefortunnie wpadał kolejno w każdą z pięciu pułapek, które osobiście tak nazwał i osobiście ustawił na drodze rozwoju Polski w swoim opisie Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Ostatnia, piąta, nazwana przez autora słabością instytucji, dopadła go pod koniec minionego roku, kiedy do aresztu śledczego trafił na dwa miesiące były szef Komisji Nadzoru Finansowego, słabo przez premiera nadzorowanej instytucji państwa.

Program „naprawy” zaczyna M.M. w swoim dokumencie od reindustrializacji. A jak mu idzie, każdy widzi. Spośród zajęć najbardziej pochłaniających polskiego premiera, zaczynających się od re-, a niezapisanych w jego planie, największe nadzieje świata budzi rechrystianizacja Europy. I z nowym rokiem przynajmniej w tym dziele należałoby mu życzyć misjonarskiego powodzenia.

Na dobry początek Kancelaria Prezesa Rady Ministrów powinna zadzwonić do TV Trwam i uprosić stację o spotkanie o. Tadeusza Rydzyka z Mateuszem Morawieckim. Żeby obaj mężowie stanu mogli usiąść w studiu naprzeciwko siebie i pogadać o dziejowej szansie Polski jako przedmurza chrześcijaństwa. Dialog na tym szczeblu nie wymaga moderatora, bo obaj dostojnicy są zawodowcami

i mają jednakowo dobry kontakt z Duchem Świętym. Rechrystianizacja Europy wymaga odpowiedzialnej strategii, a w tej sprawie nie ma nikogo lepszego. W razie jakiegoś pata w dyskusji premier może w każdym momencie zaproponować rozwiązanie w postaci referendum. Albowiem to wielkie, kontynentalne dzieło już na wstępie wymaga odpowiedzi na pytanie, od czego zaczynamy. Od Torunia czy od drugiego końca Europy i na Toruniu kończymy? I co z Bugiem? Stoimy czy przekraczamy i przesuwamy przedmurze pod sam Ural?

W nowym roku życzę też powodzenia misji Grażyny Wolszczak. 10 stycznia rozpoczyna się historyczny proces, w którym aktorka, dzisiaj ambasadorka kampanii „Pozywam smog”, pozwie skarb państwa za zepsucie powietrza w naszym kraju. Będziemy obchodzić miesięcznice!



Kup PRZEGLĄD w wersji elektronicznej jako e-wydanie

E-WYDANIE

3⁵⁰ zł

TANIEJ NIE KUPISZ!

sklep.tygodnikprzeglad.pl



Bądź pierwszy i czytaj już w sobotę rano na komputerze, tablecie i telefonie komórkowym. Taniej, wygodniej i bez wychodzenia z domu.

PSY DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Lufa, Tafi, Has, Laki, Bob i emerytowany Elgos – elitarna grupa TOPR rozpoczyna dyżur zaraz po ogłoszeniu zagrożenia lawinowego



Pies Reko, już ponad 10 lat w służbie TOPR, właśnie zdesantował się ze śmigłowca i rusza na przeszukiwanie lawiniska.

Beata Sabata-Zielińska

W sumie mają 28 łap i siedem superczułych nosów. Każdy z nich ma przewodnika, czyli swojego pana i zarazem kolegę po fachu, z którym uczy się ratowniczych powinności. Są pełnoprawnymi członkami pogotowia, zwanymi psami lawinowymi. W TOPR obecnie służą dwa border collie, dwa owczarki niemieckie, dwa owczarki belgijskie malinois i owczarek holenderski.

Ich szkolenie to wyższa szkoła jazdy, która wymaga pasji, zaangażowania, cierpliwości oraz świadomości powagi tej służby, a co za tym idzie, nieustannej pracy, mierzzonej nie w godzinach, tygodniach czy miesiącach, ale w latach. To zobowiązanie wobec organizacji i wobec psa, który staje się partnerem w służbie i towarzyszem w życiu, co pociąga za sobą lata troski i dbałości o jego kondycję, umiejętności i o codzienne potrzeby. To w końcu obietnica miłości i wier-

ności do końca jego dni, także tych spędzonych na emeryturze.

Nie każdy zatem może zostać przewodnikiem psa lawinowego, ponieważ to oznacza wysokie wymagania i poważną deklarację, również wobec Pogotowia, które za wszystko płaci.

Dobry szczeniak kosztuje od kilkuset do kilkunastu tysięcy euro, nic więc dziwnego, że jego zakup jest przemyślany i dokonywany przez fachowców. Jego przyszły przewodnik nie wybiera go sam, owszem, może określić mniej lub bardziej preferowaną rasę, ale w ściśle określonym zakresie.

– Interesują nas wyłącznie psy użytkowe, charakterne, z mocnym łowieckim instynktem – mówi Łukasz Migiel, szef szkolenia psów toprowskich. – Wybór odpowiedniego szczeniaka jest niezwykle ważny, w związku z tym nie może być przypadkowy. W Polsce niewiele jest hodowli, które zwracają uwagę na charakter i użyteczność psa, dlatego

szukamy ich za granicą. Jeden z naszych border collie został przywieziony z Liverpoolu, dwa psy są z Holandii, a dwa ze Słowacji. To, z jakiego chowu pochodzą, jest na tyle ważne, że potrafimy szukać odpowiednich osobników nawet półtora roku. Śledzimy rynek i jeśli mamy informację, że gdzieś za chwilę pojawi się dobry miot, po prostu na niego czekamy. Przyglądamy się rodzicom, analizujemy ich cechy, na dobrą sprawę pierwszej selekcji dokonując jeszcze przed urodzeniem się szceniąt. Mało tego, zapisujemy się na listy kolejkowe, bywa bowiem, że dobre hodowle mają sprzedany miot na długo przed jego przyjściem na świat. Jeśli to możliwe, staramy się obejrzeć wszystkie szczeniaki z miotu i wybrać tego jednego. (...) Wyboru szczeniaka dokonujemy co najmniej w dwie osoby. Jedna wykonuje test, a druga obserwuje malucha. Często też nagrywamy film, a potem na spokojnie analizujemy zachowanie pieska. Oczywiście nie należy tego

demonizować, bo *de facto* chodzi o sprawdzenie podstawowych zachowań, tych „na rdzeniu”. Szukamy po prostu szczeniaków z mocnym charakterem – takich trochę kozaków. (...)

– Laki to mój trzeci pies – mówi Jerzy Maciata, wskazując hasającego po śniegu owczarka niemieckiego. – Przewodnikiem jestem od 19 lat. Zawsze miałem owczarki i zawsze z tej samej hodowli, ze Słowacji. Pierwszy był Vero, drugi Pakso, a teraz jest Laki. Pakso niestety zginął pod kołami samochodu, gdy miał zaledwie dwa lata. Uciekł. Przekopał się pod płotem i wpadł prosto na drogę. Strasznie to przeżyłem. Szkoda go, bo był bardzo zdolny. Uratował narkomana, który postanowił otruć się na Wielkiej Krokwi. Facet zadzwonił, że jest w rejonie skoczni i traci przytomność, bo nałykał się środków psychotropowych, które właśnie zaczęły działać. I super, tyle że była noc, styczeń, ciemno, zimno, nic nie widać, nic nie słychać, a zegar tyka. Gdyby nie pies, nie znaleźlibyśmy go na czas, wpadł do wykrotu, w ogóle nie było go widać. Pakso trafił na niego od razu.

Toprowskie psy szkolone są do szukania ludzi żywych, co znaczy, że mają ignorować zwłoki.

Psów ratowników nie interesuje szukanie aportów typu plecak, but, czapka czy rękawiczka, ponieważ na to zwyczajnie szkoda czasu. Toprow-

ra. Dlatego priorytetem jest żywy człowiek – podkreśla Migiel.

Szkolenie psa to codzienna żmudna praca. Trzeba nauczyć go wszystkich ważnych zachowań, nie tylko związanych z samym wążaniem, ale również z szeregiem stresujących go sytuacji, takich jak wsiadanie do śmigłowca czy desant z maszyny.

– Dla psa śmigłowiec to potężne, ryczące ptaszysko, nic więc dziwnego, że nawet wielkie psy obronne mają pietra. (...) Toprowskie czworonogi muszą tymczasem nie tylko podejść do takiej maszyny, ale

Psy ratownicze mają emerytury. Jeśli kończą służbę z powodu wieku lub choroby, mają opłaconą karmę i opiekę weterynaryjną.

i do niej wskoczyć, a później z niej wyskoczyć lub ze swoim panem opuścić się na linie. Prawdziwy psi horror, dlatego takich działań uczy się je stopniowo, krok po kroku, podobnie jak wszystkich innych ratowniczych technik. Ale stopniowo nie znaczy długo. Psy muszą robić postępy, dlatego w ściśle określonym czasie zdają konkretne testy. Około 12. miesiąca życia zaliczają test z posłuszeństwa, a pomiędzy 18. a 30. miesiącem mają pierwsze egzaminy z pracy wężowej, czyli poszukiwawczej.

– Dosyć surowo oceniamy nasze psy, bo traktujemy ich pracę bardzo poważnie – przyznaje Łukasz Migiel. – Jeśli któryś z nich ma braki, przechodzi dodatkowe szkolenia. Zaczynają brać udział w akcjach, dopiero

W razie czego miał krzyczeć i nas ostrzec. Zgodził się, gamoń, a jakże, tyle że zajął się fotografowaniem widoczków i... przegapił moment, w którym ruszył śnieg w żlebie. Na ucieczkę było za późno. Lawina porwała całą naszą czwórkę, łącznie z psem. To było okropne uczucie! Bezsilność wobec rzeczy silniejszych. Człowiekowi całe życie staje przed oczami. W lawinie było ciemno i dziwnie gorąco, pewnie to efekt działania adrenaliny. Na szczęście nikomu z nas nic się nie stało i zdołaliśmy wyjść spod śniegu o własnych

siłach. Pies też sam się wykopał, po czym... odmówił współpracy. My otrzepaliśmy się i ruszyliśmy dalej, w górę – on wręcz przeciwnie – puścił się w dół.

Ta historia potwierdza tylko, jak ważny jest wybór odpowiedniego psa i jak bardzo istotne są te atawistyczne cechy, które z jednego robią bohatera, a z innego tchórze. (...)

– W Pięciu Stawach był pies antylawinowy – śmieje się Monika Rogozińska, tłumacząc, że w tym wypadku absolutnie nie jest to określenie pejoratywne, gdyż pies miał wrodzony dar wyczuwania terenów zagrożonych. – Wabił się Szatan i był dumą Józka Krzeptowskiego, szefa schroniska, który próbował zrobić z niego asa akcji lawinowych. Tyle że owczarek niemiecki był stanowczo zbyt ostrożny, żeby nie powiedzieć nieco strachliwy, i jakimś szóstym zmysłem doskonale wyczuwał wszelkie zagrożenia. Potrafił bawić się, skakać, nurkować w śniegu, ale gdy nagle zamierał w bezruchu, kulił ogon pod siebie i spuszczał uszy, wiadomo było, że coś jest nie tak, że być może teren jest „niewyraźny”. I faktycznie, prawie zawsze to się sprawdzało. Nie miało kilka godzin, gdy właśnie z tych miejsc spadały lawiny. Szatan okrzyknięty więc został pierwszym psem antylawinowym i był dla nas swoistym radarem.

Toprowskie psy mają spore sukcesy w poszukiwaniach, choć niestety większość znalezionych ofiar nie przeżyła upadku z lawiną, głównie z powodu urazów.

W TOPR służą border collie, owczarki niemieckie, owczarki belgijskie malinois i owczarek holenderski.

cy chcą mieć psy, które na lawinisku zlekceważą wszystko, szukając żywego człowieka, i tylko to miejsce oznaczają. Podobnie jest przy katastrofach typu trzęsienie ziemi lub zawalenie budynku. Na samym początku wpuszcza się psy szukające żywych, dopiero kilka dni później, w zależności od sytuacji, teren zaczynają przeszukiwać psy szkolone do znajdowania zwłok.

– Ten podział jest bardzo ważny, bo wyobraźmy sobie, że pies zaznacza wszystko. Wtedy nie da się uniknąć ryzyka, że zaczniemy odkopywać zwłoki, podczas gdy obok ktoś umie-

kiedy mają dwa, trzy lata. Oczywiście można wyszkolić je wcześniej, ale w pracy na lawinisku liczy się także doświadczenie.

A to czasami bywa traumatyczne. – Szukaliśmy pewnego razu turysty, który zaginął pod Mięguszwieckim Szczytem. To było w latach 80. – wspomina Antoni Janik. – Podejrzewaliśmy, że mężczyzna spadł z lawiną, dlatego wyszliśmy na rekonasans z psem. Warunki były bardzo trudne, poprosiliśmy więc jednego z kolegów, by stanął nad Morskim Okiem i obserwował teren, czy przypadkiem z góry coś nie spada.

► – Vero znalazł w Małej Świstówce zasypanego grotolaza, Pakso uratował życie niedoszłemu samobójcy, a Laki oznaczył miejsce zasypania gościa pod Świnicą – mówi Jerzy Maciata. – Mielśmy przypadek turysty, który spadł z polskiego Grzebienia. Pies znalazł go natychmiast, po pięciu minutach, ale niestety lawina wcisnęła mężczyznę do stawu i tam po prostu utonął. Miał pecha. Podobnie było pod Świnicą. Tam pies też błyskawicznie oznaczył zasypanego, tyle że ten miał tak potężny uraz mózgowo-czaszkowy, że zginął na miejscu. Ostatnio Lufa Łukasza Migieła znalazła poszukiwanego fotografa, który zamarzył na szlaku, a słynny Bućko Franka Spytki dwa razy bezbłędnie wskazał zasypanych. Tych odnalezionych przez psy jest więc sporo, choć uratowanych niewielu.

Czy warto zatem wydawać pieniądze na mniej lub bardziej efektywną pracę psów, jeśli jednocześnie prężnie rozwijają się nowe technologie, pozwalające szybko odnaleźć zasypanego? Warto, mówią jednogłośnie specjaliści, wskazując, że wszystkie grupy ratownicze na świecie szkolą psy lawinowe mimo posiadania specjalistycznego sprzętu.

– Jeśli warunki na lawinisku są dobre, to pies jest w stanie znaleźć zasypanego szybciej niż ratownicy posługujący się detektorem lawinowym – podkreśla Łukasz Migiel, dodając jednak, że skuteczność czworonoga zależy od bardzo wielu czynników. – Ważna jest grubość pokrywy śniegu, jakość tego śniegu i czas od zasypania.

Zaskakujące, że szybkie dotarcie ratowników na lawinisko wcale nie jest tak korzystne... dla psa. Po 10, 15 minutach od zasypania zapach może nie zdążyć jeszcze wyjść spod grubego śniegu, na lawinie tymczasem pojawiają się ludzie i to ich zapachy zaczynają dominować.

Dlatego najpierw staramy się wyrzucić na lawinisko psa, by ten we w miarę sterylnych zapachowo warunkach obwąchał teren. Jeśli człowiek jest płytko zasypany, pies może go błyskawicznie odnaleźć, ponieważ zapach szybko pojawia się na powierzchni. Wtedy sukces jest murowany. (...)



Lądowanie śmigłowca po ratowników i ofiarę wypadku w Dolinie pod Kołem, 2011 r.

• – Zobacz, ten pies już wie, że idzie na akcję. Przed chwileczką tutaj biegał, hasał, trudno go było przywołać, ale wystarczyło, że przewodnik założył mu kamizelkę, by natychmiast się uspokoił. Dla niego moment założenia kamizelki jest sygnałem, że zaraz zacznie się praca. Dlatego siedzi przy nodze przewodnika i zobacz, już się nie rozgląda – tłumaczy mi podczas szkolenia psów Jerzy Maciata. (...)

– Pies na lawinisku jest w stanie pracować nawet kilka godzin, o ile ma sprzyjające warunki. Jeśli śnieg jest twardy i pies może się po nim łatwo przemieszczać, to wiadomo, że popracuje dłużej, jeśli natomiast będzie się w śniegu zapadał, szybko się zmęczy. Między innymi z tego powodu odchodzi się pomału od szkolenia na psy lawinowe owczarków niemieckich, ponieważ ważą nawet 40 kg. Przy nich 17-kilogramowy border collie dostawnie śmiga i jest bardziej wydajny w pracy. Dłużej też jest sprawny. Siedmio-, ośmioletni owczarek niemiecki to zazwyczaj staruszek z dysplazją stawów, a border collie albo „maliniak” (malinois) może pracować 10-12 lat – tłumaczy Migiel, podkreślając jednak, że oczywiście nie ma reguły. (...)

• Szkolenie psa opiera się na systemie motywacyjnym. Trwają dyskusje, nawet zażarte, co ma być tą

zachętą do pracy. Starsze pokolenie przewodników gratyfikowało sukces smakołykiem, czyli soczystą kiełbasą, „młodzi” tymczasem stawiają na przyjemność z polowania, które samo w sobie ma być nagrodą.

– Bo co zrobimy, gdy dostaniemy wezwanie na lawinę, a pies będzie najedzony? Jak zmotywujemy go do szukania, skoro będzie miał pełny brzuch? – zadaje pytania Migiel, przyznając, że awantury o podejście do tej sprawy bywały zaciekle. – Praca na instynkcie przynosi najlepsze efekty. Dowodem są ośmio-, dziesięcioletnie psy, które jak zobaczą zabawkę, zachowują się jak szczeniaki. Zabawka bowiem oznacza polowanie, a polowanie to natura psa. Dlatego teraz w nagrodę za odnalezienie człowieka pies dostaje właśnie zabawkę, a także... bezcenną chwilę radosnych harców.

Treningi polegają na stopniowym podnoszeniu poprzeczki, ale podstawą sukcesu jest systematyczność, w tym wypadku codzienne ćwiczenia, które czasami trwają godzinę, czasami kilka godzin, a czasami cały dzień.

– Właściwie każde wyjście na spacer jest jakimś ćwiczeniem. Często umawiamy się z chłopakami na szybkie poszukiwania. Ktoś chowa się w jakimś rejonie, podaje na GPS-ie współrzędne okolicy kryjówek, my jedziemy tam na spacer, podczas którego zaczynamy szukać. Kilka razy do roku organizujemy też lub uczestniczymy w szkoleniach psów

lawninowych, które polegają na szukaniu pozorantów. Pozorant to człowiek, który daje się „zasypać” pod śniegiem po to, by pies miał okazję odnaleźć żywego człowieka. (...)

– Pies nie szuka człowieka ze świadomością, że musi go uratować. Dla niego to zwykła zabawa, dlatego pozorant nie tylko powinien go czymś obdarować, ale, co ważne, poświęcić mu też chwilę uwagi. Musi się z nim potarmosić, poszarpać, chwalać go za dobrą robotę – tłumaczy Łukasz Migiel. – Chodzi o to, by pies zakodował, że odnalezienie człowieka oznacza fajną zabawę. Bawi się z nim również przewodnik, żeby przekazać psu: zobacz, razem polowaliśmy, razem walczyliśmy o tę zabawkę, ale to ty zwyciężyłeś – jesteś ode mnie lepszy!

Ale sukces, nawet na pozorowanym lawinisku, nie zawsze jest szybki i spektakularny. (...)

Psy lawinowe dyżurują przez cały sezon zimowy. A latem trenują, i to bardzo ciężko. Letnia wersja „lawiny” jest dla psów piekłem, bo pozoranci zakopywani są... w piasku lub

żwirze. Ten z kolei często, żeby nie powiedzieć niemal zawsze, stanowi barierę nie do przebicia. (...)

– To są Himalaje trudności – przyznaje Migiel, podkreślając, że piach praktycznie niczego nie przepuszcza, nie mówiąc już o tym, że z każdym oddechem dostaje się do nozdrzy. Pies cały czas biega je przepłukiwać, co sprawia, że efektywność takich poszukiwań jest niewielka. – Ale w ramach podnoszenia poprzeczki robimy również takie ćwiczenia. Latem bywamy też na lodowcach, gdzie często szkolimy się ze Słowakami, Austriakami, Włochami, Norwegami, Czechami i Chorwatami. Zapraszamy się wzajemnie na treningi i uczymy się jedni od drugich.

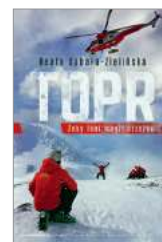
Toprowskie psy, podobnie jak sami toprowcy, podlegają certyfikacji, czyli okresowym egzaminom. System jest dokładnie taki sam jak przy weryfikacji ratowników, kolega egzaminuje psa kolegi, przewodnicy zapewniają jednak, że nie ma mowy o koleśnictwie. „Tylko uczciwa ocena postępów naszych podopiecznych daje gwarancję efektywnych dzia-

łań”, mówią, podkreślając, że ich psy nie są pupilkami, tylko częścią profesjonalnego zespołu.

Pies ratowniczy jest ratownikiem. (...) Psy ratownicze mają też emeryturę. Jeśli kończą służbę z powodu wieku lub choroby, dożywotnio mają opłaconą karmę oraz opiekę weterynaryjną. Oczywiście zostają ze swoim przewodnikiem, stając się po prostu psem domowym, ale pod czujnym i czułym okiem Pogotowia.

– Mój pierwszy pies, labrador, jest właśnie na takiej emeryturze – mówi Łukasz Migiel. – Mieszka z moimi rodzicami i jest przeschęśliwy. Całymi dniami śpi, wszystko ma gdzieś i jest rozpieszczany jak nigdy wcześniej. Cieszy się po prostu zasłużonym odpoczynkiem.

Fragmenty książki Beaty Sabaty-Zielińskiej **TOPR. Żeby inni mogli przeżyć**, Prószyński i S-ka, Warszawa 2018



KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOŁA KLUB MUZYCZNY



LEGENDY BARDÓW XX WIEKU

ŻUKOWSKA - KORYCKI
NOWAK - SNOKOWSKI ORKISZ

10.02 | STODOŁA, WARSZAWA



LOREENA MCKENNITT

27.03 | ICE KRAKÓW

28.03 | DMIT ZABRZE



VOO VOO

14.04
STODOŁA, WARSZAWA



THE MYSTERY OF THE BULGARIAN VOICES FEATURING LISA GERRARD

10.06 | STODOŁA, WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOŁA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA
(ul. Batorego 10, Warszawa)

Z kart kalendarzy 2019

Półzartem i na serio



1

1. Hasłem kalendarza Pirelli jest „Marzyć” („*Dreaming*”). Zdjęcia Alberta Watsona opowiadają o marzeniach i aspiracjach kobiet.
2. Wioślarze Warwick Rovers przeznaczają część wpływów ze sprzedaży kalendarza na wsparcie walki z homofobią.
3. Natura jako sztuka w nowej odsłonie – zdjęcia do kalendarza Lavazza wykonała sześciokrotna laureatka nagrody World Press Photo Ami Vitale.
4. Australijscy strażacy przekażą pieniądze na rzecz Australia Zoo Wildlife Hospital.

5. Fotograf Christian Vieler uchwycił psy chwytające przysmaki.
6. #heartujemy – firma Olmet promuje akcję charytatywno-informacyjną, której celem jest zwiększenie wiedzy na temat zdrowia i profilaktyki. Zdjęcia: Veroniq Zafon.
7. i 8. Wielcy Małym – znani i lubiani z przeznaczonymi do adopcji zwierzętami ze schronisk objętych akcją Fundacji Viva! Na zdjęciach Agata Buzek z Mariolką i Haftką oraz Marcin Dorociński z Herą i Saszą. Zdjęcia: Izabela Urbaniak.

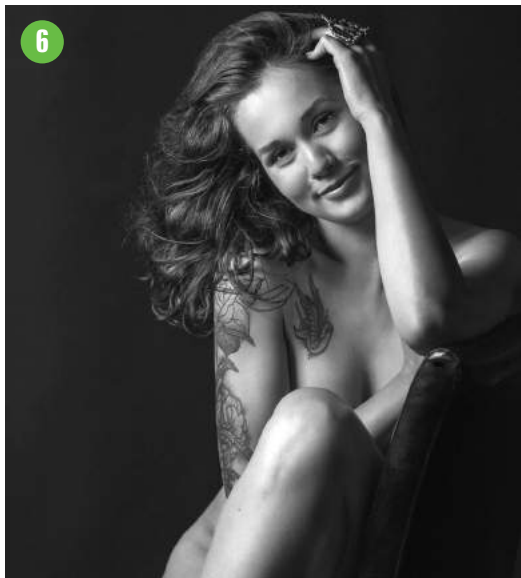
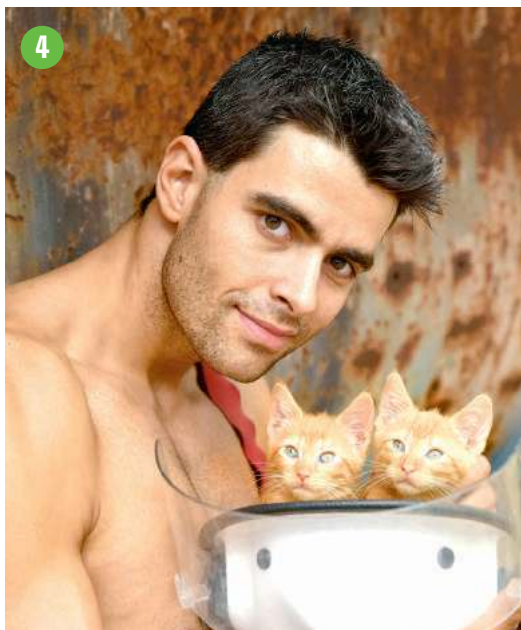
2



3



N	P	W	Ś	CZ	P	S	N	P	W	Ś	CZ	P	S	N
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15



P	W	Ś	CZ	P	S	N	P	W	Ś	CZ	P	S	N	P
16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30

Tomasz Skowronek Korespondencja z Tel Awiwu

Pas wzdłuż telawińskiego wybrzeża to ciąg luksusowych, podświetlanych po zmierzchu drapaczy chmur z betonu, szkła i stali. Pomiędzy nimi koncentruje się życie towarzyskie na całej długości nadmorskiego bulwaru. Tutaj się spaceruje, przesiaduje na słońcu. W ciągu dnia i późnym wieczorem mnóstwo ludzi wychodzi biegać i zagrać w piłkę. Mieszkańcy i turyści oblegają bary z przekąskami. Z lokali dobiegają dźwięki dyskotekowej muzyki, niekiedy o wyraźnym arabskim charakterze. Miasto jest w ciągłym ruchu, głośne, gwarne, nowoczesne, ekstrawaganckie, im-

na punkcie dzielnicy i starożytnego portu. – Nie wiem, skąd się bierze ta miłość do Jafy. To coś poza mną, nie możesz tego zatrzymać, nie możesz kontrolować. Budynki wzywają mnie do ich renowacji – mówi.

Eyal jest jednym z głównych architektów pracujących przy programie renowacji gminy Tel Awiw. Dorastał na starym mieście i obecnie pracuje w przekształconym w biuro mieszkaniu na pchlim targu w Jafie. To właśnie on zajmował się renowacją słynnej Wieży Zegarowej, najbardziej charakterystycznej budowli w centralnej części dzielnicy, pochodzącej z epoki osmańskiej. Od tego czasu jego pasja do dawnego miasta się pogłębiła. – Architektura to tak naprawdę DNA społeczeństwa – podkreśla.



Jafa dla wszystkich

Nie angażujemy się w politykę i traktujemy się z szacunkiem. Arabowie i Żydzi są tu partnerami – mówią mieszkańcy zabytkowej dzielnicy

prezowe. Uchodzi za biznesową i rozrywkową stolicę Bliskiego Wschodu. Taki wizerunek Tel Awiwu rzuca się w oczy każdemu, kto tu przyjedzie.

Zaledwie 2 km od kosmopolitycznego centrum leży Jafa. Do 1949 r. było to odrębne miasto, obecnie jest jedną z dzielnic Tel Awiwu. Oba miejsca różnią się diametralnie. Pierwsze to nowoczesna metropolia licząca zaledwie 100 lat. Drugie, nazywane „bramą Izraela”, przypomina typowo arabską dzielnicę z wąskimi uliczkami i zabytkami i ma ok. 4 tys. lat. Choć Jafa znana jest z malowniczych plaż, targu, kościołów, meczetów i sklepików, to chyba najbardziej zauważalna w tej enklawie jest symbioza Żydów i Arabów. Ale temu modelowi zagraża gwałtowna zmiana charakteru i statusu miasta.

Eyal Ziv siedzi w pracowni i co jakiś czas spogląda na ukochaną Jafę. Przyznaje, że ma wręcz obsesję



Starzy mieszkańcy boją się szybkiej zmiany okolicy.

Najnowszym projektem Eyala jest przywrócenie blasku kompleksowi komunalnemu Kishle, gdzie kiedyś znajdowało się tureckie więzienie, przekształcone w luksusowy hotel sieci Setai. W budynku zachowało się wiele elementów oryginalnej struktury, m.in. kamienny łuk przy wejściu do hotelu, z kaligraficzną pieczęcią Abdula Hamida II, 34. sułtana imperium osmańskiego.

– Setai jest najnowszym etapem ewolucji Jafy – mówi Eyal. – Sprawi, że miasto stanie się bardziej nowoczesne, a turyści nie będą tu przy-

jeżdżać tylko na jeden dzień, lecz zostaną na dłużej i zasmakują w uroku tego miejsca.

Pierwszy drogi projekt mieszkaniowy powstał w Jafie pod koniec lat 90. XX w. Nieruchomość o nazwie Andromeda wyznaczyła trend budowania ekskluzywnych mieszkań o wysokim standardzie na tym obszarze. – Dla rynku ta inwestycja była bardzo ważna, ludzie zobaczyli, że w tym miejscu można zbudować apartamenty dla zamożnych – zauważa Hicham Chabaita, prawnik z telawińskiego uniwersytetu.



Starzy mieszkańcy boją się jednak tak szybkiej zmiany okolicy. W arabskiej dzielnicy zaczęły się pojawiać eleganckie butiki oraz kafejki. Jafa jest przekształcana w modną, nowobogacką dzielnicę – donosi lewicowo-liberalny dziennik „Haaretz”. Deweloperzy, biznesmeni, filmowcy i osoby zamożniejsze wykupują tu nieruchomości nie tylko ze względu na zabytki, widoki czy większy spokój niż w głośnym Tel Awiwie, ale także skuszeni niepowtarzalnym orientalnym klimatem miejsca, gdzie w zgodzie żyją różne społeczności. Jafa słynie jako przykład udanego współegzystowania Arabów i Żydów czy chrześcijan i muzułmanów. Żydzi i Arabowie

Część miejsc promujących kulturę arabską została założona przez młodych Żydów.

mieszkają tu obok siebie, chodzą do tych samych sklepów, fryzjerów i rzemieślników. Pracują w tych samych miejscach i jedzą w tych samych lokalach.

– Nie angażujemy się tu w politykę i traktujemy się z wielkim szacunkiem. Arabowie i Żydzi są tu partnerami, a moim najlepszym przyjacielem jest Żyd ze Stanów Zjednoczonych – mówi muzułmański biznesmen Zopri, który wśród znajo-

mych ma wielu Żydów. I dodaje: – Tu nie ma różnicy między Żydami i Arabami. Mój sąsiad jest Żydem, a mój brat jest żonaty z Żydówką. Widzimy siebie jako istoty ludzkie, nie jako wrogów. Kluczem do przetrwania tutaj i wszędzie na świecie jest szacunek.

– Myślę, że Jafa to najpiękniejsze miasto na świecie, ponieważ żydzi i muzułmanie znają się, zapraszają do swoich domów i uznają swoje święta – dodaje Einat Yeini, ortodoksyjna niania. – Pracuję z muzułmanami, chrześcijanami i żydami, spędzamy razem osiem godzin dziennie. Pięciu lub sześciu z nich to moi najbliżsi przyjaciele, ciągle się odwiedzamy, wymieniamy się żydowskimi i arabskimi przepisami kulinarnymi, spotykamy się codziennie na lunchu w tym samym miejscu i świętujemy ważne wydarzenia w naszym życiu.

Również w tutejszych placówkach edukacyjnych kwitną dobre relacje międzyreligijne. W szkołach średnich uczniowie i nauczyciele są wymieszani, są tu muzułmanie i chrześcijanie oraz żydzi. W czasie Bożego Narodzenia uczniowie przynoszą z domu jedzenie, aby wspólnie

zjeść kolację, dekorują szkolną salę i stroją choinkę.

Najstojniejszym przykładem pokojowej koegzystencji w dzielnicy jest chór żeński Rana, który składa się z 10 żydówek i 10 muzułmanek. Powstał ponad 10 lat temu i dzięki arabsko-żydowskiemu składowi zyskał zainteresowanie światowych mediów. Według izraelskich dziennikarzy Rana stanowi kluczowy punkt integracji muzułmańskich, chrześcijańskich i żydowskich mieszkańców Jafy. Chór śpiewa nie tylko piosenki w języku hebrajskim i arabskim, ale także w ladino, greckim, perskim, jemeńskim i jidysz.

– Wspólne tworzenie muzyki, zwłaszcza śpiewanie, tworzy intymność. Musisz uważnie słuchać osób stojących po lewej i prawej stronie, aby zsynchronizować się z nimi – tłumaczy Danny, jedna z założycielek grupy. – W tym momencie jesteśmy jak jedna wielka rodzina. Oznacza to, że możemy rozmawiać ze sobą otwarcie, nawet jeśli nie wszyscy podzielamy te same poglądy polityczne. Wszyscy tu żyjemy razem i szanujemy się.

W Jafie żydzi i muzułmanie znają się, zapraszają do domów i uznają swoje święta.

Jednak palestyńsko-arabski przyjacielski charakter Jafy może zniknąć w wyniku szybkiego rozwoju i eksmisji, ostrzegają aktywiści. Stare warsztaty i sklepiki ustępują miejsca nowym rezydencjom i ekskluzywnym galeriom. Dlatego starzy mieszkańcy muszą coraz częściej stąd się wyprowadzać. Czyszące i ceny domów gwałtownie rosną, o czym przekonała się Yasmin Abu Kawad. Ta palestyńska samotna matka szóстки dzieci utrzymuje się z zasiłków socjalnych i prac sezonowych. Cztery lata temu właściciel jej mieszkania zmienił zamki, gdy nie mogła opłacić czynszu. Nie mając dokąd pójść, ona i jej dzieci znaleźli schronienie w centrum medycznym. Dwa tygodnie później, dzięki wysiłkom palestyńsko-żydowskiej organizacji Darna, Ludowego Komitetu ds. Praw Osiedlowych w Jafie, przeniosła się do mieszkania w południowej części dzielnicy. Ale za 20 m kw. Abu Kawad płaci aż 3 tys. szekli (powyżej 3 tys. zł) mie-

► sięcnie. Jej dzieci śpią razem na materacach w jednym pokoju, podczas gdy ona ma do dyspozycji werandę. – Jestem przekonana, że niedługo znowu będę na ulicy – mówi Abu Kawad reporterom Al-Dżaziry.

Wzrost cen wypędza stąd co roku setki najbardziej potrzebujących rodzin. Struktura ludności zmienia się na niekorzyść Arabów, którzy żyli tu od pokoleń. – To jest czystka etniczna – mówi wprost Yudit Ilany, koordynatorka obrony prawnej w Darnie. – W tym tempie palestyńska Jafa, jaką znamy, przestanie istnieć.

W ostatnich latach Yudit Ilany widziała niezliczone przypadki eksmisji palestyńskich rodzin. Wyższe ceny

Chór Rana to 10 Żydówek i 10 muzułmanek.



Najstojnijszym przykładem pokojowego współżycia w dzielnicy jest żydowsko-muzułmański chór Rana.

mieszkań zmuszają również biedniejszych Żydów z klasy średniej do przeniesienia się na tańsze tereny. Zmiana charakteru miasta jednak znacznie bardziej uderzyła w Palestyńczyków: mają mniej alternatyw, mniejszą mobilność społeczno-ekonomiczną i przeciętnie są biedniejsi od Żydów w Izraelu.

Aż do lat 90. Jafa była bardzo zaniedbana, a wieczorami uchodziła za mało bezpieczną. Dzięki zmianie charakteru tego obszaru zaczęto restaurować na większą skalę stare budynki

i zabytki, zrobiło się bezpieczniej, a na zwiększonej liczbie turystów mogą więcej zarobić lokalni sprzedawcy. Sęk w tym, by zmiany nie zachodziły kosztem mieszkańców.

W Jafie tymczasem rozgrywa się dramat wielu Arabów. Zdarza się, że deweloperzy w zastraszającym tempie niszczą wielowiekowe, ważne dla społeczności muzułmańskiej miejsca. Jak choćby muzułmański cmentarz Tasso. Jedyny nadal użytkowany muzułmański cmentarz w Tel Awiwie. „W Jafie nie ma muzułmanina, które-

go krewni nie są pochowani na tym cmentarzu”, alarmował w dzienniku „Haaretz” działacz społeczny Ahmed Masharawi. Sąd izraelski zatwierdził jednak w 2008 r. sprzedaż połowy cmentarza na rzecz izraelskiej firmy inwestycyjnej. Po latach sporów prawnych podtrzymał decyzję. Arabska społeczność jest oburzona tym faktem. „Czy gdyby to był żydowski cmentarz, władze i sąd podjęłyby taką samą decyzję?”, pytają mieszkańcy, którzy utworzyli Ludowy Komitet Obrony Tasso, aby walczyć z przejęciem ziemi.

W ostatnich latach powstało kilka miejsc mających ożywić kulturę arabską w Jafie – od baru Anna LouLou, który odtwarza muzykę bliskowschodnią, czy kawiarni Yafa, gdzie sprzedaje się współczesne książki po arabsku i oferuje lekcje języka arabskiego, po takie projekty jak „Echoing Yafa” oferujące wycieczki po Jafie jak sprzed 1948 r. Natomiast galeria Yafa Salon promuje palestyńską sztukę. Co ciekawe, część tych miejsc została założona przez młodych Żydów. Bo jak się okazuje, również nowi mieszkańcy nie chcą całkowitej zmiany charakteru dzielnicy.

– Nie chcemy być jak port Tel Awiwu – mówi Noa Oron, menedżerka klubu The Container, odnosząc się do północnego portu, który stał się ruchliwym centrum handlowym. – Mam nadzieję, że Jafa pozostanie miejscem dla rybaków, bo to przecież widok rybaków łowiących ryby oraz przyjacielskie relacje Izraelczyków i Arabów stanowią prawdziwe piękno tego miejsca.

Tomasz Skowronek



Wyślij SMS o treści HUGO pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

Hugo trafił do nas w wigilijny wieczór koło 22.00. Został podrzucony pod bramę, i na początku byliśmy zdziwieni, co robi tu taki piękny pies. Stary karton i fragment brudnego koca jednak nie nastrajały optymistycznie – raczej nikt go tu nie zgubił, a już na pewno nikt nie zamierzał po Hugo wracać. Dopiero kiedy wnieśliśmy Hugo do środka poznaliśmy powód nocnej wizyty – Hugo miał całą spuchniętą głowę, i wielką zasklepioną ranę. Zapach i stan ogólny Hugo świadczył o pochodzeniu – nie była to raczej legalna hodowla... Pseudohodowle to tanie, szybkie i nieprzemysłane prezenty, to proceder którego psy często stają się ofiarą w święta, urodziny jak bez specjalnej okazji.

Hugo natychmiast dostał imię, bo czuliśmy, że tu z nami zostanie na te Święta. Raz, Hugo już nie miał szczęścia. Przykre jest to, że Święta i Mikołaj, i najlepsze życzenia, często zarezerwowane są tylko dla ludzi. Taki pies jak Hugo może tylko biernie czekać, co los mu zgótuje. Hugo nie pozostaje, również tym razem, nic innego jak siedzieć i liczyć na Wasze wsparcie. Hugo zawieźliśmy do lekarza, rana została wstępnie oczyszczona. W ocenie lekarza jest najpewniej wynikiem ugryzienia przez innego psa. Jest również głęboka. Hugo wymaga intensywnego leczenia, codziennej zmiany opatrunków, podawania leków. A gdy wyzdrowieje będzie potrzebował kolejnych groszków na odrobaczenia i szczepienia. Potem najlepszego domu.

Prosimy o Mikołajkowe grosiki dla Hugo – nie ma nikogo poza nami.

Jeśli możesz dokonaj darowizny z tytułem HUGO na konto:

PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350

Fundacja Centaurus ul. Wałbrzyska 6-8

52-314 Wrocław

ZA KAŻDĄ POMOC, DZIĘKUJEMY!

Więcej informacji na www.psy.centaurus.org.pl lub tel 518 569 487

♥ ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław

tel: 518 569 487, tel: 518 569 488

www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona ramach Kampanii Kochaj Mądre. Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>.



Czas krótkich posad

W dyplomacji, zgodnie z pisowskim zwyczajem, też nastał czas krótkich posad.

Właśnie do kraju zjeżdża odwołany przez Andrzeja Dudę ambasador Polski na Ukrainie Jan Piekło. Był jednym z pierwszych ambasadorów powołanych przez Prawo i Sprawiedliwość. Obejmował placówkę w nietypowej sytuacji, bo jego poprzednik, Marcin Wojciechowski, powołany jeszcze przez Bronisława Komorowskiego, został odwołany, zanim do Kijowa wyjechał. Jan Piekło miał więc być na Ukrainie twarzą pisowskiej ekipy. A teraz okazuje się, że PiS ta twarz nie pasowała. Ciekawe, kto będzie jego następcą...

Przedwcześnie zjechał również z placówki Jarosław Starzyk, ambasador przy Unii Europejskiej. Też z pierwszego pisowskiego naboru, też wyjechał w trybie alarmowym, bo jego poprzednik w podobnym trybie został odwołany przez ministra Waszczykowski. Starzyk był więc w Unii twarzą nowej władzy, ale długo nią być nie zdążył, bo znaleziono w IPN dokumenty świadczące o jego związkach z wywiadem wojskowym w czasach PRL. I w ten elegancki sposób zatrzymano jego karierę.

Na jego miejsce do Brukseli pojechał Andrzej Sadoś, który na pewno nie zostanie odwołany, dopóki w tym kraju Jarosław Kaczyński ma coś do powiedzenia. A to dlatego, że w hallu ambasady Sadoś własnoręcznie odkręcał tabliczkę informującą, że tę ambasadę otwierał Donald Tusk. Żeby śladu nie było. Ma człowiek instynkt polityczny.

Natomiast trudno powiedzieć, jakim instynktem dysponuje Konrad Głębocki, który wiosną roku 2018 otrzymał nominację na ambasadora we Włoszech. Ten niedawny poseł PiS najpierw przeciągał wyjazd, a potem,

gdy wreszcie przeniósł się do Rzymu, dosłownie po parunastu dniach złożył rezygnację. Tłumaczył, że czego innego się spodziewał i on już nie chce tam być.

Choć i tak, jeśli chodzi o długość przebywania na placówce, daleko mu np. do Jarosława Łasińskiego, który przeszedł wszystkie formalności, łącznie z głosowaniem w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, ale do Norwegii nie wyjechał. Zatrzymał go prezydent Andrzej Duda, który nie podpisał mu nominacji.

Łasiński nie był jedynym, którego Duda zatrzymywał. Przez wiele miesięcy zwlekał z podpisaniem nominacji Wojciecha Zajączkowskiego, wyznaczonego na ambasadora w Chinach. Ale ostatecznie go puścił.

A skoro jesteśmy poza Europą, warto wspomnieć jeszcze o dwóch przypadkach. Otóż przed terminem zjechał też do Warszawy Jarosław Domański, ambasador w Iranie. On z kolei na placówce był rok. Odwołano go, po tym jak na ulicy w Teheranie, na przejściu dla pieszych, został śmiertelnie potrącony polski *attaché* wojskowy. Sprawa smutna i tajemnicza. I pewnie tak już pozostanie.

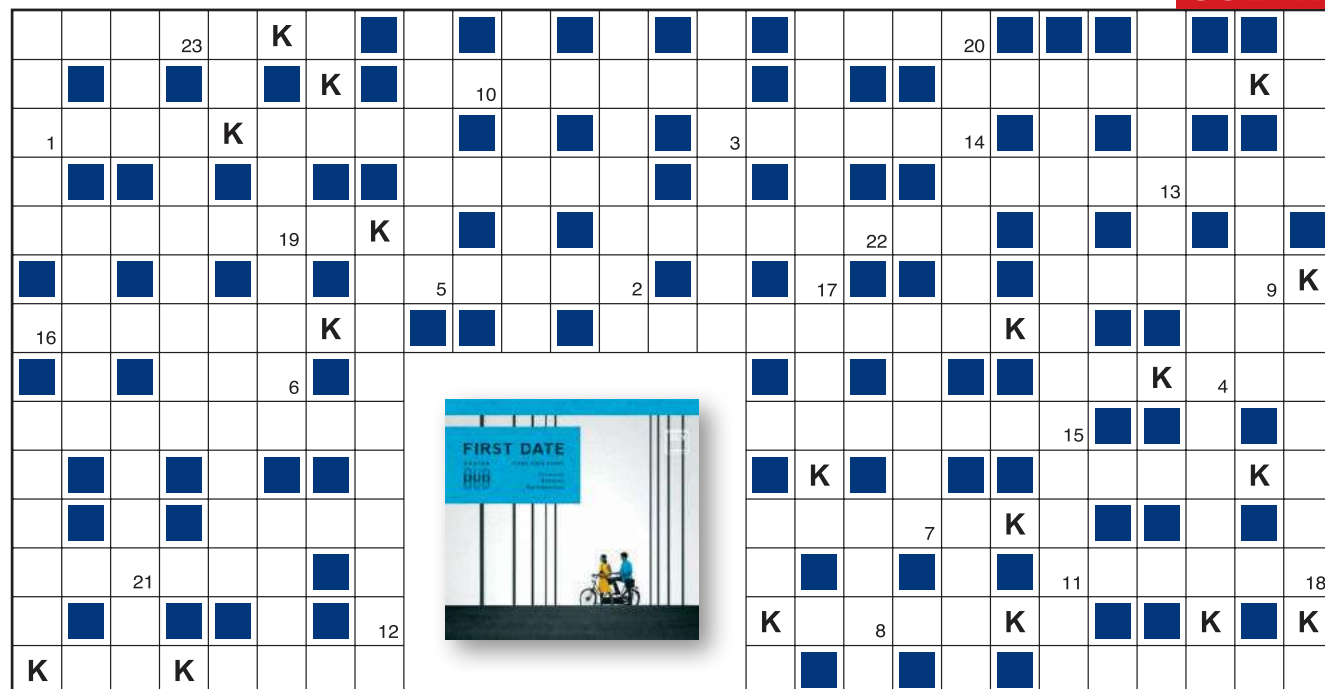
Za to w sąsiednim Iraku, kraju mało bezpiecznym, na ambasadora władza wyznaczyła kobietę. Co wygląda dość dziwnie, bo przecież wciąż pamiętamy, że w roku 2007 dokonano tam zamachu na polskiego ambasadora, gen. Edwarda Pietrzyka. Sam generał był ciężko ranny, śmierć poniósł jeden z eskortujących go funkcjonariuszy BOR. Teraz podobno w Iraku spokojniej, poza tym Beata Pęksa urzęduje w ambasadzie Wielkiej Brytanii. I mamy pytanie – czego jej w nowym roku życzyć? Przeprowadzki do naszej ambasady czy raczej tego, żeby została w bezpiecznym miejscu?

Attaché



Krater Korolowa na północnych nizinach Marsa – pokrywa lodowa o grubości 1,8 km utrzymuje się na nim cały rok. Zdjęcie wykonane przez sondę Mars Express udostępniła Europejska Agencja Kosmiczna.

© ESA/DLR/FU Berlin
CC BY-SA 3.0 IGO



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- 4047 m kw.
- typ jak książkę Błażej ze „Strony Guermentes”
- mitologiczny Chiron
- maglowanie w czasie sesji
- Zenon z Elei lub Melissos z Samos
- imię siostry Napoleona Bonapartego
- jest nią już Nastia Kamieńska
- ...Clarke – jako Daenerys w „Grze o tron”
- opiekunka poezji lirycznej
- rozświetlają niebo w sylwestra
- po bretońsku
- zagranie nie fair
- Hegel, Kant lub Tatarkiewicz
- „Komando...”, film akcji
- wyspa, mekka fanów muzyki elektronicznej
- ozdobna początkowa litera
- imię autorki naszych okładek
- samolot i tybetańskie zwierzę
- wpatrzona w wino i żółędzie
- mocowanie trójkątnym drewnikiem
- zgromadzenie w Kaplicy Sykstyńskiej
- czerwone to erytrocyty
- nicpoń, gałgan
- jak ta... – bez zarzutu
- marnie, diable!
- można na niej balansować
- szklaneczka do wódki
- woda w stanie stałym
- krętać, oszustwo
- wytwórnia monet, medali
- chłopak-rozstropek
- galimatias w głowie
- minorowy albo euforyczny
- napój bogów
- jego latopis to „Powieść minionych lat”
- Boładź, Borys albo Bończyk
- zabaw lub boju
- minister finansów u króla
- bywa robiona na rosolu
- chrapliwy śmiech
- zasilany przez Men i Mozelę
- gotyckie okrągłe okno z witrażem
- zginął razem z Filistynami
- Ismena dla Antygoni
- ptak Ateny
- dzienne lub sztuczne
- grał go pływak Johnny Weissmuller
- żółtawy minerał stosowany w jubilerstwie
- Jacek od „Hańby domowej”
- opakowanie, oprawka jak rurka
- nie zastąpią w Polsce węgla
- kokosowe do ciast i deserów
- ciężkie przestępstwo
- barwne ptaki rybożerne nad czystą wodą
- poręcza za kogoś splotą

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-890”. Do rozlosowania CD „First date” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 stycznia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-887” z 16 grudnia: *Szczęście jest w duszy.*
Nagrody otrzymują: Anna Budna z Olsztyna, Zbigniew Popielski z Nadarzyn, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

PENETRACJE



RENATA DANCEWICZ,
AKTORKA

Nie spodziewam się, że polski Episkopat sam zrezygnuje z tak korzystnego i uprzywilejowanego statusu, a politycy w tej kwestii są zupełnie bezradni i dużo bardziej prokościelni niż społeczeństwo. Dlatego siła i pycha Kościoła w Polsce są naszą słabością i upokorzeniem. To my – społeczeństwo, wierzący, agnostycy i ateści, dziennikarze, media, kobiety (!) – powinniśmy zmusić struktury kościelne do uznania wyższości polskiego państwa i prawa nad wewnętrznymi regulacjami i prawem kościelnym – czyli renegocjować konkordat. Dlatego z nadzieją wypatruję czasów, kiedy wierni zaczną od księży wymagać, a nie tylko płacić.



MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK,
LIDER RUCHU AGRO UNIA

Belgowie na ogromną skalę opróżniają swoje magazyny, także te strategiczne, wojskowe. Przechowywane tam mięso ma 20, a nawet 30 lat. Dlatego jest takie tanie. Po przewiezieniu go do Polski nie jest badane, gdyż w Unii wystarczy badanie w kraju producenta. Ale nawet jeżeli to mięso spełnia wymogi sanitarne, to czy ktoś chciałby zjeść 30-letniego schabowego? Z Ukrainy wjeżdża do nas wiele ich produktów rolnych. I nikt tego nie kontroluje, nie bada, a przecież stosuje się tam środki ochrony roślin, które są zabronione na terenie Unii Europejskiej. W sprowadzanych z ich kraju zbożach

na paszę może znajdować się wirus ASF. Wykryto tam 59 ognisk pomoru, w tym wiele w pobliżu granicy z Unią Europejską.



PAWEŁ SOŁTYS (PABLOPAVO),
WOKALISTA, PISARZ

Moi rodzice potrafili i lubią razem śpiewać. Pamiętam z dzieciństwa, że na imieniny przychodziło sporo ich znajomych. I jak już państwo troszkę się napiłi, to najpierw były tańce, choć mieszkanie ciasne, a potem śpiewy. W pewnym momencie wstawiała ich znajoma i pięknie śpiewała „Rebekę”. A dziadek, rodem z Kijowa, jak się napił, śpiewał czastuszki. Mama mi zasłaniała uszy, mimo że nie znałem rosyjskiego. Ale wiadomo: poważne czastuszki są dość obsceniczne.



AGATA PASSENT,
FELIETONISTKA

Wśród kobiet i próbujących dotrzymać im kroku mężczyzn obserwuję nerwowo powrót do natury. Zamiast antybiotyków sok z malin. Zamiast kremów z retinolem koszerne błoto z Izraela, zamiast chemioterapii napar z lipy i wegańska dieta z kiszzonek. O szczepionkach boję się nawet pisać, myśleć czy mówić. Ze strachu przed antyszczepionkowym lobby wysłałam (i wypłułam) synom to, co podały morderczynie z igłami przebrane za dobre siostry. Swoich szczepionek nie usuwam, bo chcę poleć jako męczennica i oczyścić oblicze ojczyzny z tzw. zdobyczy tzw. naukowców.

Aby język giętki...

AGNIESZKA HOLLAND O PO

Największą słabością PO jest jej słabość intelektualna i to, że w ogóle w to nie inwestuje. Schematyczna nie jest myślicielem, który widzi dalej niż najbliższe wybory.

JERZY OWSIAK O ANDRZEJU DUDZIE

Gdy prezydent mówi o żarówkach na forum unijnym, to już naprawdę niżej upaść się nie da... Albo inaczej – niestety, chyba się da.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O WALCE Z GLOBALIZMEM

Na dłuższą metę walka z globalizmem, nowymi technologiami, wręcz z rozwojem cywilizacyjnym nie ma sensu.

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
O CHINACH

Chin nie można pokonać, z nimi trzeba się układać.

EWA WANAT O KRZYSZTOFIE ZIEMCU

Co będzie robił potem? Bo przecież do dziennikarstwa z tego fachu, który wykonuje dzisiaj, nie ma powrotu.

AGNIESZKA RADWAŃSKA
O PRZEŻYCIU JEJ „ISIA-PISIA”

Ta cała „polityczna” historia wynika z temperamentu taty. Ja jestem apolityczna i sport jest apolityczny.

STANISŁAW BREJDYGANT
O NASTROJACH ANTYIMIGRANCKICH

Jestem na nie wyczulony także dlatego, że mam żonę Azjatkę pochodzącą z Mongolii.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O CZYTANIU

Potrafię zafiksować się na zdaniu czy akapicie i dalej już nie idę. Bo szkoda mi gubić myśli z cudzych książek.

MAŁGORZATA FOREMNIAK O SOBIE

Trochę pracoholik, trochę filozof, lubię czasem zamykać się w swoim świecie. Mam problem z punktualnością i czasem nic mi się nie chce.

REMIGIUSZ MRÓZ O GROUPIES

Doczekałem się propozycji złożenia autografu na piersiach i bardziej osobistego spotkania autorskiego.



Kapsuła Hostel Warszawa – pierwszy w Polsce. Jednoosobowa kapsuła ma 2 m kw., są tu dwa gniazda elektryczne, oświetlenie LED, pościel i można wybrać twardość materaca.

Konewka na bogato

Jeśli ktoś ma niedosyt prezentów, może jeszcze kupić sobie u Tiffany'ego jakiś efektowny drobiazg do domu. Ostatnio amerykańska firma zaoferowała srebrno-miedzianą konewkę z akcentem kolorystycznym „Tiffany blue” za 35 tys. dol., czyli mniej więcej za tyle, ile ma kosztować nowy model sedana, który od niedawna zapowiada Tesla. W kolekcji świątecznej oprócz konewki można również znaleźć m.in. latarkę z limitowanej edycji (za 20 tys. dol.) oraz stylowy dzwonek hotelowy (za gro-
sze – 350 dol.).

Obraza majestatu

Wanchaleom Jamneanphol, znana szerzej jako prezen-
terka kanału internetowego Mixy Bigmouth, może trafić
do więzienia. Wszystko przez to, że skrytykowała suk-
nię, w której na konkursie Miss Universe wystąpiła re-
prezentantka Tajlandii. Kreację zaprojektowała bowiem
31-letnia córka króla Tajlandii, która studiowała modę
we Francji. Zgodnie z definicjami prawa tajlandzkiego
prezen-terka mogła popełnić cyberprzestępstwo i tzw.
zbrodnię *lèse-majesté*, czyli dopuścić się obrazy majes-
tatu monarchii, za co grozi kara od 3 do 15 lat pozbawie-
nia wolności.

Szkolne testy

Władze oświatowe uważają, że w szkołach w regionie
Wenecji Euganejskiej (na północy Włoch) należy pod-
dać wszystkich uczniów testom do wykrywania narko-
tyków. Coraz więcej uczniów nosi bowiem w plecakach
zamiast drugiego śniadania skręty z haszyszsu czy ma-
rihuany oraz inne substancje pobudzające i halucyno-



genne. Z sondaży przeprowadzonych wśród młodych
osób wynika, że ponad połowa z nich zażywanie narko-
tyków uważa za zachowanie akceptowalne społecznie
czy wręcz atrakcyjne.

Prezydent na każdy miesiąc

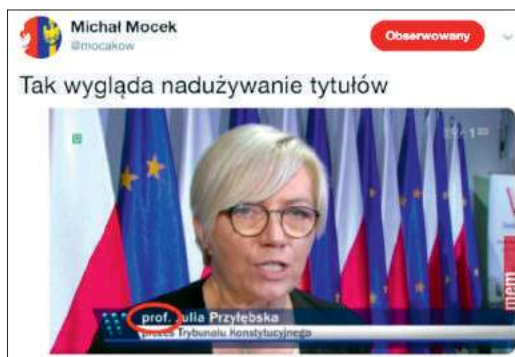
Z pótek japońskiej sieci sklepów Loft w mgnieniu oka
zniknęły kalendarze z Władimirem Putinem. Sieć ta ma
wyłącznie na ich sprzedaż. W kolejnych miesiącach
właściciele kalendarza będą mogli podziwiać prezydenta
Rosji tresującego psa, grającego w hokeja czy zażywają-
cego kąpeli w jeziorze. Portal SoraNews24 określił ten
kalendarz jako rodzaj „praktycznego żartu”.

Wojsko na ulice

Jedna z poprawek wniesionych przez rząd Włoch do
projektu przyszłorocznego budżetu zakłada, że znisz-
czonymi ulicami stolicy zajmie się wojsko. Roboty na
drogach długości 200 km będą kosztować 240 mln eu-
ro i zostaną rozłożone na dwa lata. Żołnierze będą pra-
cować bezpłatnie. Plan jest odpowiedzią na apele bur-
mistrza Rzymu. Z powodu złego stanu dróg na ulicach
Wiecznego Miasta często dochodzi do groźnych, nawet
śmiertelnych wypadków.

Miliard na lotnisku

Pod koniec grudnia międzynarodowe lotnisko w Duba-
ju świętowało przelot miliardowego pasażera. Okazał się

MEMY BEZ ŚCIEMY

W chińskim mieście Harbin znów odbywa się Międzynarodowy Festiwal Lodu i Śniegu z parkiem malowanych światłem śnieżnych i lodowych rzeźb oraz budowli.



nim dziewięć lat podróżujący z Orlando na Florydzie. Lotnisko w Dubaju działa od 1960 r. i pierwsze pół miliarda pasażerów przewinęło się przez nie do 2011 r. Kolejne 500 mln przybyło w zaledwie siedem lat. Dubaj zajmuje trzecie miejsce wśród najbardziej ruchliwych portów lotniczych na świecie, po międzynarodowych lotniskach w Atlancie i Pekinie.

Rok bez smartfona

Należąca do grupy Coca-Cola firma Vitaminwater oferuje pieniądze śmiatki, który przez rok nie będzie używał smartfona. Aby wziąć udział w konkursie, zgłaszający się do rywalizacji powinien na Twitterze lub Instagramie opublikować post z hasztagiem #nophoneforyear lub #contest i napisać, co zrobi, jeśli nie będzie mógł zajrzeć na takie portale przez najbliższy rok. Następnie spółka wybierze uczestników projektu, którzy otrzymają telefony z 1996 r. Mają oni szansę wygrać 100 tys. dol. pod warunkiem, że nie będą używać smartfonów i tabletów, nawet jeśli urządzenie pożyczą od kogoś innego (można używać laptopów i komputerów PC). Przed wypłaceniem nagrody zostaną poddani badaniu na wykrywaczu kłamstw.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osinski (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

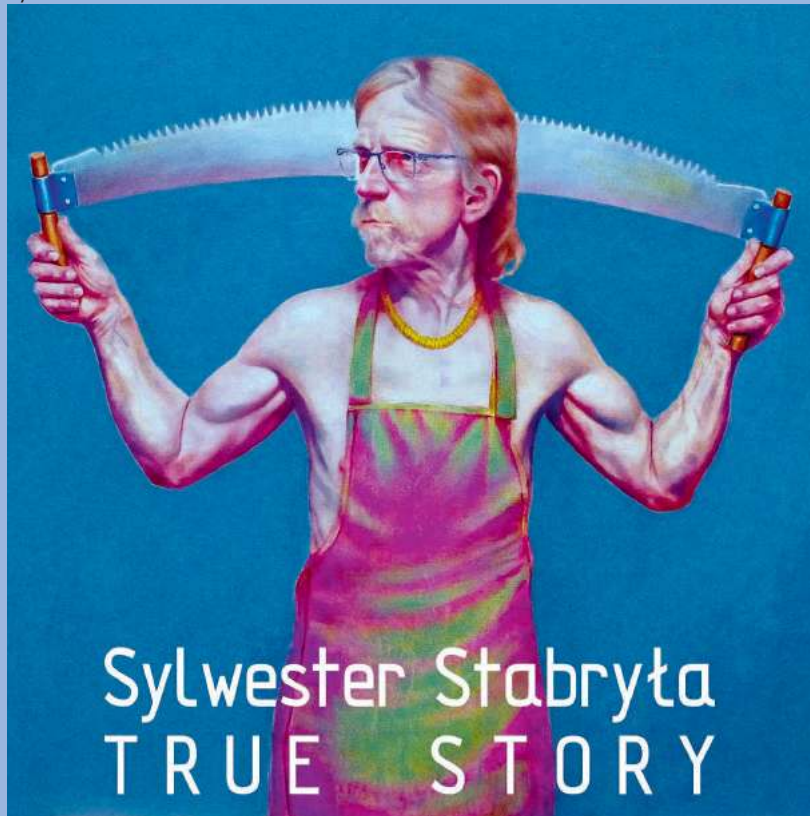
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





O pracach zgromadzonych na wystawie „True Story” wokalistka Angela Gaber, prowadząca swego czasu sanocką galerię Bazar Sztuki, napisała, że to „krótkie, proste opowieści na płótnie. Opowieści o ludziach i momentach w życiu. Są po prostu prawdziwe...”. Sylwester Stabryła, rocznik 1975, jest absolwentem Katedry Sztuki Politechniki Radomskiej (2002). Zajmuje się malarstwem, grafiką, rysunkiem i „wieloma innymi niepotrzebnymi rzeczami”. Mieszka i pracuje w Sanoku.



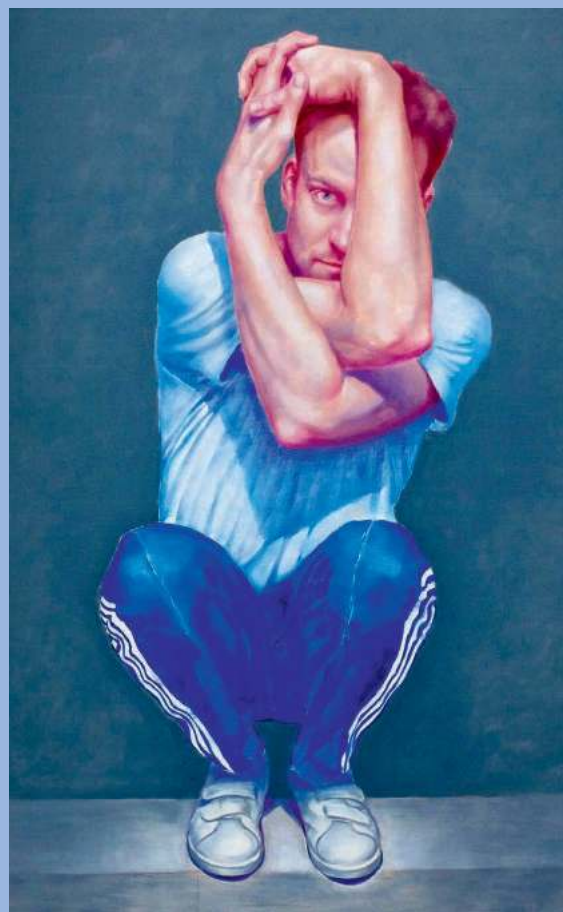
Harmonia



BWA Galeria Sanocka

Sanok, Rynek 14

do 5 stycznia



Dyskretny



Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora



Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo
Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl

ADAPTACJA OPOWIADANIA „SPALENIE STODOŁY” HARUKIEGO MURAKAMIEGO



OSCAR
NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZCZNY
KOREAŃSKI KANDYDAT

tiff.

*Najsubtelniejszy thriller
wszech czasów*

NAJWYŻEJ W HISTORII OCENIONY FILM W CANNEŃSKIM MAGAZYNIE SCREEN DAILY (3.8/4)

PŁOMIENIE

REŻYSERIA CHANG-DONG LEE

W ROLI GŁÓWNEJ STEVEN YEUN, GWIAZDA SERIALU „THE WALKING DEAD”

W KINACH OD 28 GRUDNIA

